MARJA CZESKA



DWAJ RYMSZOWIE

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

DWAJ RYMSZOWIE



Gdybyż tak teraz jaki dziki zwierz wyszedł z boru! (Str 5).

(Dwaj Rymszowie)

MARJA CZESKA

DWAJ RYMSZOWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z XVII WIEKU

Z 4 ILUSTRACJAMI T. WOLNIEWICZA

WYDANIE SZÓSTE
(TYSIĄC 16—18)

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

ILUSTRACJE WYKONANO TECHNIKĄ ROTOGRAWURY
WE WŁASNYCH ZAKŁADACH

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

I.

Jur i Stach.

— Jur, lepiej wróćmy do domu, pani matka gniewać się będzie, żeśmy tak daleko odeszli bez kogoś starszego.

— Tchórz!

— Tyś zaraz przymawiać gotowy, ale jak potem zabłądzimy, to co będzie?

— Owa! Jak się boisz to wracaj, z mazgaja niewielka w potrzebie pociecha.

— Kiedy właśnie, że ja się nie boję, jeno wiem, że gdyby się rodziciele dowiedzieli...

— Co zaś się mają dowiedzieć.

— Ano jakbyśmy przed zachodem nie wrócili, pani matka do Fiodora na leśniczówkę pośle, i wraz się wyda, iżeśmy tam nie byli, martwić się będą, szukać każą, a potem... — chłopięcy głos załamał się na mgnienie — skóra będzie w robocie, a pan ojciec rzadko bije, ale jak bije, to ręki nie żałuje.

— Owa! Jaki mi delikatny, boli cię już naprzód, co?

— Nie o to...

— No, to o co?

— Panu ojcu gniew szkodzi.

— No to wracaj do mamusinego fartuszka.

Młodszy z dwóch chłopców jasnowłosy, smukły wyrostek o delikatnych rysach i głębokich, błękitnych oczach, przystanął, do odejścia się zwrócił, kilka kroków uszedł i ku bratu spojrzał; nie oglądając się, Jur Rymsza szedł w głąb dębowego lasu. Stach patrzył chwilę na olbrzymie, cieniste korony dębów, na złote, słoneczne plamy, igrające po trawach, z przydrożnej jarzębiny gałązkę zerwał i gryząc jej koniec, myślał:

Jušci, że się wrócę; jak się tak daleko w las zagnamy, to kto wie, czy na wieczerzę do domu zdążymy. Pan ojciec jak się zgniewa, to potem taki blady jest i na serce narzeka, a pani matka przestrzega zawsze, by się od dworu zbytnio nie oddalać. Tatarzy się nieraz czają po kniejach.

Lęk go obleciał, i w kilku skokach dopędził brata:

— Juraś...

— Nie poszedłeś jeszcze?

Starszy o rok dwunastoletni Jur Rymsza, ciemny jak cygan, o czarnych, błyszczących oczach i purpurowych, dumnie wyrzuconych ustach, zwinny w ruchach, szczupły a giętki, wsparł się na łuku niesionym i pytał drwiąco:

— Rozmyśliłeś się?

— Samemu straszno — półgłosem wyznał Stach, rumieniąc się aż po białka oczów, i szyb-

kim ruchem objąwszy szyję brata ramieniem, mówił serdecznie a prosząco: — Wracajmy razem, Jur... pomyśl, co to będzie w domu, jeżeli na czas nie zdążymy. To całkiem nieznane miejsce, gdzieśmy zaszli, zabłądzić łatwo.

Jur głową wstrząsnął:

— Musimy do Dniestru dojść, żeby tam nie wiem co się działo. Koniecznie muszę z łuku coś ustrzelić. Toby było, jakbym tak dziką kaczkę do domu na wieczerzę przyniósł.

— Na kaczki pan ojciec chodzi o świtaniu.

— Owa, ale i za dnia przecież widzi się je nieraz, a im trudniej ustrzelić, tem większa chwała. A teraz słuchaj i zakonotuj sobie dobrze: pan ojciec przed zachodem nie wróci, bo pojechał z sierpami i kosami do ostrzenia, i pług musi kowal naprawić, pani matka ma dziś nakładanie ogórków w beczki a i wieczerzę musi lepszą przysposobić, bo z ojcem łacno ksiądz pleban przyjechać może, roboty ma więc pani matka huk, to i nie będzie miała czasu o nas myśleć. Zresztą dla wszelakiej pewności prosiłem, czy do Fiodora do leśniczówki iść można. Rzekłą pani matka: Idźcie, jeno żebyście przed zachodem wrócili. No to i wrócimy, a żeśmy krzynkę dalej w las poszli, to i cóż?

— Zawsze nieładnie; słuchaj. Jur, chodźmy do Fiodora, ja przyznam ci się, że nawet wolę. Minka ma podobno szczeniaki, pięcioro ma ich być i ładne a ucieszne podobno okrutnie. Małanka

nas poczęstuje malinami, Fiodor opowie, jako z panem ojcem na wyprawy chadzał, a i łuk możesz wypróbować.

— Właśnie, a jak nie trafię, to Fiodor będzie się śmiał, tak jak on to umie, co jeno siwe wąsy drgają bezgłośnie, a łuk weźmie i wraz pokazywać zacznie: Tak nigdy nic nie ustrzelisz, Jurasiu, panyczu, ot tak dzierż, tak naciągaj, tak strzałę nakładaj, tak cel na oku miej. Dosyć już mam tych wszystkich nauk, sam sobie poradzę. Zawsze jak sam jestem, to lepiej strzelam, niżeli gdy się wszyscy na mnie wygapiają.

— To ci się jeno zdaje; przecież my dzieci jeszcze, każdy zaś człowiek uczyć się musi, zanim coś pojmie. Pan ojciec nieraz opowiadał, jako go dziaduś konia dosiadać uczył, bronią robić, a w Zamościu to bakałarz nieraz na dywanie skórę przetrzepał, gdy nauka ciężko panu ojcu szła. Wiesz, Jur, mnie zawsze jest tak jakoś niemiło, gdy coś zrobię, o czem wiem, żeby to ojca gniewało.

— Baba jesteś! Ojciec przed zachodem nie wróci, o naszej wyprawie nikt się nie dowie, a jak będziemy tu stali, to jeno czas niepotrzebnie stracimy.

— A wyznasz ty się w drodze zpowrotem? bo ja to niebardzo.

Jur usta wydął:

— Oo! Już ty się nie bój, jeno chodź. Każde drzewo sobie zakonotowałem, ot teraz widzisz

jest u drogi krzywa sosna, a przedtem była jarzębina.

— Albo to jedna przy drodze sosna krzywa, a jarzębina toć tu co krok! — ośmielił się zaoponować Stach.

— To i cóż? Jak ci mówię, że się pysznie zpowrotem wyznam, to się i wyznam.

Szli chwilę w milczeniu. Pomimo skwarnego, sierpniowego popołudnia w lesie był chłód, szumiały cichą pieśnią potężne korony starych drzew, słała się miodowa woń łąk, słońcem rozgrzanych.

Jur szedł śmiałym, energicznym krokiem, szeroko rozwartemi, ciekawemi oczyma patrząc przed siebie. Cieszył go każdy nowy szczegół tej pierwszej samodzielnej wyprawy, a tylko mimowiednym odruchem ściskały jego drobne, śniade ręce łuk, który w kwietniu od ojca na imieniny otrzymał, prawdziwy tatarski łuk, u którego z wysiłkiem jeno naciągał cięciwę, a strzała wylatywała z niej z cichem brzęczęciem muchy jadowitej. U boku miał kołczan do łuku przynależny, z wypełzłym z aksamitu czerwonego obiciem i srebrem szytemi literami arabskiemi.

Hej! Gdybyż tak teraz jaki dziki zwierz wyszedł z boru! Szaro-brunatny majestatyczny niedźwiedź, taki jak u pana ojca za pokrycie na saniach służy. Raz, dwa, wyleźliby ze Stachem na drzewo, i nimby się miś opamiętał, zabrzęczałaby strzała z cięciwy puszczona, wpijając się

aż ku sercu, zatoczyłoby się niedźwiedzisko jak pijane, a onby migiem drugą strzałę nałożył i w oko mu wraził... zbroczyłaby trawę purpurowa jucha, zryłyby ziemię łapy.

Cudnie byłoby! Najgorzej jeno jakby go potem do domu dostać? Na gałęziach przywlec nie daliby rady, gdzie zaś... Prawda, pysznie, poszedłby do Fiodora. Boże! coby też Małanka za minę zrobiła, a Fiodor! Ot wszedłby sobie do chaty jak zawsze, Pana Boga pochwalił, a potemby się na łuku wsparł i rzekł tak zupełnie obojętnie, jak gdyby o czemś najzwyklejszem mówił:

— Ojcze Fiodorze! chodźcieno ze mną do lasu dębowego. Wedle krzywej sosny niedźwiedź tam leży.

Żachnąłby się Fiodor:

— Ta przywidziało się wam, panyczu Jurasiu, odkądże to niedźwiedzie tak sobie w boru leżą, że jeno je zbierać jak ulęgałki. Przywidziało ci się, panyczku Jurasiu, taj tyle.

A onby wtedy spokojnie ręką po łuku uderzył i rzekł:

— Ustrzeliłem go z tego oto łuku, Fiodorze.

Jezu! coby za minę stary Fiodor miał! a Małanka! objęłaby pewno głowę rękami, jak zawsze, kiedy się czemuś bardzo dziwuje. A w domu... no, pan ojciecby już chyba nic nie rzekł za to, że bez pozwolenia w las poszli, z pewnością poklepałby go po ramieniu, jak wtedy, gdy z rusznicy w sedno trafił i zaśmiałby się: Zuch Jur!

— Jurasiu, popatrz, maliny takie źrałe — wyrwał go z bohaterskich marzeń radosny głos Stacha. I rzeczywiście snuł się obok drogi gąszcz malinowych krzewów o blado zielonem, rozłożystem listowiu; na gałązkach, jak zakrzepłej krwi korale, połyskiwały duże, wonne a tak dojrzałe jagody, że zda się za najmniejszem wstrząśnieniem ku ziemi spłyną. Brzęczały dokoła krzewów pszczoły dzikie i muszek drobnych rój. Chłopcy zapomnieli o swoich planach i niepokojach wobec tych jagód wonnych, soczystych a chłodnych. Jak gdyby w obronie przed natarczywością ludzką długie, giętkie gałęzie chwytały kolcami płócienne żupaniki dzieci, Jur odrzucał je energicznie, nie zważając na to, że zakrwawiły mu ręce. Stach delikatnie gałęzie z żupanika oddalał, rozgarniał krzewy ostrożnie, wsuwał się zręcznie i zbierał jagody ustami, bo mu się zdawało, że tak jeszcze smakowitszemi być muszą.

— No, widzisz, ani ci Małanczynych malin nie powinno być żal, bo tak prosto z krzaka lepsze jeszcze, zbierz sobie trochę do kołpaczka, będzie na drogę.

— Co mi tam maliny. Ale powiedzno, Jur, cobyśmy robili, gdyby tak nagle przed nami...

— Co?

— A nie będziesz się śmiał?

— Juści jak głupstwo jakie palniesz, to może i nie wytrzymam.

— No, cobyś zrobił, jakby tak z krzaków przed nami... Tatar wyjechał; wiesz taki jak ci, co u nas pod ostrokołem zostali, pamiętasz?

Mimowiednie obydwaj chłopcy drgnęli, przypomniało się im, jak przed dwoma laty jesienią, także tak wedle żniw, zagnał się pod sam ostrokół dworu oddział Tatarów. Na szczęście poprzednich już dni widać było dalekie łuny, i pan ojciec wieśniaków z dobytkiem we dworze zgromadził, ostrokół zamknięto, broń rozdano, kobiety i dzieci schroniły się w piwnicy. Siedzieli tam, modląc się i drżąc, niewiasty zmieniały się, jedne zostawały przy dzieciach, gdy drugie we dworze jadło gotowały, wrzącą wodę do kotłów lały, sporządzały naboje. Dziki, straszny wrzask obozującej w pobliżu hordy co chwila rozdzierał powietrze, czasem słychać było huk broni palnej, albo pieśni pobożne, przez naszych śpiewane. Wieczorem krwawa łuna uderzyła o szybki modrzewiowego dworu, to horda zapaliła chaty wieśniacze; wtedy radosnemu wrzaskowi pohańców zawtórował żałosny płacz ludu, patrzącego w przymusowej bezczynności, jako marnieje ich dobro. O świtaniu Tatarzy odeszli, pan Rymsza niebardzo temu wierzył i ludziom przez parę dni dworu opuszczać zabronił i słusznie, bo po tygodniu, gdy pomimo przedstawień pana Rymszy kilku chłopów wybrało się szkody oglądać, Tatarzy z lasu wypadli, otoczyli ich i od dworu odcięli. Daremnie pan Rymsza z rusznic ich prażył, nie od-

stąpili zdobyczy. Pani matka bardzo była wtedy blada i rzekła im:

— Módlcie się, dzieci, za konających i za tych nieszczęsnych, których w niewolę zabierają Tatarzy, więcej oni nieraz tracą niżeli życie, bo wiarę świętą, a z nią duszę.

Ojciec, gdy czasem wpadł do lochu, by spocząć cośkolwiek, czarny był od dymu, a w oczach miał takie groźne, mściwe błyski, aż dzieciom lęk zimnem po plecach pełzał.

W nocy jeszcze raz zaatakowali dwór Tatarzy, ale potem ukazała się o świtaniu chorągiew dragońska i wyparła ich, jeno na polach koło dworu kilka trupów zostało... I wtedy raz pierwszy w życiu widział Jur ze Stachem ludzi umarłych. Straszni byli w swoich kosmatych futrach i czapkach, z ciemnemi twarzami o wydatnych szczękach, nosach zaklęśniętych i martwych, białkami połyskujących oczach.

Jur drobne pięści ściskał w trwodze i gniewie, Stach patrzeć nie mógł, za panią matkę się schował i drżącemi ustami „Wieczne odpoczywanie" odmawiał, a potem przypomniał sobie, że to poganie, i zakłopotany pytał matki lękliwie:

— Czy za Tatarów można się modlić, mateczko?

A pani Rymszyna przytuliła jego jasną główkę do serca i mówiła łagodnie:

— Dla wszystkich ludzi godzi się prosić miłosierdzia Pańskiego a dla onych nieszczęsnych,

w błędach pogrążonych tem bardziej. Widzisz, Stachu, ludzie to są jako i my, jeno w błędach się urodzili, w nich żyją i przez to okrutnie mściwi są, na krew łakomi a zawzięci. Cały świat chcieliby zbisurmanić, matkom dzieci odrywają od łona, by je w swojej wierze wychować, osady nam palą... O, mają oni na sumieniu ciężar ludzkiej krzywdy i łez, aleć nie znają oni przykazania, by bliźniego miłować jako siebie samego, bez względu, czy on przyjaciel czy wróg, nie znają nauk Chrystusa Pana ni Jego żywota, więc też nie wiedzą, co czynią. Módl się, dziecino, aby Pan Bóg litościwy darował im winy, może twoich niewinnych ust prośba dobiegnie do nieba.

I Stach się modlił, a potem raz jeszcze, pomimo iż drżał cały od strachu, z za matczynej spódnicy wychylił głowę i spojrzał na leżącego Tatara, na ciemne, wpite w ziemię ręce, gładko wygoloną, okrągłą czaszkę, sumiaste wąsiska i na tę kałużę zakrzepłej, purpurowej krwi obok. Właśnie chłopi go podnieśli, by zanieść pod las, gdzie dół dla nich kopać zaczęto; twardy był już jak kłoda, i jeno głowa leciała mu ku ziemi, straszna z wywróconemi oczyma i rozwartemi jak do krzyku ustami.

I teraz oto pomyślał sobie Stach, coby to było, gdyby oto taki Tatar, jeno żywy, z lasu wyjechał. Br . . . r!

Ale Jur już ochłonął z chwilowego przerażenia i dla dodania sobie odwagi zaśmiał się głośno:

— Tatar?! Także coś! Albo to nie wiesz, że jak się po okolicy kręcić zaczynają, to się i we dworze zaraz wie. Oj osiłek z ciebie, osiłek. A przytem, cóż to jeden Tatar? Łuk przecie mam, zarazbym strzałę nałożył, wymierzył prosto w serce albo w grdykę i już. Widziałbyś, jakby nogi do góry zadarł.

— I ty, Jur, nie bałbyś się zabić człowieka?!

— Osiłek jesteś jeszcze straszny, Stachu, a kurażu w tobie ani za grosz niema. Czego się to bać człowiekowi, gdy jest dzień i broń się ma w ręku? Jabym się i czambuliku całego nie ustraszył, a cóż dopiero jednego Tatara!

Jur szedł znowu przodem, prężąc swoją smukłą chłopięcą postać; trochę mu jeszcze serce biło po owem tatarskiem wspomnieniu, ale cieszyło go ogromnie nieśmiałe uznanie i podziw w spojrzeniu Stacha. Żeby mu się tak jeszcze udało spotkać z jaką naprawdę pokaźną zwierzyną albo chociaż z kaczką tłustą, dopieroż byłby szczęśliwy!

Cudnie jest; las tak gwarzy, gwarzy, przez gałęzie nieba błękit przegląda, tak radośnie pląsają po trawach słoneczne promienie.

Jezu! Żeby tak jeszcze niedźwiedź z krzaków wyszedł.

Mama wprawdzie mówi, iż modlitwa o głupstwa grzechem jest, ale czyż to głupstwo?

Więc Jur ściska kurczowo łuk w drżących dłoniach i modli się w głębi duszy żarliwie:

Panie Boże dobry, jednego niedźwiedzia mi ześlij, jednego, chociażby malusieńkiego niedźwiedzia. Matko Boża, przez dziesięć dni co wieczora odmawiałbym trzy „Zdrowaś Marja" albo przez pięć, jeno mnie wysłuchaj, wysłuchaj.

Nagle w głębi lasu rozległ się głuchy trzask złamanej gałęzi jak huk wystrzału. Jur zatrzymał się, zbladł, gorące dłonie Stacha uchwyciły jego rękę i stali tak chwilę trwożni, przytuleni do siebie, i tylko serca szalały im w piersiach a tętna biły.

Matka Boża wysłuchała prośby — łkało coś w duszy Jura — wyjdzie z gąszczy niedźwiedź, o Jezu! Jezu! wyjdzie ani chybi. Rozszarpie Stacha i mnie, bo mi tak ręce latają, że choćbym nawet łuk naciągnąć zdołał, to nie trafię; głupstwo jeszcze mnie, bom i zasłużył, ale Stach... Boże miłosierny! niewinnie zginie, przez pyszałkostwo moje. Nie trafię... nie trafię... może nawet łuku naciągnąć nie zdołam.

A tu znowu trzask gałęzi echem leci po lesie.

— Stachu, to pewno niedźwiedź.

— Albo Tatar.

— Boże ratuj!

Jur łuk naciąga, ręce mu latają, na zbladłe czoło pot występuje, a Stach proponuje lękliwie:

— Możeby na drzewo wyleźć.

— Prawda!

Zręcznie jak koty, pną się chłopcy po chropowatej korze dębu, pościerali skórę na dłoniach

do krwi, aleć zato siedzą wysoko między konarami i oddychają z ulgą.

— Jur...

— Ps... t.

— Skąd ty wiesz, że to niedźwiedź?

Ale Jurowi trudno się było przyznać do owej modlitwy błagalnej, więc szepnął:

— Cicho, Stachu, bo jakby nas posłyszał, mógłoby być źle.

Więc zaparli oddechy i czekali.

Cisza, słychać jeno szept liści wiatrem trącanych, chłopcy utkwili oczekujące, trwogą rozszerzone źrenice w gąszczach — co się też z nich wychyli. Jurowi snuje się przed oczyma niekształtna postać niedźwiedzia o małych, złośliwych oczkach, Stach obawia się, iż wyłoni się z krzewów ohydna kałmucka twarz o ukośnych, czarnych oczach, wystających szczękach i ustach szerokich.

I znowu szmer, jak gdyby się ktoś przesuwał wśród krzewów, a potem zgłuszony przerażeniem, ledwo dosłyszalny szept Stacha:

— Jur, Boże miłosierny, przepadliśmy.

— Co zaś?

— Twój łuk został pod drzewem.

Jur z rozpaczą patrzy na łuk porzucony wśród trawy, i purpurowy rumieniec wstydu barwi smagłą twarzyczkę. To ci rycerz, co broni zapomniał!

Zleźć albo co?

A nuż się z krzaków niedźwiedź wysunie.

Ale zanim skończył swoje wahania, krzaki rozdzieliły się i wyszła z nich młoda, rosła dziewczyna, z warkoczykami ciasno zaplecionemi, w białej koszulinie i spódnicy barwnei, z koszem grzybów w śniadej ręce. Na ten widok tak niespodziewany nasi bohaterowie odetchnęli, spojrzeli sobie w twarze strachem pobladłe i buchnęli jasnym, młodym, niewstrzymanym śmiechem.

Dziewczyna zatrzymała się lękliwie na mgnienie i szybko znak krzyża uczyniła na piersiach, bo oto nikogo zda się wkoło nie było, a śmiech dźwięczał gdzieś od cienistych konarów dębu i opływał ją swawolnych tonów falą.

— Wszelki duch Pana Boga...

— Nie bój się, mołodyco, i my Go chwalim.

Jur zsunął się z dębu i żywym ruchem za łuk porzucony pochwycił, Stach również po pniu na ziemię zjechał. Dziewczyna patrzyła na nich chwilę, a potem z za rozchylonych warg błysnęły białe, zdrowe zęby w uśmiechu.

— A co wy „dziełali“ na dębie, panicze? Zestraszyli się mnie pewno jako ja was, taj na dąb śmignęli?

Jur czarne brwi ściągnął niechętnie:

— Gniazd my szukali.

— No! no! i zleźliście bez niczego?

— Bo puste były.

— Oj nie taki ty durny, paniczu, żeby przy końcu lata piskląt szukać — zaśmiała się dziew-

czyna. A ręceście sobie podrapali — no! Pieką, co?

— Głupstwo, gadać niema o czem. Ale słuchajno, wiesz pewno, daleko stąd jeszcze do Dniestru?

— O, daleko jeszcze, paniczu, a naco wam Dniestru?

— Na polowanie idę.

— Jak stary, no! no! I nie strach paniczom? W jarach czasem Tatarzy mogą być, a czasem i upiory straszą. Tam mogił dużo, a koło mogił to straszno, bardzo straszno.

— Nam niczego nie straszno, rycerzami będziemy jak pan ojciec, gdy dorośniemy, to i od młodości do trudów wdrażać się trzeba.

— A jegomość wie, że panicze aż nad Dniestr idą?

Stach oczy spuścił przed badawczem spojrzeniem dziewczyny, ale Jur dumnie usta wydął:

— Pewno, że wie. Ty nie z naszych, prawda?

— Nie, ze starościńskich, ale jegomościa pana Rymszę znam i jejmość; a jakże, grzybym do was nieraz nosiła. A panicz wiedzą, że to już starościński las?

— To i co? chodzić każdemu wolno. A tą ścieżką nad Dniestr zajdziemy?

— Weźmie się panicz na lewo, zaraz za krzyżem, co jest wedle drogi, a potem w prawo i koło mogił w dniestrowe łoziny. Nasze państwo też dzisiaj nad Dniestrem na czaple polują z sokołami,

będzie na co patrzeć, bo dużo się panów zjechało, jako że to naszego starościca imieniny. Chciałabym i ja widzieć, jeno że samej w oczeretach straszno.

— Możesz pójść z nami — zaproponował z pańską uprzejmością Jur.

— Chyba, że mi panicze grzyby zbierać pomogą, bo nasza stara pani[1]) przynieść kazała pełny kosz, a jeszcze dużo brakuje.

— Dobrze, dobrze pomożemy ci — żywo zaofiarował się Stach — a wiesz gdzie pan starościc polować będzie?

— Ta nad Dniestrem, w łozinach; w pobliżu mogił czaple widywali, a nam droga prosto na mogiły. Panicz może nie zna, jakie to czaple są? Godzinami będzie w wodzie stała, że zda się śpi albo o czemś tak rozumuje, iż o świecie Bożym zapomniała, jak kawał drewna wygląda zdaleka, tak bez ruchu stoi, szyję wygnie, dziób na niej oprze, taj czeka. A ryby opływają ją coraz bliżej, bliżej, z początku ostrożnie, później coraz śmielej, wkońcu igrają sobie bez trwogi, a ona łotrzyca nic, ani drgnie, dopiero jak większa jaka ryba nadpłynie, to ona nagle długim dziobem chlust we wodę, wyłowi, zje i znowu stoi i rozmyśla. Nasz sokolnik wypatrzył, że w łoziny teraz jedna biała czapla zachodzi, co ma krasne pióra na karku, taj

---

[1]) „Starą panią“ nazywano w XVII stuleciu gospodynię.

pani starościna zapolować rada, gości pełny dwór, a po południu pojadą z sokołami.

— Dlaczego nie rano?

— To panicz nie wie, że rano czapla jeszcze mało najedzona, to się wysoko wzbija i sokołom dostać ją trudno, ale ku wieczorowi, jak się rybami naźre, to i lot ma przyciężki, bo brzuch napchany uczciwie nie da się wznieść.

— Skąd ty wiesz to wszystko?

— Mój tatuńcio przy sokolniku służy, toć wiem niejedno. Ale nie zagadujcie, panicze, bo grzyby same do kosza nie wlezą, poszukajcieno i wy trochę. O, tu mogłyby być, bo taki grunt i prawdziwe lubią.

Bystre oczy Jura odkryły w trawach prawdziwki, z bujnej zieleni przebłyskiwał ciemny bronz rozłożystych kapeluszy, przypadł do nich uradowany:

— Ot mam śliczne! Chodźno tu, jakże ci tam?

— Paraska.

— Patrzno, Parasko, wielkie jak talerze, a co, miałaś już kiedy takie? Prawda, jakie wspaniałe?

Dziewczyna wzięła w rękę olbrzymi grzyb i dotknąwszy go, uśmiechnęła się lekceważąco:

— Wielki bo wielki, ale wot, popatrz co w środku paniczu — rozłamała grzyb, wnętrze miał stoczone od robaków, roiły się w nim drob-

ne, białe glisty. Wzruszyła ramionami dziewczyna i grzyb odrzuciła precz. — Stary on już, robaki zjadły, mniejsze nie takie na oko wspaniałe ale lepsze, bo zdrowe, ale jak on tu był, to i młodsze być powinny.

Wprędce kosz był pełen.

Dziewczyna szła teraz lasem pomiędzy chłopcami wysoka i rosła, mocno wbijając pięty śniadych nóg w ziemię, biło od niej zdrowiem i siłą; mimowiednie chłopcy czuli się w jej towarzystwie śmielszymi, nie marzyły się im już niedźwiedzie, nie zwidywały tatarskie głowy. A dziewczyna, przeciągając lekko sylaby, opowiadała śpiewnym, rusińskim dialektem za baśnią baśń.

Las się skończył, wyszli na mogiły, na jednej z nich krzyż się bielił z brzozy ociosany, chwiały osty liljowe wiatrem trącane, cicho tu było i smutno. Dziewczyna umilkła, przeżegnała się, przyspieszyła kroku, a chłopcy kołpaczki zdjęli, szepcąc półgłosem modlitwy za umarłych. W łozinach nadbrzeżnych świergotały ptaki, olszyny młode o zielonawych, pokręconych pniach, oplecione gąszczem dzikiego chmielu i białych powoi, zwierały się miejscami w mur do przebycia trudny. Paraska i tu wyznawała się dobrze, i wprędce stanęli na Dniestrowem pobrzeżu. Dniestr był tu szeroki, majestatyczny, rozlewny, a fala za falą lecąc, obmywała piasek nadbrzeża. Bystro spojrzała Paraska po sąsiednim brzegu.

— O jeszcze nie nadjechali, mamy szczęście.

Jur rzucił się w wygrzany od słońca, miękki piasek i oczekujące oczy utkwił w ciemnej linji widniejącego w oddali lasu.

— Stamtąd nadjechać powinni, prawda?

— Tak, za lasem jest starościńska wieś i zamek.

II.

Polowanie.

Mijała chwila za chwilą, aż wreszcie Paraska krzyknęła!

— Jadą!

Chłopcy zerwali się, patrząc ciekawie: poza szeroką, błękitną wstęgą Dniestru ciągnął się drugą stroną gąszcz niskich krzewów, a dalej ugornych pól przestrzeń olbrzymia. Kołysały się na nich trawy wysokie, wybujałe, pełne astrów białych, ostów liljowych, lśniły w nich kępami maki płomienno-czerwone, a wszystko to razem tworzyło jak gdyby jakiś pas bezcenny, potężną ręką rzucony wdal, bramował go daleki, ciemny las; z niego właśnie wysunęła się gromadka jezdnych, z początku wyglądała jeno jak ruchoma, barwna plama, później można już było rozróżnić poszczególne postacie. Czasem w słońcu mignęła biała kita piór czaplich u sobolowych kołpaków lub jasne podszycie delji.

— Żeby się jeno na prawo nie wzięli — wzdychała Paraska. — A cofnijcie się trochę w łozy, panicze, by nas nie dojrzeli.

Po ugornem polu zbliżała się półkolem rzucona gromada jezdnych; już rozróżniać można było konie rasowe, o rozwiewnych, wstęgami przeplatanych grzywach i ogonach związanych, by się po ziemi nie wlokły. Nieco przodem, na białym dzianecie, przyodzianym czaprakiem błękitnym, mieniącym się haftami srebrnemi, jechała niewiasta postawy wyniosłej o twarzy nietyle ładnej co pańskiej, a tak nieruchomej, jak gdyby w marmurze wykutej. Prawą ręką cugle dzierżyła, na lewej rękawicą opiętej, w pięść złożonej, siedział sokół srebrno-szary, w kapturku z kitą piór strusich, osadzonych w turkusowej tulei. Pani kierowała koniem tak śmiało i wprawnie, iż szedł pod nią jak gdyby w tańcu; po prawej jej ręce jechała druga, bogato przybrana niewiasta również z sokołem. Starsza to już była jejmość i ociężale siedziała w siodle; po lewej zaś na smukłym arabczyku rysowała się barczysta postać wyrostka, liczącego lat najwyżej czternaście. Miał on na sobie żupan biały, materjalny, od ramion powiewała mu delja z bławatowego aksamitu, z sobolowym szerokim kołnierzem, z pod takiegoż kołpaka spływały jasne, starannie ułożone kędziory. Jur ze Staszkiem przyglądali mu się ciekawie, najwięcej z tego całego barwnego, błyszczącego orszaku zajmował ich ten rówieśnik prawie; dziwiła ich jego twarz chłopięca jeszcze, a już jak u młodszej niewiasty dumna, wysunięta pogardliwie warga dolna i spokojna pew-

ność ruchów. Za tą środkową grupą lśniły żupany barwne takie, iż zdały się garścią jakichś kwiatów przepysznych a żywych, widniały twarze srogie, wichrami stepowemi spalone, rycerskie a bitne i kobiece delikatne twarzyczki, połyskiwały kryzy kołnierzy z cieniuchną mgłą holenderskich koronek. Cudzoziemskie, płaskie kapelusze, z piórami spływającemi ku ramionom, przeplatały kołpaki sobolowe z pysznemi kitami piór czaplich, czapki drogiemi kamieniami szyte i perłowe naczółka. Wspinały się konie maści różnej, a wszystkie piękne, chybkie i drogie, rwały charty na smyczy przez psiarników wiedzione, a jednak tak cicho było, że jeno szum fali dolatywał, jednostajny a wartki.

Skinęła młodsza niewiasta ręką, podjechał ku niej sokolnik, młody, czarnooki Włoch, pogadali coś, i sokolnik pędem ku trzymanej na uwięzi sforze podjechał. Spuszczone ze smyczy charty sadziły wśród traw ku łozinom, wpadły w nie, a w chwilę potem rozległo się krótkie ujadanie, zaszumiało w krzewach, zerwał się drobnego ptactwa rój. Psy sadziły wzdłuż brzegu, za niemi jezdni; nagle nisko nad wodą ukazała się czapla biała i niepewnym zygzakowatym lotem dążyła ku drugiemu brzegowi. W tej chwili sokołom zdjęto kapturki, ponad naszczekiwaniem psów, parskaniem koni, nawoływaniem ludzi zagórował ostry, podniecony głos kobiecy, nakazującem:

— Bierz! Bierz!

Jak dwie strzały, spuszczone z cięciwy, śmignęły uwolnione sokoły, wraz rozległo się trwożne kwilenie napastowanej i dziki, chrapliwy wrzask napastników. Mniejszy z sokołów krążył, szukając miejsca, z którego najporęczniej byłoby uderzyć, większy w górę się wzbił tak wysoko, że wyglądał jak ptaszę drobne, a potem jął spadać wprost na czaplę; już rozróżnić można było jego zakrzywione, krwi chciwe szpony.

Jedno mgnienie, a czapla w powietrzu wywróciła się na grzbiet i leżąc na rozłożonych skrzydłach, nastawiła groźny, potężny dziób, by nim przebić napastnika.

Rozległy się z brzegu podniecone okrzyki widzów, zdało się przez chwilę, że sokół rozszalały żądzą zdobyczy, nie dojrzy niebezpieczeństwa, na dziób się nabije i zginie. Ale nie, tuż nad ofiarą napastnik lot wstrzymał i chybotali się chwilę w przestworzu, grożąc sobie wzajemnie dzióbem i szponami. Wreszcie sokół w bok pomknął, by uniknąć grożącego ciosu, a czapla wzbiła się ku niebu, lecz tuż jej śladem jak burza runęli napastnicy; trzy ptasie ciała splotły się w locie w rozwirowany kłąb. Sokoły usiłowały zdobycz ściągnąć ku ziemi, czapla, wydając przejmujący, żałośliwy jęk, broniła się rozdając razy dzióbem. Raz jeszcze, na mgnienie wydostała się napastnikom; skrwawiona, sypiąc gradem piór, pomknęła w górę, ale już sokoły zawirowały nad nią,

i teraz lecieli razem, bijąc się i krwawiąc, rozłączając i łącząc.

A wybrzeżem galopowały konie, pędziły psy, rozlegały się krótkie wykrzykniki, uwagi.

— Ot czapla górą!

— Już ją mają.

— Spadną...

— Nie, lecą znowu.

— Silna łotrzyca...

— Gotowa oddać ryby i wyrwać się sokołom![1])

— Bardzo już zmęczona, nie zdoła.

— A przecież znowu czapla górą.

— Jaka zbroczona!

— Dukata stawiam, że się wymknie.

— Pięć, że ją zmogą.

Chłopcy gnali także drugim brzegiem rzeki, rozbłysłemi oczyma ścigając każdy ruch walczących ptaków.

— Spadną, spadną za chwilę.

— Do wody.

— Nie, ot już są.

I oto drgający, splątany kłąb ptaków rzucił się nagle na prawo i zaczął spadać ku łozinom, spłynęły już na ziemię i teraz przewalały się po niej, szarpiąc wzajemnie. W tem mgnieniu dopadł ich sokolnik i ów wyrostek w białym żupanie;

---

[1]) Często w czasie walki z sokołami, czapla oddawała w locie spożyte wpierw ryby, co jej umożliwiało lot tak wysoki, iż się nieraz sokołom wymknąć zdołała.

w jednej sekundzie zsunęli się z kulbak i nadbiegającej służbie rzucili wodze. Młodszy sokół porzucił już ofiarę, skrzydłami strzepnął i byłby może śmiałym lotem wolności poszukał, ale już sokolnik szybkim jak myśl ruchem dwa żywe, na nitkach trzymane gołębie wypuścił; rzuciły się na nie sokoły i przytrzymując szponami, darły pióra z drgających w bólu.

— Boże, jakie to straszne, — szeptał Stach — biedne, biedne gołąbki małe.

Tymczasem młody pan czaplę podniósł, leżała jak nieżywa, długa jej szyja zwisała ku ziemi, po białym puchu piór ciekła krew dziesiątkami drobnych nitek, jeno po szybko wznoszącej się piersi widać było, że walczy jeszcze tym razem już ze śmiercią. Raz jeszcze wyprężyła długą, giętką szyję, grożąc dzióbem.

— Strasznie poszarpana, dobić trzeba.

Sokolnik z torby wiszącej u pasa nożyk wyjął i ptaka dobił; trysnął purpurowy strumień krwi na śnieżny korpus, drgnęły łapy, rozwarł się dziób, nie żyła.

Nadjechała i reszta towarzystwa, zaczęto zsiadać z koni, oglądać czaplę; miała rzeczywiście piękne, białe pióra na karku. Sokolnik małemi, ostremi obcążkami owe kosztowne, a tak wówczas poszukiwane pióra odciął i według zwyczaju wręczył temu, kto pierwszy do czapli dopadł, a więc owemu chłopięciu w białym żupanie.

Jur zwrócił tymczasem całą uwagę na sokoły, z gołębic zostały jeno odarte z mięsa szkielety. Pomocnicy sokolnika założyli już ptakom kapturki i długie linki z miękkiej skóry przymocowali do łap; siedziały teraz na pięściach pachołków, czyszcząc ostremi dzióbami pokrwawione pióra i zwracając od czasu do czasu połknięte przedtem, a teraz zbite w kule pierze gołębi.

— Wiesz, Jur, wstrętne są te sokoły... Boże, jak one obrzydliwie, łakomie rwały w kawały biedne gołębie, które daremnie rzucały się w ich zakrzywionych szponach — w błękitnych oczach Stacha błyszczały łzy.

— Nie, jaka też z ciebie baba, Stachu! Ty już chyba nigdy rycerzem nie będziesz, księdzem jakim, abo co! Jakbyś ty miał zabić człowieka w walce, tobyś chyba pierwej z litości sam mu się pod szablę nadstawił. — Rozgorzałe źrenice Jura chłonęły cały dziki a piękny obraz, widniejący na drugim brzegu, smagła jego twarzyczka z rozdętemi nozdrzami miała w sobie coś drapieżnego i okrutnego razem.

— Aboż to koniecznie trzeba być rycerzem? Można też ojczyźnie służyć, na roli pracując...

— Eh, jak chłop.

— Pan ojciec mówi, że chłop uczciwy a dobry więcej wart niżeli szlachcic, co byle pankowi służy. A zresztą, czy to praca na roli do utraty klejnotu przywodzi?

— A bądź sobie czem ta chcesz, ja tam, jeno Bóg da, że dorosnę, to ojczyzny mieczem będę bronił.

Na sąsiednim brzegu w cieniu olszyn rozesłano na murawie kobierce i obrusy z holenderskiego płótna, uwijała się służba, wydobywając z puzder zastawy różne, niecąc ogień. Chłopcy z zaciekawieniem patrzyli na niewidziany dotąd obraz, na błyskające puhary, srebrne półmiski i nie byliby jeszcze myśleli o powrocie do domu, gdyby nie Paraska. Dziewczyna żywo śledziła przebieg polowania, ale ta pańska uczta, na którą jeno patrzeć można było, nie biorąc w niej udziału, uprzykrzyła się jej wrychle. Czas jakiś patrzyła na półmiski, a potem przegiąwszy głowę, ziewnęła szeroko:

— Niema już na co patrzeć, ani nawet zapach nie doleci, bo woda szeroka. Czasby do domu, panicze, starościńscy goście jak raz ucztować zaczną, to i do północy nie skończą, abo im to robota nad karkiem stoi. Ale my to już tu za długo siedzimy, słońce już nisko.

— Alem ja łuku nie wypróbował jeszcze — bronił się Jur.

— A do czegóż będziesz strzelał, paniczu? do psów, sokołów czy koni? ptaszęta popłoszyli. Wiecie, żal mi było czapli, łotrzyca ona przebiegła jest, kradzieżą się żywi, ale straszny taki koniec, w prawo sokół, w lewo sokół, ni ujścia, ni

obrony; aż uszy zatknęłam, tak mi ten jej wrzask żałośliwy do serca szedł.

Wracali; ogarnął ich znowu dębowy las, więcej teraz jeszcze tajemniczy a cienisty. Chłopcy myśleli o domu, i serca im biły niepokojem; Paraska zboczy pewno niedługo na drogę wiodącą do jej sioła, i oto będą musieli wracać przez ten tajemniczy, rozszeptany las. A nuż zabłądzą? noc nadejdzie, ciemność otoczy...

Dziewczyna, jak gdyby odgadując ich myśli, spojrzała ku nim z uśmiechem.

— Co się tak panicze zasumowali, co? Miałaby ja już do dworu lecieć, bo daleko i dość się z wami nabawiłam, ale was jeszcze przez las przeprowadzę. Słońce coraz niżej, a nużbyście drogę stracili, dopieroby się dobra jejmość trapiła. Nakrzyczy pani stara, bo sierdzista jest, ale... albo to pierwszy raz. Polecę prosto do czeladnej, może której z dziewek grzyby oddam a potem u tatuńcia przenocuję, bo straszno nocą samej do chałupy wracać, a nasze sioło od zamku daleko.

Chłopcy wraz poweseleli, zaczęli hukać po lesie, zrywać kwiaty dla matki, a Paraska, rozmarzona złotą poświatą schylającego się zwolna do zachodu słońca, śpiewała przeciągle a żałośnie:

„Piszły żeńci w pole żaty,
taj zabuły serpy wziaty,
Serpy wziały, chlib zabuły
oj taki-to żeńci buły...
Oj... taki-to żeńci buły!“

A gdzieś zdalcka, od potężnych dębowych pni wracało echem żałosnem:

„Żeńci buły".

Skończył się las, wśród rozkołysanych przedwieczornym wiatrem pszenicznych łanów ciemniała wdali sylwetka dworu w Rymszówce. Paraska przystanęła:

— No, zostajcie z Panem Bogiem, panicze.

— Dziękujemy ci bardzo, Parasko, za to, żeś nas aż tu doprowadziła, bo ja się wciąż bałem, że jak sami wracać będziemy, to i pobłądzimy — mówił Stach, ściskając serdecznie śniadą rękę dziewczyny.

Jur łukiem na trawie jakoweś linje kreślił, na młodem czole zbiegły się czarne łuki brwi, tworząc głęboką, poprzeczną brózdę, wreszcie głowę podniósł i rzucił:

— Ale słuchaj, Parasko, jak do nas przyjdziesz, to nie mów pani matce, żeś nas w lesie spotkała. Ot chciałem pani matce niespodziankę zrobić i coś upolować.

— Oj, żebyś jeno cięgów nie upolował, paniczu... — chichotała Paraska. Już ja dawno widziała, że im bliżej domu, tem wy smutniejsi byli. Ja tam nie powiem, ale jakby jegomość się dowiedział, mieliżbyście wy! — niebezpieczne nasze lasy ku jesieni. Oj, żeby moja matula żyła, nie dałaby iść samej na grzyby, ale tak, tatuńcio we dworze, a bratowa żona z chałupy gna. Ot,

co jej tam, gdyby biedną sierotę złowili Tatarzy, byłoby o jedną gębę mniej do jadła a ziemi więcej, i niktby nie zapłakał. Ale was płakaliby rodzice, oj płakali, nie trzeba bez pozwolenia po lasach chodzić, wiedzą rodziciele, czego bronią. No, z Bogiem, panicze.

— Z Bogiem, Parasko.

III.

Wina i kara.

Chłopcy szli śpiesznie wśród pszenicznych dojrzewających łanów, zboże zakrywało ich nieomal zupełnie, tak było wysokie, kłosy pełne, pochylone łechtały im karki. Jarzyły się w złocie łanów maki purpurowe, albo wykwitał przy miedzy krzak bławatów lub chabrów liljowych, to znów pełzał po murawie biało-różowy drobny powój, rzucając w przestrzeń silną woń migdałów. Wyrwało się im z pod nóg niemal stado kuropatw, ciężko załomotały skrzydłami i zapadły znowu w pszeniczne rozfalowane łany, zanim Jur zdążył łuk naciągnąć i strzałę nałożyć.

Bliżej dworu ciągnęły się zagony ziemniaków, kapusty wielko-głowiastej, błękitnawej w tonie, i wielkie łany hreczki przekwitającej już, uwijało się jeszcze nad nią kilka pszczół zapóźnionych, brzęcząc.

Wokoło dworu ciągnął się ostrokół z pali dębowych, wysokich na miarę rosłego człowieka, w górze zaciosanych na ostro, widniał z za niego dwór modrzewiowy z dachem podwójnym i wierzyczką strażniczą; z niej to wypatrywano,

czy łun nie widać, czy orda nie nadchodzi, z niej najlepsi strzelcy z długich rusznic walili do wroga. Za dworem i słomą szytemi dachami zabudowań gospodarczych rozpościerały lipy potężne korony, i widać było wierzchołki drzew owocowych. Wrota były rozwarte szeroko, na ławie przed niemi siedział wrotniczy, siwy, czerstwy staruszek w przybrukanej płótniance, wielki ze słomy upleciony kapelusz leżał obok niego, a on sobie w słoneczku siedział, stare kości grzał i węzłowatemi od reumatyzmu powykręcanemi rękami samotrzaski na ptaki naprawiał.

Chłopcy przybiegli do niego pędem zarumienieni, zdyszani.

— Dziadku Ostapie, wrócił pan ojciec?

Stary głowę podniósł, jasnemi, dziecięco dobremi oczyma w ich zarumienione twarzyczki spojrzał i uśmiechnął się:

— A wrócił jegomość, wrócił, Bogu dziękować, właśnie Fyłypek srokatą wyprzęga.

— Ksiądz pleban przyjechał?

— Nie, jegomość sam wrócił.

Spotkały się niespokojne oczy Stacha z zachmurzonemi Jura, tak się im jakoś serca rozkołatały nieprzyjemnie.

Idąc przez dziedziniec szeptał Jur:

— Słuchaj, Stachu, jakby rodziciele o co pytali, ja odpowiadać będę, pamiętaj. A żebyś się o czapli nie wygadał. Swoją drogą jest źle. Idźmy najpierw do pani matki, do czeladnej, może

się z leśniczówką uda, jeno trzeba język na wodzy trzymać.

— A może lepiej...

— Co?

— Przyznać się.

— Baba!

Pędem wbiegli do wielkiej czeladnej izby i gdyby byli mniej zajęci dopiero co przeżytemi wrażeniami i strachem, byliby zauważyli, iż dziewczęta czeladne spoglądały na nich jedne chmurnie, drugie współczująco. Pani Rymszyna, wysoka i rosła niewiasta o jasnych, nisko nad czołem upiętych warkoczach i słodkich, błękitnych oczach, stała u beczki z ogórkami z naręczem zielonego kminu i liścia wiśniowego. Za każdą warstwą ogórków, nałożoną przez gospodynię, pochylała się kładąc kmin, liście wiśniowe i sypiąc równo garść białej soli, od czasu do czasu rzucała i czosnku ząbek. Jedne dziewczęta czeladne wycierały starannie ogórki, drugie płókały, inne nakrawały.

Chłopcy, wpadłszy do izby, czapki zdarli:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków. Amen! — odpowiedziano chórem.

Na widok synów spochmurniała łagodna twarz pani Rymszyny:

— Gdzieżeście to byli?

Stach zarumienił się. Jur przybladł, gdy patrząc w bok rzucił:

— W leśniczówce; po drodze narwaliśmy kwiatów dla pani matki na ołtarzyk.

Pani Rymszyna z rąk chłopców kwiaty odebrała i wstawiając je do glinianego dzbanka z wodą, mówiła spokojnie a ostro:

— W leśniczówce tyleście czasu przesiedzieli?

Stach już usta otwierał, żeby się przyznać, bo ogromnie mu było dziwno i przykro tak pani matce w żywe oczy nieprawdę gadać, ale właśnie do czeladnej wszedł pan Andrzej Rymsza. Mężczyzna to był wysoki a smukły o smagłej, śniadej twarzy pustynnego orła i oczach czarnych, jarzących jak dwie pochodnie pod łukami silnie zarysowanych brwi. Bywały te oczy pana Andrzeja zazwyczaj łagodne, słodkie a wilgotne jako oczy sarny, ale gdy się rozpłomieniły gniewem, to stawały się takie dzikie a groźne, że krew ludziom krzepła w żyłach, słowa zamierały na ustach, a nawet pod najstarszymi we wsi gospodarzami drżały kolana.

Pan Rymsza pochodził z drobnej szlachty litewskiej, rodzice dzieci mieli siedmioro, roli niewiele, było więc wielkiem szczęściem dla pana Andrzeja, że się przez protekcję stryja na dwór pana hetmana Zamojskiego dostał. Zdarzyło się tak, iż urodą swoją niezwykłą rozmiłowanego w pięknie pana Zamojskiego uwagę zwrócił, a gdy na pytanie pańskie bystro a dowcipnie odpowiedział, umieszczono go niedługo potem na koszt

pana hetmana w świeżo podówczas przez niego założonej akademji w Zamościu. Odebrał więc pan Andrzej, dzięki opiece pana na Zamościu, wychowanie nad stan staranne, ale iż później większą czuł chętkę do szabli niżeli do księgi, więc zrobił go pan Zamojski towarzyszem w petyhorskiej chorągwi, gdzie wprędce do stopnia rotmistrza doszedł. Żołnierz był z niego duszą całą, koń był mu przyjacielem, szabla ukochaniem, rozkoszą wiatr stepowy, co lica płomieniem smalił. Chorągiew, w której pan Andrzej służył, pilnowała kresów, więc niemal wciąż przydarzały się utarczki z Tatarami, z Kozactwem, które pod wodzą Archorego Łobody i Szymona Nalewajki najeżdżało Litwę i Wołyń, grasowało po Kijowszczyźnie, a czasem trafiały się walki z kupami swawolnemi, które pod wodzą banitów z czci i mienia wyzutych, rozbijały na szlakach targowych. W jednej z takich utarczek pan Rymsza został ciężko zraniony w nogę; zaopatrzyli go towarzysze, ale gdy po kilku dniach rana zaczęła cuchnąć i czerwonawo-zieloną ropą ciec, to innej rady nie było, tylko młodego rotmistrza do oddalonego o mil kilkadziesiąt Kamieńca przewieźć. Ile razy pan Andrzej na drogę ową wspomniał, to dziś jeszcze przebiegał go dreszcz lęku. Pamiętał, jak przy każdem drgnieniu wozu przechodził go ostry ból i serce ściskał, a wóz się wlókł dniami całemi. Bywały chwile, że śmierć wydawała się panu Rymszy szczęściem, i tęsknił do niej jak

do ciszy, do ukojenia. Nocami gorączka dawała mu zapomnienie, w dzień godziny wiekami się zdawały. W Kamieńcu lekarz amputacji dokonał powyżej kolana, i zaczęła się długa a ciężka walka ze śmiercią; zwyciężył wreszcie młody a silny organizm, i po kilku miesiącach pan Andrzej podniósł się z łoża taki chudy, sczerniały, wynędzniały, że aż litość brała.

Hej... trudno było młodemu, bo zaledwo dwadzieścia pięć lat liczącemu rycerzowi przyzwyczaić się do kalectwa, do owej nogi drewnianej, co tak głucho o tarcice podłogi uderzała za krokiem każdym; trudniej jeszcze przyszło rozstanie z marzeniami o sławie i z całem owem barwnem, niepewnem a bujnem życiem stepowego sokoła, z towarzyszami miłymi, z koniem ulubionym.

Pan Zamojski nie opuścił młodego rotmistrza w niedoli, wyjednał mu pozwolenie na założenie słobody[1]) nad Dniestrem, obdarował hojnie z własnej szkatuły i panu Jazłowieckiemu, podówczas Śniatyńskiemu staroście, listami polecił. Ożenił się wtedy pan Rymsza z równie ubogą jak młodziutką a nadobną panną Hanną Górską, dworką pani Hetmanowej. Poznali się byli jeszcze dawniej na dworze w Zamościu, pokochała panna Hanna pięknego rotmistrza, ale on wtedy

---

[1]) „Słoboda“ w dawnych ustawach polskich osada, wolna na szereg lat od ciężarów państwowych i pańszczyźnianych.

wyżej patrzył i jej złotej główki, oczu błękitnych i wiosennej urody nie dostrzegł. Dopiero kiedy kaleką powrócił, one oczy, miłowania i współczucia pełne, wglądały mu aż w serca głąb i zbudziły miłość. Żonę przez pierwsze miesiące ostawił pan Andrzej u pani Jazłowieckiej w Śniatynie, sam zaś z pomocą ludzi, przydanych mu od pana Jazłowieckiego, po drugim brzegu Dniestru, o wiorst kilkanaście od rzeki dwór wzniósł i s ł o b o d ę ogłosił, wbijając podług zwyczaju na wzgórzu, w pobliżu dworu słup, na podobieństwo krzyża uczyniony, w którego poprzecznej belce tkwiło tyle kołków drewnianych, na ile lat osadnikom przysługiwały ulgi dworskie i państwowe. Nad krzyżem zawiesił cep, sierp i snop żyta, zaczęli więc w podle dworu osiadać ludzie różni, chłopi ruscy, burłacy, a że pan Rymsza energiczny był i pracowity, jejmość zaś dla wszystkich uśmiech miała pogodny, współczucie i radę, więc i osada rosła, przybywało rąk do pracy, które zwolna ugorną ziemię zamieniały w uprawną.

Cicho, spokojnie płynęło życie w modrzewiowym dworku, jeno czasem gdy zajrzał na wypoczynek albo dla podleczenia z ran jaki dawny towarzysz pancerny, to po jego odjeździe długo smutek mgłą zasnuwał oczy kaleki-rycerza. Taki się jeszcze czuł młody, silny, zdrowy, pełen energji i woli, tak go jeszcze wabił koń, step i szabla.

Krzepiło jeno pana rotmistrza, iż nad Dniestr często jesienią zapędzali się w mniejszych zagonach Tatarzy. Obwarował więc dwór ostrokołem, fosą opatrzył, wieżyczkę grzeczną wystawił, z której okolicę dobrze rozpatrywać można było. Zimową porą chłopów swoich we władaniu bronią ćwiczył i niejednego już zagonu atak zbryzgał krwią ostrokół modrzewiowego dworu, nic nie zyskawszy. Prawda, iż szczęściem dla pana Rymszy s ł o b o d a jego leżała w pewnem oddaleniu od Dniestru, daleko od brodu i szlaków, któremi ciągnęły zwykle większe siły nieprzyjacielskie; atakowały zazwyczaj Rymszówkę luźne kupy Tatarów, wysłanych zagonem, by ludność wygarnąć z siół jako z gniazd ptaszęta, i nigdy więcej nie liczył dotąd taki oddział jak pięćdziesiąt do stu koni.

Lata mijały, srebro zaczęło wplatać swoją lśniącą przędzę w kruczą czuprynę pana Andrzeja, i zwolna przycichły w piersi stepowego rycerza burze i protesty. coraz rzadziej ogarniało go zniecierpliwienie i on smutek gorzki, który mu dawniej truł życie. Z uśmiechem poglądał na swoje chłopięta i czynił co mógł, by im z siebie przykład dać dobry a w młode dusze miłość wiary i ojczyzny zaszczepić. Nie pozwalały skromne dochody pana Andrzeja na wysłanie chłopców do szkół, po pańskich dworach kłaniać się nie chciał, więc jesienią i w zimie sam ich uczył. Wprawdzie mu to bakałarzowanie nie

w smak było, ale czegoż ojciec dla dzieci nie uczyni? Nieraz długo w noc przesiadywał pan Andrzej nad księgami i przypominał sobie to czego niegdyś się był nauczył, by synom na drugi dzień dokładnie i jasno wyłożyć.

Stach pojętny był i do książki ciekawy, Jur uczył się łatwo, jeszcze łatwiej zapominał, a wrona lecąca za oknem zajmowała go stokroć silniej niżeli cudne pieśni Jana z Czarnolasu.

Teraz wszedłszy do izby czeladnej pan Andrzej brwi ściągnął, krótko przycięte wąsy zadrgały nad pełnemi, jak u Jura lekko-wyrzuconemi ustami, gdy pytał:

— Gdzieście byli?

— W leśniczówce, panie ojcze — wypalił Jur.

— W leśniczówce... chodźcieno ze mną do stołowej, pogadamy.

Pod chłopcami roztrzęsły się kolana, bo czarne oczy pana Rymszy płonęły, a na wysokiem czole żyły napęczniały jak postronki:

— Naprzód!

Przyzwyczajeni do bezwzględnego posłuszeństwa szli do stołowej, a dziecięce dusze dygotały w nich ze strachu. Jasne oczy Stacha zaraz stały się wilgotne od wzbierających łez; przysięgał sobie w duszy, iż to ostatni raz, ale na pewno ostatni. Jur czuł, jak mu fala krwi do głowy biła i wywoływała w niej dziwny szum a zarazem dziką chęć oporu i sprzeciwu.

W izbie stołowej chłopcy stanęli wyprostowani, milczący; myśli, projekty szalały im w mózgach ale zamierały w nawpół rozwartych ustach.

Pan Rymsza zaś chwilę w milczeniu po izbie chodził, i słychać było jeno głuchy stuk drewnianej kuli, uderzającej o tarcice podłogi, i miarowe tykotanie zegara, który pani Rymszyna w dniu ślubu od pani Zamojskiej otrzymała w darze; wreszcie przed synami przystanął i mówił wolno, chociaż widać było po błysku oczów i ust drganiu, iż ten pozorny spokój ciężko przychodził krewkiemu rycerzowi.

— Więc powiadasz, iżeście w leśniczówce byli... aż dotąd?

— Tak, panie ojcze — wyszeptał Jur.

— A cóż na to powiesz, że jadąc od kowala zboczyłem do leśniczówki i wiem od Fiodora, że was tam dzisiaj nie widziano wcale? I cóż ty na to?

Masz tobie, tom się zasypał — pomyślał Jur — będą baty ani chybi.

— Gdzieżeście więc byli?

— W dę... w dębowym lesie, a potem nad Dniestrem.

— Dlaczegoś więc wpierw kłamał?

— Bo pan ojciec do lasu chodzić zakazał, a ja... ja... chciałem coś upolować. Stach, bo nie winien, ja go wyciągnąłem, a potem bał się sam wracać. — Jur zamilkł, smagła twarzyczka gorzała mu rumieńcem, gdy po chwili dorzucił jesz-

cze. — I to żeby powiedzieć, żeśmy w leśniczówce byli, to także mój pomysł.

Pan Rymsza chwilę w milczeniu na Jura patrzył a potem do Stacha się zwrócił.

— A cóż ty powiesz? Jakoż było?

— Panie ojcze, myśmy obydwaj... wszystko robiliśmy razem, wszystko... — jąkał Stach.

— A więc i ty łgasz!

Pan Rymsza przy oknie się zatrzymał, w sad patrzył; ostatnia krwawa purpura zachodu broczyła przez drobne, zielonawe szybki, i ciemna twarz rycerza w owej łunie blasku wydawała się jak posąg z bronzu odlany.

Stach patrzył w ojca jak w obraz, i ogromna fala miłości wzbierała w jego dziecinnem serduszku. Pragnął mu się rzucić do nóg i opowiedzieć wszystko szczerze, jasno, bez wykrętów jako było, czuł instynktownie, że wówczas ta głęboka brózda pomiędzy brwiami ojca stałaby się płytszą i ten rys niechęci, snujący się wokoło ust, zniknąłby może, a jednak zamiaru swego wykonać nie śmiał. Serce jeno łomotało mu się w piersi, jak u ptaka schwytanego, niepokojem i trwogą, a oczy napływały bezradnemi łzami, których się w głębi duszy ogromnie wstydził. Jura oczekiwanie na karę i przymusowa nieruchomość męczyły nad miarę, dziwiło go, że ojciec gniewem nie wybuchnął, iż jego szczupłe a silne ręce nie zaczynają zwoina odpinać rzemienia od spodni, jako zazwyczaj bywało, a ostry,

wzruszeniem ochrypły głos nie nakazuje: raz, dwa, kładź się!

Niechby już to wszystko i było, tak przykro stać i stać, a nudno! Tymczasem milczenie trwało, sekundy stawały się minutami, minuty w kwadrans przeszły. Zegar jeno mruczał swoje jednostajne, ironiczno-współczujące:

Tik — tak!.. Tik — tak!..

A pan Rymsza wciąż jeszcze w oknie stał i w gasnącą zachodu poświatę spoglądał. Purpura za oknem przeszła w głęboki, żałobny fiolet, po izdebce kładły się cienie wieczoru, gdy wreszcie pan Andrzej ku synom się zwrócił i mówił wolno a dobitnie:

— Mówiłem wam nieraz, że nie odziedziczony klejnot szlachcica szlachcicem czyni, jeno ducha prawość, myśli wyższość, czynów nieskalaność. Kto szlachcicem w duchu nie jest, ten klejnotu niewart! Kto zaś w dzieciństwie ojca okłamywać się stara, temu później łgarstwo drugą naturą się stanie, i snadnie króla, ojczyznę a często i Boga, dawcę żywota i prawdy źródło, okłamie i zdradzi. Właściwie... powinienbym was może zbić, ale... — po ustach pana Andrzeja przebiegło pogardliwe drgnienie, gdy dokończył głucho: — ręki sobie wami walać nie chcę. Jedno wam jeno jeszcze rzeknę, iżem się tego bólu od was nie spodziewał. Możecie wyjść.

Jur na pięcie zawrócił i jak wicher za drzwi wypadł, każdy nerw w nim drgał, trzęsła się ka-

żda żyłka. Jak szalony wpadł do sadu, na ziemię się rzucił i ustami w trawę się wgryzł. Coś w nim pragnęło krzyczeć, płakać, wić się z bólu, nic go tak nigdy dotąd nie dotknęło w życiu jako ta pogarda w głosie ojca. Tuląc płonącą twarz do chłodnych, rosą pokrytych traw, szeptał przez kurczowo zaciśnięte zęby:

— Wolejby mnie byli Tatarzy porwali! Wolejby mnie byli ubili na śmierć!

Stach w pierwszej chwili za Jurem ku wyjściu się zwrócił ale nie przeszedł progu, w drzwiach przystanął. Nie... on tak od ojca odejść nie chciał, nie mógł.

Łzy płynęły mu z oczu niewstrzymaną kaskadą, ocierał je to jedną, to drugą pięścią i przez ich mieniącą szybę widział chmurną twarz ojca, smutek jego oczu czarnych, zapatrzonych znowu wdal, a wokoło ust bolesną linję znużenia. Hej! życieby dał, by ją zetrzeć. Boże miłosierny, ratuj. Stach przezwyciężył nieśmiałość i ulegając popędowi serca, do stóp ojcowskich runął nagle jak długi, szepcząc wśród łkań:

— Panie ojcze... zbijcie... każcie któremu z dworskich zbić... mocno... jak najmocniej! Jeno... jeno się tak nami nie brzydźcie. Jeno darujcie... darujcie.

Słów mu zbrakło.

Po smagłej twarzy pana Andrzeja przesunął się błysk głęboko odczutej radości, ale opanował

ją we mgnieniu i chyląc się ku młodszemu synowi, pytał surowo:

— A nigdy już nie będziesz łgał, Stachu?

— Nigdy — rwało się z drobnych ust, przytulonych do buta pana Andrzeja — nigdy.

— Pamiętaj! Kłamstwo jest początkiem wszelakiego złego, i wystrzegać się go należy zawsze i wszędzie. Złem było, iżeście do lasu poszli pomimo mojego zakazu, ale gorszem jeszcze, żeście to kłamstwem pokryć usiłowali, i to właśnie trudno mi jest przebaczyć, bardzo trudno.

— Panie ojcze, darujcie, ze swawoli to było więcej niżeli ze złości, nie pomyśleliśmy — łkał Stach.

— Więc byliście aż nad Dniestrem?

— Nad Dniestrem, tam pani starościna Tłumacka na czaplę z sokołami polowała, a my się tak zagapili, że i słońce nisko zeszło...

— A gdybyście byli wrócili przede mną, i gdybym był do Fiodora nie wstąpił... byłżebyś się przyznał?

Cicho, cichutko ze ściśniętego żalem gardła rwało się krótkie, urwane:

— Nie.

— Dlaczego?

— Bałbym się batów...

— A teraz prosiłeś o nie?

Chwilę słychać było jeno łkanie ciche, wydobywające się z dziecięcej piersi, a potem szept:

— Panie ojcze, bo wolałbym baty, niżeli...

— Dostaniesz więc baty, kładź się.

Pan Andrzej pasek odpiął i bił spokojnie a silnie. Stach jednak nie płakał już, i chociaż bolało dobrze, zęby ścinał, żeby jeno nie jęknąć, a gdy ojciec rzekł wreszcie:

— Możesz wstać — podniósł się i drżącemi ustami do silnej a smukłej ręki ojcowskiej przylgnął z wdzięcznością.

— Dziękuję, panie ojcze...

A pan Andrzej pochylił się nagle i złotą głowę syna do piersi szerokiej przygarnął i mówił znowu z tym jasnym, dobrym uśmiechem, który jego orlej twarzy wracał młodość:

— Słuchaj, Staszku, ty wiesz jako was miłuję.

— Wiem, panie ojcze.

— Zrozum więc, bo jesteś już na tyle duży, i rozsądku ci Najwyższy nie poskąpił, że jeżeli wam czego zakazuję, to dla waszego dobra jedynie, bo albo to dla waszego wieku nieodpowiednie, albo dla waszego rozwoju szkodliwe być może. Nieraz może się wam wydaje, żem dla was zbyt srogi, ale wierz mi, dziecko, że jeżeli karać muszę, więcej niżeli ciebie skóra, mnie serce boli. Pamiętasz jako wam na wiosnę pokazywałem w sadzie drzewka owocowe, które się dzikiemi pędami okryły od pnia? Pytałeś wtedy, naco je obcinam, więc na jednem drzewku zostawiłem owe dzikie pędy, wam dla przykładu, a cóż dzisiaj?

Oto drzewka z wilczych pędów oczyszczone od owocu szlachetnego się gną, a to, któremu rość dozwoliłem jako chciało, w zieleń jeno bogate, zrodziło kilka kwaśnych drobnych jabłuszek. I z ludźmi tak: gdyby troskliwa, świadoma celu ręka wad nie oderwała, złych przywar nie usiłowała wykorzenić, zgłuszyłyby one wkońcu dobre popędy, i wyrósłby człowiek zły, marny, ojczyźnie nieprzydatny i Bogu niemiły. Jako gospodarz w sadzie stara się mieć drzewa owocem bogate, tak i rodzic pragnąłby w dzieciach swoich nie dziczki nieprzydatne, ale ludzi dobrych i rozumnych ujrzeć. Rozumiesz synu? Do lasu zakazałem wam chodzić, a nad Dniestr tem bardziej. Tatarzy zagony rozpuszczają jako pająki sieci, a kto w nie wpadnie, przepadł — głos pana Andrzeja drgnął wzruszeniem, pogłaskał jasną głowę syna i odwrócił oczy. — Tak bronić was mogę i chronić, wtedy jednak nie zdołałbym już, nie zdołałbym... No, idź teraz i powiedz Fyłypkowi, żeby srokatą dobrze słomą wytarł, a sierpy i kosy niechaj zaraz do szopy złożą, żeby rdzą nie zaszły na rosie.

Stach raz jeszcze gorące usteczka do ręki ojcowskiej przytulił i wyszedł z izby z oczyma wilogtnemi jeszcze od łez, ale i z taką promienną radością w duszy. Prawda, bolała dobrze skóra od rzemienia, że i usiąść będzie pewno trudno bez bólu, ale ojciec mu przebaczył, czuł jeszcze na czole dotknięcie jego ust, czuł ciepło ramienia

garnącego go do piersi i słyszał ten równy, spokojny głos, przemawiający do niego, jak przyjaciel starszy do młodszego przemawia, więc dumny był i szczęśliwy. Jedyną czarną chmurą jego radości była myśl o Jurze, pragnął go namówić, by ojca przeprosił, i nie wiedział w jakiej formie mu to poradzić, by przeciwnego nie wywarło skutku.

IV.

Jako Jur przepraszał.

Pierwsze głębokie cienie wieczoru snuły się przestrzenią, płynęła woń traw zroszonych, gdy Stach spełniwszy polecenie ojca, wszedł do sadu i zaczął nawoływać cicho:

— Jur! Hej! Jur!

Było tu już mroczno, widmowo majaczyły gliną osmarowane pnie drzew; z podwórza dolatywało przeciągłe, żałośliwe zawodzenie, to dziewki w czeladnej śpiewały ruskie pieśni. Zazgrzytały głucho zamykane podwórzowe wrota, zaraz potem rozległo się radosne szczekanie psów, spuszczonych z łańcucha, a w chwilę wielki, kudłaty łeb podwórzowego brytana ocierał się pieszczotliwie o nogi chłopca. Stach był ogromnie uszczęśliwiony z towarzysza, ugłaskał go, i razem zapuścili się w sad.

— Jur, jesteś tu? Jur!

Pies popędził pod cienistą jabłoń przy samym ostrokole i wraz zaczął naszczekiwać krótko, powitalnie. Stach idąc za nim, dojrzał opartego

o pień jabłoni brata, chwilę stał, namyślając się, potem szepnął:

— Jurek, słuchaj, idź przeproś ojca.

— Daj mi pokój!

— Jur... — szybko, bezładnie zaczął mu opowiadać wszystko, jako ojca przeprosił, baty odebrał i o czem z nim mówił. Jur słuchał i kozikiem uderzał machinalnie w bielony pień jabłoni, odłupując korę. Zanim Stach przyszedł, rozmyślał właśnie nad tem, że najlepiej byłoby iść do dworu, do ojca, teraz jednak ogarnęła go znowu fala uporu.

Właśnie, będzie się o baty prosił, jeszcze czego! Stach co innego, baba taka, ale on...

Gdy więc Stach skończył swoją serdeczną przemowę i czekał z biciem serca odpowiedzi, Jur usta wydął i odburknął:

— Właśnie widzisz, że nie przeproszę.

— Dlaczego?

— Bo mi się tak podoba, nie przeproszę i już.

— Nie żal ci? Przecież my szpetnie zrobili.

— Pewno, właściwie ja, bo tyś się chciał już z lasu nawrócić, jenożeś się bał.

— Mniejsza z tem, ale panu ojcu będzie przykro, żeś taki zuchwały, i tak go bolało, żeśmy zełgali, a mamusia... Jur, chodź, przeproś, mój ty złocisty, jedyny, wszystko będzie dobrze, zobaczysz...

— Nie dbam o to.

— Przeproś, Juraś mój... przeproś.

Ale Jur się zaciął w uporze: źle pojęta duma kazała mu trwać w błędzie; fałszywy wstyd bronił okazania na zewnątrz tego, co się w duchu działo, bo przecież w głębi serca Jur czuł, że zawinił, a jednak zdobyć się na pokorę nie umiał, a co gorzej... nie chciał. Wszystkie przedłożenia i prośby Stacha rozbijały się o uparte, niechętne:

— Owa, nie przeproszę i już.

Wreszcie i Stachowi zabrakło cierpliwości, słów i ochoty do namawiania, wzruszył więc ramionami i rzekł:

— Ano zrobisz, jako ci się zda lepiej, ale do domu trzeba nam już iść, wieczerza będzie, a głodnym, no!

Od dworu doleciał właśnie nawołujący głos pani Rymszyny:

— Chło-o-pcy! Chłop-cy! Wieczerza!

— Idziemy! — odkrzyknął Stach.

W izbie stołowej, na białym stole sosnowym stały już miski z kwaśnem mlekiem i kaszą perłową suto skwarkami omaszczoną, leżał bochen chleba białego i wędzonki płaty blado-różowe, apetycznie białym tłuszczem przerastane. Po odmówieniu modlitwy pani Rymszyna mleko przysunęła, i spożywano dary Boże w uroczystem milczeniu. Najpierw sięgano białemi, drewnianemi łyżkami do miski z kaszą, a potem nabierano płat zsiadłego mleka, przybrany obficie kremowym nalotem śmietany.

Jur, pomimo iż był porządnie głodny, jadł mało, pragnął tylko z całej duszy, by się wieczerza skończyła jak najrychlej, dziwnie się bowiem czuł obco a nieswojsko, jak gdyby coś nieznanego stanęło nagle pomiędzy nim a tym rodzinnym stołem. Od czasu do czasu rzucał szybkie, niespokojne spojrzenie na ojca; w drgającem świetle płonącego łuczywa wydawała mu się smagła twarz pana Andrzeja dziwnie ponurą. Dziewczyna służebna zebrała miski, i pani Hanna nalała mężowi w srebrny puharek miód w domu sycony; zazwyczaj popijając go, opowiadał pan Andrzej synom urywki z własnej bujnej przeszłości albo jakieś szczegóły z życia sławnych mężów, dziś jednak milczał. Chłopcom ciążyła ta cisza nad miarę, to też z radością spojrzeli po sobie, gdy pan Rymsza od stołu się podniósł i rzekł:

— Zawołajcieno tam który czeladź na modlitwę.

Pani Hanna sprzątnęła ze stołu i przed zawieszonym nad mocną, okuwaną skrzynią obrazem Matki Bożej zapaliła świecę woskową i wkrąg go przybrała leśnemi kwiatami. Co wieczór w stołowej izbie gromadziła się cała czeladź państwa Rymszów na wspólną modlitwę. I dziś zapełniła się izba dziewczętami i parobkami, wyłaniał się z pomiędzy dziewczęcych, warkoczykami przybranych głów biały, krochmalny czepek gospodyni, jak dynia z pośród liści, a z po-

między konopiastych czupryn parobków połyskiwała łysa, strączkami tłustych, siwych włosów okolona czaszka starego wrotniczego Ostapa; weszła z nimi ostra woń stajni i obory, potu i tłuszczu.

Pani Rymszyna, zapaliwszy od łuczywa świecę, spojrzała spokojnie ale nakazująco w oczy starszego syna. Chłopak odczuł w tem spojrzeniu pytanie i wyrzut:

— Jakoż modlić się ośmielisz do Boga, nie uzyskawszy wpierw ojcowskiego przebaczenia? nie wstydże ci będzie, Jur?

Pod wpływem tego spojrzenia Jur ku ojcu się zwrócił ale i powstrzymał równocześnie, bo zobaczył twarze dziewcząt służebnych i parobków, i owa nieszczęsna, źle pojęta duma podszepnęła mu znowu: Jakoż przepraszać będziesz tak wobec wszystkich? Rozległ się w izbie szelest sztywnych spódnic, uklękli wszyscy do modlitwy, jeden tylko pan Andrzej z powodu swojej nogi drewnianej na ławie siedział.

Pani Hanna odmówiła głośno „Ojcze nasz", „Zdrowaś Marjo", a potem zaczęła litanię do Matki Bożej. Żółtawy błysk świecy padał na twarze pochylone, skupione, oczy wzniesione modlitewnie, ręce złożone zbożnie. Przez rozwarte okno wglądała noc cicha, niebo gwiazdami iskrzące, płynęła woń łąk i lasu, a w ciszy izby dzwonił głos pani Hanny ufny, wierzący, tkliwy:

— „Matko Chrystusowa,“
a odpowiadał jej chór przyciszony:
— „Módl się za nami!“
— „Matko łaski Bożej,“
— „Módl się za nami!“

Jur modlił się wraz z innymi ale nie miał odwagi dołączenia swego głosu do modlitewnego chóru, więc splótłszy kurczowo śniade ręce, powtarzał jeno w duszy: „Módl się za nami“. A w ciągu modlitwy czuł się coraz więcej winnym, coraz nieszczęśliwszym, wzbierały mu w oczach łzy, wzruszenie dławiło w gardle, a przestrzenią płynął głos matki:

„Ucieczko grzesznych“
„Pocieszycielko strapionych“
„Wspomożenie wiernych“ —

„Módl się za nami“... łkało w duszy chłopca. „Królowo Anielska“ — byle jeno wytrzymać, byle nie ryknąć głośno; tak łzy napływają do oczu, w gardle dusi, och! byle nie ryknąć. Przeproszę pana ojca, przeproszę, gdy będę mówił dobranoc, przeproszę na pewno... A Ty mi, Matko miłościwa, daruj, daruj, daruj!

I zdawało mu się, że na ciemnem obliczu Matki Bożej spoczywa błysk uśmiechu nieskończenie dobrego i miłosiernego.

Po modlitwie, gdy czeladź wyszła, chłopcy do ojca jako co wieczór podeszli. Jur bladł i czerwieniał, gdy chyląc się do kolan ojcowskich szeptał:

— Panie ojcze, przebaczyć raczcie... Panie ojcze, ja już... nigdy... naprawdę... nigdy... — głos mu się załamał...

— Dobrze, baty dostaniesz jutro, idź spać.

— Panie ojcze!

— Czego chcesz jeszcze?

— Panie ojcze, zawszeście mi rękę całować dawali na dobranoc, jakoż tak spać mam iść... bez waszego pocałunku?

Pan Andrzej żywym ruchem spadającą na czoło czuprynę odgarnął, w oczach miał wilgotny błysk, ale rzekł twardo:

— Mogłeś do pacierza wieczornego uklęknąć, nie starając się wprzódy ojcowskiego przebaczenia uzyskać, to i spać iść możesz bez mojego pocałunku.

— Panie... ojcze...

— Rzekłem już, spać idź.

Chłopcy wyszli, pocałowawszy matkę w rękę, ale i pani Hanna wstrzymała się dzisiaj od onego ciepłego uścisku, którym darzyła ich zawsze przed spaniem. Pan Andrzej chwilę za dziećmi patrzył, a potem usiadłszy ciężko w jedynym skórą obijanym fotelu, mówił obejmując smukłą a silną kibić żony ramieniem:

— Zmartwiły mnie dzisiaj chłopaki. Stach serce ma tkliwe i gdy nawet coś zbroi, to bez złej woli, dobre z niego dziecko. Ale Jur... Jur, szalona to głowa, uparty, dumny, zawzięty a kłamliwy.

A pani Hanna, gładząc pieściwemi dłońmi mężowską czuprynę, mówiła słodko:

— Nie trap się, Jędrusiu, przypomnij sobie, jako i ty krewki byłeś a ognisty.

— Ale kłamliwy nigdy nie byłem.

— Prawda i to, ale widzisz, przy starannem wychowaniu wszystko się zczasem ułoży, zrównoważy. Jur z przyrodzenia koleryk jest, jeszcze w kolebce leżał a już się złościć umiał. Bujna to natura ale pod twoim kierunkiem wyrośnie nam i z niego radość, Ojczyźnie miłej pociecha i pożytek, zobaczysz.

— Ale, Hanuś, czasem myśl przychodzi, jakby mu tej ręki ojcowskiej przed czasem zbrakło, co wtedy? Kto wie do jakiej niedoli, na jakie bezdroża przywiódłby go ów upór zuchwały, duma nieszczęśnie wygórowana i kłamliwość.

— Co mu zaś ma zbraknąć. Matka miłosierna dozwoli, że chłopaków wychowasz i pociechy z nich dożyjesz.

— Kto wie... serce mi się jakoś często tłucze, niekażdemu Bóg wszechmogący wieku sędziwego doczekać pozwoli. A potem... kto wie co się zdarzy, ciężkie czasy idą, to pewne. Mówił mi ksiądz pleban, jako wieści chodzą, iż się horda znowu ruszać zaczyna; niczby w tem dziwnego nie było, w kraju wojna domowa wre, aż żal serce ściska i wstyd duszę pali, gdy się pomyśli, iż rąk do obrony kresów od poganinów braknie, bo pan Zebrzydowski rokosz podniósł przeciw włas-

nemu królowi, i miast wrogiej przelewa się u nas w Polsce chrześcijańska, bratnia krew. Boże miłosierny — tu pan Andrzej płonące skronie rękami objął, bo krew mu w nich waliła jak młotem — juści że Tatarzy skorzystają z niesnasek w łonie Rzeczypospolitej i zaleją znowu Wołyń, Ruś i Podole. Król wojska potrzebuje przeciw szlachcie, szlachta przeciw królowi; nieszczęsnych czasów dożyliśmy i grzesznych, a tam od kresów kara Boża idzie za niezgodę i pychę, bo naród, który się we wnętrzu rozpada, to dla wroga łup... Hej! Hanuś... gdyby pan Mikołaj Jazłowiecki, starosta śniatyński, mógł był opanować Krym śmiałym najazdem, jako pragnął, Polska byłaby może raz na zawsze wolna od tatarskiej grozy, jawiącej się nad ludem spokojnym. Wielka to była dusza i umysł potężny w św. pamięci panu Jazłowieckim, aleć dla prywatnej szkatuły za wielka to była impreza, a król Zygmunt III Waza lęka się wszystkiego i każdą decyzję odkłada w nieskończoność. Słaby, słaby to pan... dopust Boży na Rzeczpospolitą.

— Ale skoro raz za wolą narodu obrany został i króluje, toć mu trzeba panowanie jednością ułatwić, a nie niezgodą i rokoszami utrudniać — przerwała pani Hanna.

— Ano pewno, pobożny on jest pan i miłosierny, jeno słaby, a naród polski mocnej potrzebuje ręki. Już może Maksymiljan byłby lepszym nabytkiem. Ano stało się.

— Wiesz, Jędruś, nieraz sobie myślę, jakby i mnie było, gdyby tak nagle każda z moich dziewek służebnych rządzić zachciała; piekło byłoby i zgorszenie, a tak, jako jest, każda swoją pracę wypełnia i po Bożemu żyje. Uboższy w wierze świętej powinien znaleźć wytrwałość i pokorę, bogatszy, myśląc o słowach Chrystusa, miarkować dumę, a tak gospodarzyć, by krzywdy nie czynił, boć im większą mu Pan Jezus dał godność, tem i większy go czeka porachunek.

Uśmiechnął się pan Andrzej i rękę żony do ust podniósł:

— Nie niewieści zgoła rozum w tobie, kochanie, prawdać to, że zawdy ktoś rządzić, ktoś słuchać musi, a u nas w tem złe, że tych posłusznych mało, a każdemu się zda, że jeno jemu jednemu Bóg głowę na karku usadowił. Czasem to mi się wprost serce rwie, bo kto jeno umysłem nad innych się wzniesie, to zaraz hajda na niego, daliż mu zazdrościć, goryczą karmić, chwały ujmować, w zamysłach przeszkadzać. Panu Jazłowieckiemu odmówiono pomocy na krymską wyprawę, która dla Polski mogła być zbawieniem. Rok w rok nieomal Tatarzy ludność z Rusi, Wołynia i Podola na rynki tureckie pędzą, a ile dobytku zniszczą, jak kraj marnują! Rolnik na kresach nie dla dzieci swoich pracuje ale dla Tatarów, którzy wydrą mu wszystko wcześniej czy później. Byłoby to wszystko ustało po opanowa-

niu Krymu. Ujarzmieni Tatarzy byliby szybko do nowej władzy nawykli, jako stało się z tymi, co się osiedlili na Litwie, i byliby stworzyli dla Rzeczypospolitej obronny wał przeciw Turcji. Ale bano się, że mógłby śniatyński starosta w potęgę urość i w sławę, i ot... zapędziły go zgryzoty do przedwczesnego grobu, a nam stara została niedola. Hanuś, trzeba będzie parobkom nakazać, by znów stróżowali na wieży.

— Dobrze, Jędrusiu.

— I o śpiżarni pomyśleć musisz, by czego nie zbrakło.

— Wszystko jest, mogłabym całą wieś z miesiąc wiktować. Przyjdą Tatarzy, to i odeprzemy ich znowu, jako już nieraz bywało.

— Daj Boże!

Zadumał się pan Andrzej, głowę na dłoni wsparł; przed wizerunkiem Matki Bożej świeca dopalając się drgała, jak biały motyl rzucony w mrok nocy. Przez rozwarte okno płynął chłód, cisza.

Pani Hanna, zmęczona całodzienną pracą, oparła jasną głowę na ramieniu męża, i siedzieli tak w mroku przytuleni do siebie, z dłonią w dłoni.

Świeca zaś rzucała coraz mniejszy krąg światła, coraz słabszy, aż wreszcie zgasła.

A w ciszy rozległo się śpieszne, ochrypłe, zdyszane bicie zegara; wydzwonił dziesiątą godzinę i terkotał jeszcze chwilę jak stara rozgadana

niewiasta, która przestawszy mówić, jeszcze chociaż ustami porusza.

— Dziesiąta już, pójdźmy spać, Hanuś, jutro znowu do dnia wstać trzeba, mój ty przyjacielu najmilszy — pan Rymsza z ławy się dźwignął. — Ale wpierw do chłopców zaglądnijmy, śpią już pewno, a mnie strasznie nijako, nie przeżegnawszy ich, jako to co dnia czynię, do snu się układać.

W chwilę potem cichutko skrzypnęły drzwi do izdebki chłopców. Stach spał spokojnie, oddychając równo i głęboko, Jur leżał z głową wkopaną w poduszkę z siana. Gdy pani Rymszyna weszło, osłaniając dłońmi ogarek świecy, Jur przewrócił się niespokojnie, snać zasnął niedawno, zbeczawszy się wpierw porządnie, bo płócienna powłóczka mokrą była jeszcze od łez; zauważyła to pani Hanna i kładąc ostrożnie rękę na chłopięcem czole, szepnęła:

— Widzisz, Andrzeju... mówiłam ci, ma i on dobre serce, jeno krewki jest bardzo i trudniej mu się opanować, nie wypłakał się jako Stach we dnie, dopiero na samotnika, skoro już nikt dojrzeć nie mógł, ale widzisz i jemu było żal.

Pan Andrzej pochylił się, krzyż święty w powietrzu zakreślił i owych dziecięcych, snem spoconych czół gorącemi dotknął wargami:

— Ukochani moi, ukochani, oby Bóg miłosierny czuwał nad snem waszym i życiem zawsze.

Pani Hanna otuliła kocem Stacha, bo się odkrył we śnie, poprawiła głowę Jurowi, a na jej młodej twarzy tyle było dobroci i macierzyńskiego miłowania, w jej ruchach ostrożnych a cichych tyle troskliwości serdecznej, że zdała się panu Andrzejowi jego domu aniołem stróżem. I patrząc na śpiących chłopców i na tę pochyloną nad nimi niewiastę, z przepełnionej szczęściem duszy dziękował Bogu za to gniazdo rodzinne, stworzone pracą wytrwałą i miłowaniem, za to dobro największe, jakie Stwórca może dać człowiekowi.

Cisza ogarnęła dwór w Rymszówce, czarna noc opowiła go skrzydłami, jeno czasem od wsi leciało naszczekiwanie psów, a wtedy odpowiadały im głębokim, uspokajającym basem dworskie brytany.

V.

Bej Białoskórski.

A w ową noc daleko na kresach Rzeczypospolitej, od Czarnego szlaku snuło się mrowie ludzi, koni, wozów.

Na ciemne, gwiazdami wyiskrzone niebo wypłynęła tarcza miesiąca, jako miedź polerowana czerwona, i rzuciła snop chłodnego, błękitnego światła na stepy rosą perliste, na namioty połyskujące jak kwiaty olbrzymie wśród stepowych burzanów, na twarze ciemne, dzikie, groźne, ciała nagie prawie a muskularne, wyglądające z pod skór i barwnych kaftanów, zapaliła błysk w szablach krzywych i oczach ukośnych a czarnych, zaigrała na zielonej chorągwi Proroka i wzbudziła błysk w wyhaftowanym na niej półksiężycu.

I oto nagle znieruchomiało owo ludzkie mrowie, ustał ruch wszelki wśród namiotów, wzniosły się ku niebu twarze, a nad stepem popłynęło nawoływanie śpiewne, dźwięczne, tęskne a dzikie:

„La Illa illa Allah, Muhammed Rezul Allah!"

A odpowiedział mu chór głosów ochrypłych kurzawą drogi dalekiej:

„Allah il Allah, Muhammed Rezul Allah!"

I leciała fala owych głosów zawodzących, wznoszących się do krzyku niemal, to opadających do szeptu nad kwitnącym, rozkołysanym stepem ku polskiej ziemicy jak zapowiedź niedoli i łez.

Wdali rozsnuł się czerwony, niepewny błysk, to płonęła kędyś u kresów pierwsza osada polska i jak gdyby łuną wschodzącego słońca barwiła niebo.

Szła od „Czarnego szlaku" kara Boża, waliła ciemna fala najezdników.

Hej! spłynie „lacka" ziemia krwią żywą, rozbłyśnie szeroko i daleko pożogą.

— „La Illa, illa, Allah, Muhammed Rezul Allah!"

Pójdą tysiące w niewolę, w głód, w poniewierkę, na targi Krymu i Carogrodu, do robót publicznych, dźwigania ciężarów, do wioseł w kupieckich galerach w nędzę, w niedolę, w ból!

Poznaczą „Czarny szlak" kopce świeżej ziemi, gdzie zagrzebią tych, którzy długiej drogi nie przetrwali, albo których zaćwiczyły puchy tatarskie.

A jednak ci poganie, zapatrzeni w księżyc wschodzący, modlili się Jedynemu, Wszechmogącemu Bogu słowami Koranu:

— O Panie nasz j a A l l a h, co chętnie przebaczasz... o Wszechmiłujący j a A l l a h... A l l a h h u!

A u boku ich zwisała broń, którą w krwi ludzkiej skąpią po rękojeść, w przekonaniu, iż czynią tem Bogu Wszechmiłującemu radość bez miary.

Zmilknęło wreszcie nawoływanie modlitewne, w obozie znowu zawrzał ruch, ale snuły się jeno szepty przygłuszone.

Na progu namiotu z drogocennej lamy srebrnej, wokoło którego powiewały liczne zatknięte w ziemię buńczuki i nieruchomo czuwał o długą rusznicę oparty Tatar, stanęła wysoka, rosła postać mężczyzny; okrywał go kaftan bogaty, szeroki, miękki pas opinał biodra, lśniły z za niego głownie pistoletów i krzywego sztyletu kosztowna oprawa. Księżycowy blask rozświetlił rysy ostre o ustach, które milczeć umieją, i jasnej, miękkiej, wonią róż przesiąkniętej brodzie. Z pod zsuniętych brwi spoglądały oczy niebieskie bystre, śmiałe a chłodne jak w lód ścięte dwie krople błękitu, szczupła, nerwowa ręka przeciążona pierścieniami spoczywała na iskrzącej od drogich kamieni głowicy sztyletu. Patrzył chwilę na jary snujące się wdali, na połyskujące jak srebro fale Bugu a potem na obóz spojrzał; w mroku płonęły setki ognisk i krwawym odbłyskiem barwiły ciemne sylwetki uwija-

jących się w pobliżu ludzi. Z ożywczą wonią stepu mieszał się łechcący podniebienie zapach pieczonej baraniny.

Nagle z ciemności wyłoniła się sylwetka ludzka oświetlona purpurowo od ognisk, błękitno od księżyca i zgięła się przed stojącym w progu namiotu mężczyzną w głębokich, czołobitnych pokłonach. Po wymienieniu zwykłych słów pozdrowienia przychodzień rzekł:

— Effendi, gałga Dziawletgerej, oby Allah przedłużył dni jego w nieskończoność a pokolenie jego rozmnożył jako gwiazdy na niebie pogodnem, pragnie spojrzeć w oblicze twoje, o wyniosły!..

Oparty o namiot wojownik ściągnął brwi, ale zamiast pośpieszyć na wezwanie Dziawletgereja, pytał spokojnie patrząc wdal:

— Ty, dzielny Selimie-ago, bywałeś nieraz pewno w tych stronach?

— Ty rzekłeś, effendi, włos mój osiwiał w walkach z Polakami.

— Wiesz więc zapewne, co to za rzeka, co w świetle księżyca srebrem lśni?

— Bug, effendi.

— Słuchaj, żali tam Polska już?

— Ty wiesz, panie.

— A ten pożar tam to także w Polsce?

— Nic bystrości twojej nie ujdzie, effendi, ta łuna to dowód, że przednie straże nasze prze-

szły już Siniuchę, a niektóre zagony posunęły się już pewno ku Bałcie.

— Allah jest wielki.

Ciemno-błękitne oczy na mgnienie ukryły się w cieniu rzęs, a potem spojrzały na rękę własną, na głowicy sztyletu opartą, na środkowym palcu tej ręki połyskiwał sygnet herbowy.

Ileż razy bej patrzył w niego ze smutkiem dziwnym. Był to jedyny znak, że gdzieś daleko posiadał rodzinę. Z czerwonego tła krwawnika wychylała się ku niemu litera W, ponad nią był hełm rycerski, nad nim korona a w nią znowu wpleciona litera W.

Polska... urodził się w niej podobno. W przystępie dobrego humoru chan Dziawletgerej dał mu ten sygnet herbowy i rzekł: Twego gniazda rodzinnego to klejnot, Habdankiem pieczętują w Polsce Białoskórscy... Dziś wracał do Polski jako znany i ceniony wódz tatarski, wracał, by tę ojczystą ziemię skąpać w płomieniach, w morzu krwi i łez. Wychowany na dworze brata chańskiego gałgi Dziawletgereja, rycerski i bitny zyskał zupełne zaufanie pana, niedawno połączył się z nimi nawet węzłami krwi, bo poślubił córkę gałgi, Zuleimę. Maleńkim chłopięciem zagarnęła go orda. Czasem jak przez mgłę przypominał sobie jakąś twarz kobiecą uśmiechniętą, pogodną, i zdawało mu się, iż ta niewiasta woła na niego jakiemś obcem, nieznanem a dawno zapomnianem

imieniem, a jemu samemu dźwięczał wtedy w duszy szept „mamo".

Sen to był, sen daleki, coraz bardziej obcy. A teraz zrywał się znowu na widok onej ziemi rodzinnej, i bej Białoskórski odczuwał jakiś dziwny niepokój w duchu. Pomimo to jego ostra, męska twarz zachowała maskę obojętności.

— Effendi.

— Co takiego?

— Gałga czeka:

— Prawda.

W chwilę potem czarny niewolnik podniósł przed nim barwny kobierzec w namiocie Dziawletgereja i bej Białoskórski, założywszy ręce na piersiach, pozdrowił dostojnego teścia zwyczajem wschodnim:

— Sallam aaleikum.

— Aaleikum sallam.

— Oby Allah czuwał nad zdrowiem twojem.

— I nad twojem, usiądź.

Dziawletgerej wskazał niedbałym ruchem upierścieniowanej ręki na stos barwnych poduszek obok siebie. W tej chwili młody, zupełnie niemal nagi niewolnik podał gościowi fajkę kosztowną na długim cybuchu i postawił na macie u jego stóp sorbety i kawę. Dwaj dostojnicy palili w milczeniu, kłęby dymu otoczyły ich rozwiewną mgłą, jarząca się u wejścia do namiotu pochodnia rzucała drgający rozbłysk na te dwie jak gdyby w kamieniu wykute a tak różne twarze.

Wreszcie Gerej z pod ociężałych powiek rzucił uważne spojrzenie na zadumaną a obojętną twarz beja i rzekł:

— Jutro o świcie staniemy w Polsce.

— Allah jest wielki.

— Kosz założymy w pobliżu Nikityny nad Dniestrem.

— To u przeprawy?

— Ty rzekłeś. Poszczególni dowódcy powiodą ordę na Ukrainę i Wołyń, ty przeprawisz się koło Nikityny przez Dniestr i pójdziesz jego brzegiem na Jampol, Mohiłów ku Rusi, zapuszczając zagony jak najdalej, a omijając fortalicję.

Bej podniósł do ust filiżankę z kawą i pił wolno, z przymkniętemi powiekami, z pod których jednak dumne i śmiałe źrenice uważnie śledziły grę wyrazu w nalanej, żółtawej twarzy gałgi, a ów mówił dalej:

— Dzięki Allahowi, Polacy znowu kłócą się pomiędzy sobą, więc zanim pan Hetman Żółkiewski przeciw nam wyruszyć zdoła, my wycofamy się już z granic z łupem. Gdybyś słyszał, iż większe siły polskie nadciągają, cofaj się śpiesznie, unikając bitwy. Część łupu mógłbyś odsyłać, by ci przy cofaniu nie zawadzała; do walki większej nie chciałbym, by doszło. Gdybyś bez przeszkody posunął się aż ku Lwowu — dalej pewno zajść ci nie dadzą — omijaj starannie dobra Żółkiewskiego hetmana i łupu z nich nie bierz.

— Dlaczego?

— Panu Żółkiewskiemu wielu zazdrości władzy. Gdy najazd nasz oszczędzi jego włości, pomówią go o zmowę z nami, i straci na sławie i zaufaniu.

— Rozumiem, na tem my zyskamy, ponieważ pan hetman nie będzie mógł działać swobodnie.

— Właśnie... — gałga nową fajkę wziął z rąk sługi i kończył — mógłbyś wyruszyć jutro o świtaniu?

— Dobrze.

Dziawletgerej w dowód łaski podał bejowi garść wielkich, słodkich daktyli. żuli je w milczeniu, wypluwając od czasu do czasu pestki na dywan. Wreszcie gałga rzekł, patrząc uważnie w nieruchomą twarz beja:

— Pierwszy raz bierzesz udział w wyprawie na Polskę. Urodziłeś się między nimi, ale Prorok okazał łaskę nad tobą i dozwolił ci wejść w poczet wiernych, niema więc już nic wspólnego pomiędzy tobą a temi psami niewiernemi. Oby ich Allah wytracił! Jednak będąc w Polsce, pamiętaj na słowa Koranu: „O wierni, nie zawierajcie przyjaźni z takimi, co nie wyznają waszej wiary, oni was uwodzą i życzą wam źle“.

— Wyznawcy Proroka są mi jedyną rodziną, a tobie, gałgo, nigdy nie zapomnę tego, coś uczynił dla mnie. Obcemu dałeś ojczyznę, wiarę, godności, jakich niejeden we wierze urodzony próżno

dosięgnąć usiłuje, a wreszcie szczęście i światło oczu moich Zuleimę. Jam wasz, duszą i ciałem wasz, wszak nie wątpisz? — Bej Białoskórski myślał tak, jak mówił. W dzieciństwie opuszczona ziemia Polska niczem mu była dotąd, wyznawcami Chrystusa pogardzał, jak każdy prawy wyznawca „islamu“.

— Gdybym o tobie wątpił, nie byłbym cię uczynił tem, czem jesteś.

— Nie zawiodę twego zaufania, zawsze będę wiernym wyznawcą Allaha i wrogiem giaurów — twardo odrzucił bej.

— Jeżeli wyprawa się powiedzie... — Dziawletgerej urwał, na jego nalaną, zżółkłą twarz wystąpił uśmiech, z jakim pogromca ukazuje wygłodniałemu zwierzęciu żer, gdy kończył z naciskiem — otworzy ci to drogę do wielkich dostojeństw, mój zięciu.

Bej pochylił głowę, bystre, chłodne jego źrenice wpiły się w przymknięte oczy gałgi spojrzeniem:

— A jeżeli się nie powiedzie?

Dziawletgerej zaciągnął się dymem i wypuścił go jak chmurę okrągłych pierścieni, chwilę przyglądał się jak kształt zmieniały, jak poszczególne ogniwa wydłużały się w elipsy, łączyły, nikły, aż rozpłynęły się w smugę ledwo dostrzegalnej mgły, a potem rzekł obojętnie, sięgając po sorbet:

— Ze względu na pokrewieństwo kazałbym cię pochować okazale i tarbusz wiernego wyryć na sarkofagu.

— A!.. — Z piersi beja wypadło to „a!“ jak złowrogi zgrzyt, opanował się jednak zaraz i rzekł z mocą: — Powieść się musi.

— Wierzę w to.

— Zali masz jeszcze jakie rozkazy dla mnie?

— Jeden tylko, by krew i pożoga szły twoim śladem, a łup twój niechaj będzie obfity, litość niechaj zamrze w twojem sercu, a rozum twój niech Allah rozjaśni, byś odważny był jako lew a jak wąż przezorny. Niech cię Allah strzeże, da chwałę i łup.

Dwie silne dłonie spotkały się na mgnienie w uścisku, i bej Białoskórski, założywszy ręce na szerokiej piersi, wycofał się z namiotu gałgi; w drugiej jego części czekało kilku baszów i murzów. Zamieniwszy z nimi szeptem pozdrowienia, Białoskórski wyszedł.

O kilkadziesiąt kroków od namiotu zatrzymał się, wahał się chwilę, drwiący uśmiech podniósł mu wargi, bo przypomniał sobie życzenie Gereja: „przebiegłym bądź jak wąż“... zawrócił. Szerokim łukiem krążąc, znalazł się znowu w pobliżu namiotu świecącego zdaleka chorągwią z półksiężycem, podsunął się aż pod tylną ścianę, do ziemi przylgnął, czujne ucho do miękkiej przepony przyłożył i słuchał. A w mia-

rę jak słuchał, silne jego dłonie cisnęły kurczowo głowicę sztyletu, i była chwila, w której chciał jednym ciosem ścianę namiotu rozciąć, do wnętrza wpaść i ową zżółkłą głowę gałgi od korpusu oddzielić, pod stopy sobie rzucić i... zgnieść! Opanował się jednak. Z za przepony dobiegał go ów rozwlekły głos dostojnego teścia, przerywany bulgotem przełykanej kawy i drugi pokorny, przyciszony, pełzający zda się u bogatych pantofli Dziawletgereja.

— Więc wyruszysz jutro z Białoskórskim. Nie nasuwaj mu się jednak zbytnio na oczy, jeno zdaleka czuwaj.

— Słowa twoje są dla mnie rozkazem, o wszechwładny.

— Mojem zdaniem, narazie Białoskórskiemu najzupełniej zaufać można, to jeden z tych sokołów, co na drugiego sokoła rzuci się bez namysłu, gdy sokolnik każe, aleć zawsze ostrożność nie zawadzi.

Cisza i ów pełzający głos.

— Effendi, jakoż mógłby nawet bej Białoskórski o odstępstwie Proroka pomyśleć? Wódz on wielki, sokół on prawy, o jego strzemię każdy wierny czołem bije w pokorze, ale gdyby do Polaków przejść chciał, każdy z wyznawców Allaha miast głową o strzemię, kindżałem uderzyłby mu w pierś. Niewolnik on twój, Effendi, pies on twój, z którym polujesz na wroga, aby ci go wytropił i osaczył, ale któremu zaraz po walce

smycze założysz. Rab on twój, a wierności jego dla Proroka i ciebie, o wzniosły, pilnuje każdy prawowierny muzułmanin.

— Słusznie to wywiodłeś, za cudze szczenię nigdy ręczyć nie można, więc baczenie na niego miej. Gdyby się z Polakami zwąchał — głos Dziawletgereja stał się sykliwy jak świst węża: — zabijesz.

— Zabiję, o Effendi.

— Ałła!

Bej Białoskórski nie słuchał już dalej, zerwał się i od namiotu odszedł, zataczając się jak człowiek pijany, krew zalewała mu oczy, szalały tętna.

— Zabijesz... syczał za nim wiatr, lecący od stepów.

O głupi! głupi!.. zdawało ci się zawsze żeś wolny, iżeś wielki i dostojny, a oto jako w istocie jest... szczenięciem obcem jesteś między nimi i pozostaniesz szczenięciem, które gałga wychował na obronę domu, które jednak w razie potrzeby zabije bez namysłu. A tobie się zdało, żeś ojczyznę znalazł, rodzinę, szczęście.

Chichotał wkoło niego wiatr:

— Głupi... głupi.

Przeciwnie właśnie wydarto cię ojczyznie i rodzinie, z człowieka wolnego zrobiono niewolnika. Słuchają cię, biją ci czołem o strzemię, po ich karkach rumaka dosiadasz, ale mimo to są oni ludźmi wolnymi, a ty ich więźniem. Pilnują cię

oczy twoich podwładnych, jak cennego skarbu smoki legendarne.

— Allah! Allah!

Wpadł do swojego namiotu jak burza, na łoże ze skór i barwnych poduszek się rzucił i powtarzał szybko, chrapliwie, jak człowiek duszący się w konaniu:

— Allah! Ałła! Ałła!

Potem zerwał się, usiadł i wrzasnął głosem potężnym jak grom:

— Halim! fajka!

Młody chłopiec o lękliwych, wilgotnych oczach gazelli podał panu cybuch, lśniący drogiemi kamieniami. Bej otoczył się chmurą dymu. Z początku wyrzucał całe wulkany białych obłoków, potem palił coraz wolniej a wolniej, dmąc kunsztowne koła, lejki, elipsy, a wzburzona twarz przybierała stopniowo dawną kamienną nieruchomość.

Rozważał słowa Dziawletgereja, i coraz mniej go one oburzały, natomiast coraz wyraźniej uwypuklała się obietnica: „otworzy ci się droga do wielkich dostojeństw, mój zięciu“.

Przed dumnemi oczyma beja snuła się godność p a s z y a może e m i r a, snuły podarki chana i Wysokiej Porty.

Bej ważył, rachował.

Na jednej szali była jakaś ostatnia skra miłowania ku nieznanej ojczyźnie i ona twarz słodka, w dzieciństwie widziana... Gdyby powrócił...

A zaraz chłodny rozsądek pytał: Do czego powrócisz? Trzydzieści lat jesteś już na Krymie, bejem jesteś, emirem może zostaniesz, masz rozległe włości, pałac w Jałcie i Bakczyseraju, łaskę chana, a w Polsce byłbyś szlachetką jednym z wielu, jakimś ubogim Białoskórskim, herbu Habdank, o niepewnej przeszłości, któremuby wszyscy nieufność nieśli.

I przeważyła owa szala druga, przyzwyczajenia i pychy wiecznie niezaspokojonej. Blady, okrutny uśmiech podniósł nawykłe do milczenia usta. Bej Białoskórski postanowił zalać Polskę krwią i pożogą... starą ojczyznę poświęcić nowej.

VI.

Pierwszy cień.

Padała na łanie złota pszenica pod lśniącemi sierpami żniwiarzy. Dzień był skwarny, więc pracownikom pot spływał obfity po ogorzałych twarzach i lgnęły do ciała wilgotne koszule.

Zachybotał czasem nad łanami piskliwy dziewczęcy chichot, czasem piosnka się zerwała, przesiąkła łzami i tęsknotą. Żyjąc pod wieczną grozą tatarskiej niewoli, lud ruski nie miał owych butnych, wesołych, swawolnych pieśni, jakie słyszymy dotąd w innych częściach Polski. W każdej dumce czaiło się echo niedoli, lęk przyszłości, a chociaż treść bywała wesoła, to melodja rozełkana, przeciągła, zawodząca przypominała raczej pogrzebowy śpiew a nie ucieszną piosenkę.

Czasem czyjeś oczy poglądały ku słońcu, rychło się też ku zachodowi pochyli i pracę zakończy.

Starsze kobiety pracując opowiadały sobie różne plotki wiejskie, młodzież uwijała się gorączkowo, pobudzając się dowcipami, usiłując

prześcignąć wzajemnie. Pan Rymsza obiecał bowiem po szklance miodu dla kobiet, po kubku gorzałki dla mężczyzn, jeżeli do wieczora wszystko na pańskiem w snopy złożą. Niewielka już tylko przestrzeń zbożem się złociła dojrzałem, zato na ścierniskach stały już snopy powiązane i wyglądały zdaleka jak jakowyś królewski pochód w nieskończoność.

Nagle jedna z dziewcząt, przesłoniwszy oczy ręką od słońca, zaczęła bystro patrzeć w stronę dębowego lasu.

— Małanka wypatruje czy od boru cud-rycerz nie jedzie, by ją do swojego dworu zabrać. Ręczników[1]) od żadnego chłopca we wsi przyjąć nie chce, na cud-rycerza czeka.

— Albo na chana krymskiego. Pono już się o Małance zwiedział i jedzie.

— Małanko, krasawico, kogo wolisz, cud-rycerza, co się w mgle rannej rozpłynie, czy chana poganina?

Naśmiewali się chłopcy, piękna dziewczyna ramionami jeno wzruszyła niechętnie i rzekła, schylając się nad łanem:

— Zda mi się, że idzie stara Katarzyna.

— Katarzyna? już chyba ze dwa roki nie widziano jej w naszem siole. Niech Bóg broni od czego złego — szeptały z zabobonnym strachem kobiety.

---

[1]) Na Rusi swaty przychodzą z ręcznikami.

A miedzą wśród ściernisk wlokła się szara, pochylona postać, macając drogę kijem żebraczym.

— Matko Fyłypycho, czy to prawda, że jak stara Katarzyna do sioła przyjdzie, to zawsze ktoś umiera?—pytała szeptem jedna z dziewcząt.

Fyłypycha głową skinęła potakująco:

— Znająca ona jest, ziółka na niemoc wszelaką ma, krowom mleko zamówić potrafi, rolę zaczarować, żeby nie rodziła. Czart ją wie skąd ona, ale jest groźna czarownica, i śmierć się za nią wlecze jak cień.

— Bajecie! — zaśmiał się młody głos jednego z parobków — z czartem nie trzyma, bo sam ją widziałem w kościele modlącą się przykładnie, a nasz jegomość zawsze ją przenocuje i na drogę zaopatrzy, gdy przyjdzie. Nieszczęśliwa ona tylko, niespełna rozumu jest, wiecznie czegoś po kresach szuka i z sioła do sioła idzie, jakby ją co gnało.

A szara postać zbliżała się; widać już było jej strój, jak gdyby kupę jedną wypełzłych łachmanów, jej włosy siwe, rzadkie, spływające warkoczem długim a cienkim na plecy wypukłe, twarz zżółkłą siecią zmarszczek pokrytą, kołyszącą się na długiej, wyschłej szyi, i oczy małe, wypłakane, spoglądające obłędnie po łanach.

W pobliżu żeńców przystanęła, na kiju się wsparła i ozwała nagle głosem zgrzytliwym, jak skrzyp studziennego żórawia:

— Sława Bohu.

— Na wiki wików amen, — odpowiedziano chórem, pracując ze zdwojoną energją.

Stara patrzyła w milczeniu na żniwiarzy, a potem zapytała znowu:

— Rymszówka, prawda?

— Rymszówka — odpowiedział młody parobek, który przedtem bronił ją od zarzutu czarnoksięstwa. — Dawno was już w naszem siole nie było, matko Katarzyno.

— Na Dzikich Polach ja była.. na Czarnym szlaku szukała, — oczy jej zmętniały, gdy kończyła mruczeniem niezrozumiałem prawie — niczego nie znalazła, ani mogiłki, ani kosteczki nie znalazła.

— A dokąd was teraz Pan Bóg prowadzi?

— Daleko... daleko... od sioła do sioła, aż hen gdzieś pod Lwów, a potem znowu na Czarnym szlaku szukać trzeba, szukać... — pochyliła się, podniosła kłos przez żniwiarzy uroniony i rozcierając go w chudych, czarnych dłoniach, mruczała: — Duże ziarna, pełne ziarna, dał Bóg urodzaj, ale już ciągnie głodna szarańcza od kresów, i kto wie... kto z was ze zboża tego chleba doczeka.

Była w tych słowach dziwna groza, skupiły się lękiem zdjęte dziewczęta, a młody parobek pytał, tym razem z niechęcią w głosie:

— Cóż nam tak żałośnie kraczecie, matko Katarzyno? Przecz nie mielibyśmy chleba nowego doczekać?

— Daj Boże, synku-sokole, byś go jadł... aleć ja wiem, co wiem. Bywała ja wedle Jampola i Czartomeliku, wedle Bałty i u Sinych Wód, idzie szarańcza od kresów aż po stepach czarno, a nocami od łun niebo goreje. Kara Boża idzie od stepów. Ostrzegałam ja ludzi... ostrzegałam; uciekając na wóz i mnie zabrali i podwieźli, ale my już nocami za nami łuny widzieli... wedle Jampola i Mohylowa... kara Boża.

— A co tam tak prorokujecie, matko Katarzyno? radbym usłyszał i ja. — Pan Andrzej nadszedł, wesołem spojrzeniem obrzucił żeńców i snopy związane na łanach, i dobrotliwie na wynędzniałą szarą postać patrzył. — Zajdźcie do dworu, matko Katarzyno, znajdzie się posłanie i strawa ciepła, moja jejmość rada was ugości, wypoczniecie sobie, bo zda się ledwo nogi ciągniecie za sobą.

W oczach starej kobiety zaświecił przytomniejszy błysk:

— Ładny urodzaj ci Bóg zdarzył, synku-sokole, ziarno ciężkie, kłosy pełne, aleś i wart, bo wszystko to twoją pracą powstało i twoim potem a bez krzywdy ludzkiej.

— Wiecie! to i matka Katarzyna basować potrafi — zaśmiał się pan Rymsza:

— Ej, sokole-synku, nie przyszłam ja tobie basować ale jako ten puhacz o nieszczęściu zakrakać... — głos starej do szeptu opadł: — była ja u Sinej Wody, namiot tam przy namiocie, po-

tratowały stada trawy stepowe, a wieczorami niebo od ogni czerwone.

Pan Andrzej spojrzał uważnie w owe szare, błędne, wypłakane oczy.

— Wiem, że się orda ruszyła; już od tygodni głuche wieści krążą, jako coraz to dalej się posuwają. Ale my od głównego szlaku daleko, to i wieści nierychło dochodzą; może Bóg da, że i Tatarzy nie posuną się tak daleko.

— Posuną się, synku-sokole... jak mrowia tego jest, jak mrowia. Posłuchaj ty starej Katarzyny, zostaw dobytek na łaskę Bożą, wozy wymość, zabierz co możesz i... uciekaj — węzłowata, chuda ręka dotknęła nieśmiało płóciennego żupana pana Andrzeja — uciekaj synku-sokole.

— Nigdym nie uciekał, opór trzeba Tatarom stawić, bo inaczej zalaliby moc obszaru; a tak zatrzymają się u jednego, to u drugiego dworu, po zameczkach i fortalicjach, to się na czasie zyska i wojsko zdąży się zebrać, by na nich uderzyć. Prawda, dzieci? będzie, co Bóg da, ale ostaniemy razem na dolę i niedolę.

— Ostaniemy razem — zadźwięczało z nad łanów.

— Będą Tatarzy bliżej, zamkniemy się znowu wszyscy we dworze, jako już nieraz bywało, dobytek ukryje się po lasach, i będziemy bronili tej ziemi, co nas żywi, póki sił stanie. No, chodźcie, matko Katarzyno, do dworu... ciężkie czasy idą ale i miną przy pomocy Bożej — do żniwia-



Ot powiem wam coś, matko Katarzyno, ostańcie u nas (Str. 82).

(Dwaj Rymszowie)

rzy się zwrócił: — A wy, moje dzieci, po pracy do dworu na poczęstunek przyjdźcie.

— Bóg zapłać jegomości! — odkrzyknięto chórem.

Pan Andrzej szedł wolno, wspierając się na lasce; szara, pochylona postać obok niego wlokła się z wysiłkiem. Oczy rycerza poglądały z litością na te łachmany, włos siwy, na tę głowę roztrzęsioną od starości i nogi bose, czarne, wychudłe. Myślał, jak to boleśnie być musi na całym Bożym świecie nie posiadać kąta, któryby swoim nazwać można było, i jeno tułać się tak zimą i latem, od progu do progu. Czy tak zawsze bywało? Mówiono o Katarzynie, że ją przed dziesiątkami lat zagarnęli Tatarzy, iż w niewoli rozum straciła i tułała się od niepamiętnych czasów wiecznie na tym samym szlaku od Lwowa do Siniuchy, żyjąc z miłosierdzia ludzkiego. Czasem, gdy Katarzyna w swojej wieczystej wędrówce znowu zawitała do Rymszówki, przychodziło wtedy na myśl panu Andrzejowi, że musiała pochodzić z lepszego stanu, bo po polsku mówiła prawie czysto, a w przytomniejszych chwilach znać było w jej słowach i zachowaniu ukształcenie pewne. I teraz, zwracając ku niemu wypełzłe, żałośliwe oczy, mówiła cicho:

— Oj, synku-sokole, starość nie radość, oczy coraz gorzej widzą, kości bolą, nogi ledwo niosą. Ot... przyjdzie człowiekowi może zdech-

nąć jako tej sobace przy drodze, i ani oczu mu nikt nie zamknie, nikt ze swoich.

— Jakżeście dali rady dojść tu od Sinych Wód i to przed Tatarami?

— Ludzie dobrzy, za ostrzeżenie wdzięczni, na wóz wzięli i podwieźli; kiepskie moje nogi już, a tu szukać trzeba... trzeba...

— Czasby wam już porzucić tę tułaczkę, matko Katarzyno.

— Porzucę, jak umrę, synku-sokole... nie mam ja gdzie starej głowy przytulić, ni łomu, ni domu.

Zadumał się pan Andrzej, zukosa na roztrzęsioną głowę staruszki spojrzał, wspomnieniem zadźwięczało mu w duszy kazanie niedzielne, które ksiądz pleban rozpoczął słowami: „Zaprawdę powiadam wam, cokolwiekeście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“.

Co tam takie biedactwo, w czeladnej się przytuli, dał Pan Bóg urodzaj, azaliż nie najlepszą podzięką byłoby przygarnięcie nędzoty takiej. Przy tylu ustach czekających pożywienia i te starcze wargi głodnemi nie ostaną. Wszakże gdybym psa bezpańskiego a nędznego znalazł, przytuliłbym go bez namysłu, a toć przecie człowiek, kobieta. Pan Andrzej rzekł życzliwie:

— Ot powiem wam coś, matko Katarzyno, ostańcie u nas.

Spojrzały w jego śniadą twarz oczy mętne od łez:

— Synku-sokole... o mnie mówią, żem jest niespełna rozumu, może to i prawda, bo czasem to mi się wydaje, żem także miała swój dwór, męża, dzieciąteczko maleńkie, sługi... Czasem znów zwiduje mi się wnętrze jakowegoś pałacu od marmurów lśniące, szelest wody tryskającej jak źródło i jakaś twarz obca i jakaś mowa nieznana. Ot warjatka stara... i chodzę, chodzę, muszę chodzić, synku-sokole, bo tu gdzieś między Lwowem a Sinemi Wodami straciłam męża, dzieciątko, dwór, rozum, urodę. Muszę szukać, widzisz, może jeno drogę straciłam, może ich znajdę, przygarnę do serca... chociaż raz przed śmiercią. Może oni żyją, może stoi jeszcze mój dwór, może tam jeszcze sad wiśniowy wonieje wiosną. I pamiętam jeszcze noc czarną, pożogę, krew i jakąś dłoń szeroką, co mi usta zatknęła, bym nie krzyczała, i jakąś jazdę szaloną. I pamiętam jeszcze... Boże! Boże!.. Nie, nic już nie pamiętam, synku-sokole, nic... nic, ani nazwiska, ani dziecka imienia, nic... Może ja naprawdę byłam zawsze jeno starą Katarzyną, starą warjatką, może od początku świata tak się tułałam po Dzikich Polach, nie wiem, nie wiem.

— Nie myślcie o tem, matko Katarzyno, Bogu się polećcie, w modlitwie szukajcie ulgi.

— A jako myślisz — synku-sokole mogłoż tak być?

— Różnie bywa na kresach, niejeden w dostatku żywot zaczyna a w nędzy go dokonywa. Ale jeśli nawet było, to już lata nad tem przeszły, i nawet śladu odszukać byłoby trudno. Ot ostańcie u mnie, nikt wam złego słowa nie powie, dokończycie dni waszego żywota w spokoju.

I znowu na białym rękawie pana Andrzeja zaczerniała chuda ręka, gładząc płótno pieszczotliwie:

— Dobry jesteś, dobry. Niech ci Bóg nagrodzi, obyś nigdy nie szukał tak swoich po stepach sinych, po lasach ciemnych, jako ja. Mówię ci, synku-sokole, znam ja te twarze czarne, te oczy ukośne, te serca dla nas, wyznawców Chrystusa, bezlitosne i dlatego mówię ci, ostaw wszystko, a jeno swoich zabierz i uciekaj, gdzie oczy poniosą, byle daleko, daleko.

— Nie może to być! Nie nowiną mi walka z Tatarami, a jeżeli Bóg w obronie wiary świętej i ojczyzny zginąć czy cierpieć przeznaczy, to znać taka wola Jego.

— Kupa ich idzie... kupa.

— Ponoś sam chan prowadzi?

— Mówili ludzie jako brat chański. Ja wszędzie idę, wszystko widzę, bo boją się mnie ludzie; mówią, że z czartem trzymam, aleć nieprawdą jest, czarownicą nie byłam, nie jestem, jeno nieszczęśliwą, starą warjatką. Wierzysz chociaż ty, synku-sokole?

— Wierzę.

Zatrzęsła się broda i po zwiędłych policzkach staruszki spłynęły dwie łzy. — Pan Andrzej odwrócił głowę, bo mu się tak dziwnie mdło zrobiło na sercu, jak gdyby obok niego wlokła się nie stara, wiekiem pochylona kobieta, ale upostaciowanie nieszczęścia.

Doszli do dworu. Na ganku siedziała pani Hanna i naprawiała bieliznę; jej pracowite ręce migały jeno nad bielą płótna jak dwa ciemne motyle. Na widok męża jasny uśmiech przesunął się po jej młodej twarzy, i starą Katarzynę pozdrowiła życzliwie.

— Jak się macie, matko Katarzyno? Skąd Bóg prowadzi?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen. Chodźcieno do czeladnej, akuratnie garnuszek rosołu od południa ostał, to się i pożywicie i wypoczniecie, coś bardzo kiepsko idziecie.

— Nogi bolą, doniu ty moja, ot zdaje się mnie starej, że śmierć w oczy zaglądnie niedługo, kto wie...

— Coby zaś... nogi wam driakwią wysmaruję, spoczniecie, odżywicie się, do sił wrócicie.

— Nie wiem, doniu, zawsze były w głowie mgły i mgły, a dzisiaj tak jakoś przejaśniało. Dawnom już rosołu nie jadła, na Dzikich Polach korzeniami się żywiłam, ptasiemi jajami. Dobra

ty, doniu, i sokół twój dobry, niech Bóg miłosierny was błogosławi i ochrania.

Pani Rymszyna poszła ze starą Katarzyną do izby czeladnej, a że dziewczęta były w polu przy żniwach, więc sama w piecu rozpaliła, rosół przygrzała, jajami podbiła i wraz z dużą kromką białego chleba przed staruszką postawiła:

— Jedzcie z Bogiem, matko Katarzyno, jak dziewczęta wrócą, to wam pościelą na noc a ja driakwi przyniosę.

— Niech Bóg ci stokrotnie nagrodzi, doniu.

Staruszka zabrała się do jadła, a pani Hanna na ganek wróciła. Pan Andrzej ujął jej śniadą, silną rękę i tuląc ją do ust mówił:

— Hanuś, strasznie mi żal tej starej.

— Biedactwo takie, okrutnie już ze sił opadła.

Pani Hanna nawlokła igłę i zaczęła naszywać starannie dużą łatę na mężowską koszulę, pan Andrzej milczał chwilę, czuprynę tarł, wreszcie rzekł:

— Straszny los, taka tułaczka wieczysta.

— Pewno. Nieraz się dziwowałam, że jej sił starczy, takie to chude a biedne.

— Hanuś...

— Co?

— Dał Pan Bóg urodzaj przedni, ja myślę, gdyby ci to nie wadziło, mogłaby stara ostać we dworze.

— A cóżby mi miało wadzić? Myślałam i ja o tem, bo strasznie biedota mizernie wygląda, ale bałam ci się rzec.

— Przecz?

— Boć zawsze kłopot, ale przecież nie godzi się takiego mizeractwa opuszczać. Szatki jej stare dam, ochędożę jakoś, niech ta chociaż przed śmiercią spocznie starowina. Żeby jeno do rozumu sobie jako przemówić dała i ostać chciała.

— Wiesz? rzekła mi ona dzisiaj, jako się jej czasem zda, że miała dwór, męża, dzieciąteczko i ich to ode Lwowa do Sinych Wód szuka, bo wiecznie ma wrażenie, że jeszcze kiedyś do domu trafi, skąd ją zdaje się Tatarzy wywlekli.

— Może i być, że czemś lepszem była, zanim ją rozum opuścił, niech Matka Boska broni od podobnego losu! — I pani Hanna przygarnęła nagle ciemną głowę męża do szybko bijącego serca, a jej błękitne oczy wezbrały łzami. — Jeżeli naprawdę było, jako się jej zda, Bóg litościwy, że jej rozum zaciemnił, bo cierpi mniej. A ty strasznie dobry jesteś, Jędrusiu.

— Nie chwalże mnie, bo i niema za co, oboje my jedno myśleli, trzebaby serce z kamienia mieć, by się nie ulitowało takiej opuszczonej starości. Ale com to chciał rzec? Aha... przyrządziłaś poczęstunek dla żniwiarzy? Przyjdą rychło, dożynają już pszenicę.

— To dobrze, żeby jeno pogoda wytrzymała.

— Noga nie rwie, może Bóg za sucha zwieźć pozwoli. A gdzie chłopaki?

— W sadzie, jabłka obrywają na jutro na chłodnik i śliwy co źralsze; chciałabym nalewkę śliwkową zrobić. Idź, Jędrusiu, trochę do sadu, rozweselisz się pomiędzy chłopakami, przyniosę ci tam mleka kwaśnego garnuszek, a może polewkę ze serem wolisz?

— Mleko wolę, a gdybyś miała kawał chleba razowego z masłem, toby się okrutnie smacznie zjadło.

— Pewno, że mam, masło jest świeżusieńkie, słodkie jak migdał. Przyniosę ci do sadu, jeno do starej jeszcze zajrzę i pogadam z nią o tem, żeby u nas ostała.

— Mój ty przyjacielu serdeczny.

VII.

Strzał Jura i śmierć starej Katarzyny.

Pan Andrzej żonę uścisnął i szedł do sadu; od ostrokołu dolatywał świeży śmiech i młode głosy chłopców. Jur siedział na śliwie i zrzucał Stachowi owoce do okrągłego koszyka, licząc głośno:

— Pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta... robaczywa... jeno świsnąć nią gdzie do celu, ale gdzie?

— Wiesz, Juraś, w komin. Jak trafisz, to będziesz znowu do trzydziestu na śliwie siedział, a ja będę kosz trzymał; ale jak celu chybisz, to ze śliwy zleziesz, a ja będę obrywał.

— Wicie jaki przemyślny! Do komina? hm... wysoko i ze śliwy rzucać nieporęcznie, ale niech ci będzie. Ano raz, dwa...

— Jeno się trzymaj mocno, żebyś nie zleciał.

— Trzy! — śliwka przeleciała wdzięcznym łukiem wysoko ponad dach, nie dotknąwszy komina. — To ci leciała, jak jaskółka w pogodę.

— Ale komina nie dotknęła; zleźno, panie bracie!

— Dobrze, ale właściwie powinienbym jeszcze do dziesięciu dorachować, żeby zjeść jedną, bo tak pani matka pozwoliła.

— To rachuj a prędko.

— Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Pyszna! trochę gębą kręci od kwasoty, ale smakowita; życzę ci takiej samej. — Jur zsunął się z drzewa lekko i zręcznie, w kosz zajrzał i zauważył: — możeby już dosyć było tego dobrego, kosz już ma grzeczny czub.

— Odniesiemy, jeno moją trzydziestkę dołożę i moje trzy śliwy zjem.

Stach splunął w dłonie, objął pień, a w chwilę potem siedział wśród gałęzi; rwąc zobaczył nadchodzącego ojca i zaczął nawoływać:

— Panie ojcze, proszę tutaj, śliwy zbieramy, duże są tego roku jak kurze jaja, kwaśne jeszcze ociupinkę ale soczyste; urwać może kilka?

— Dziękuję ci, synku, matka mi mleko przyniesie, może po wieczerzy zjem kilka. — Zajrzał w kosz. — Dużo jeszcze nieźrałych, ot i te miasto ciemnej, w granat wpadającej barwy czerwonawą jeszcze mają... Zda mi się, że na nalewkę jeszcze mało źrałe, prędzej do octu albo w cukrze — pochylił się pan Rymsza i wziął z drugiego obok stojącego kosza duże, wczesne jabłko o delikatnym, złotawym naskórku i płomiennym rumieńcu, i uśmiech przesunął się po jego śniadej twarzy. — Ale jabłka naschwał, duże jak nie-

mowlęce głowy, a i zapach przedni mają; to z jabłoni wedle tej gruszy zimowej, prawda?

— Tak, z tej w końcu sadu.

— Dużo tam jeszcze owocu na niej?

— Z pięć koszyków się pewno jeszcze uzbiera.

— Pan Jezus miłosierny we wszystkiem tego roku urodzaj spuścił. Słuchajcieno, chłopcy, a co będziecie robili, jak z owocem skończycie?

— Pani matka powiedziała, byśmy warzywa podlali, bo ziemia sucha, aż pęka.

— Ja bo strasznie lubię podlewać — opowiadał Stach — to tak miło jak wraz wszystko rzeźwieje na grzędzie, a kwiatki przed oknami to tak zaraz pachną, jak gdyby dziękowały za wodę. Wie pan ojciec, że czerwona róża ma już trzydzieści pączków? drobniutkie jeszcze bardzo ale są, oczyściłem ją rano, bo się mszyce do niej rzuciły.

— A widział pan ojciec, jak ślicznie, bladoróżowo zakwitnęła malwa przed oknem stołowej izby?

— A na innych różach też są mszyce? — pytał pan Andrzej.

— Oczyściłem je wszystkie, panie ojcze.

— Dobrześ zrobił, synku, inaczej zjadłyby pączki, a tak miło gdy zakwitną. Kończcieno śpiesznie z owocami, to z kwadrans postrzelamy do celu.

Jur wydał radosny okrzyk i po zielonym trawniku wywrócił kilkanaście kozłów tak szybkich, iż wyglądał jak biała, rozwirowana kula.

— Juraś, co zaś wyprawiasz? — śmiał się pan Andrzej.

— Okrutnie się cieszę na strzelanie, panie ojcze!

— A ty, Stachu?

Stach skończył właśnie rwanie śliw i zeskoczył z drzewa.

— O i ją bardzo lubię strzelać do celu, panie ojcze.

— Odnieścież owoce matce. W sieni wisi strzelba, znasz ją przecież, Jur i znajdziesz łatwo, przynieście też woreczki z kulkami i prochem. Jak będziecie grzeczni a posłuszni, to co dnia teraz będziemy trochę strzelali. No jazda, a wracajcie rychło.

— Migiem, panie ojcze.

Porwali chłopcy kosz ze śliwami za uszy z wiklinowego pręcia i pognali skokiem do dworu.

— Nie lećcieno tak, chłopaki! Śliwki gubicie — wołał za nimi pan Andrzej.

— O rety! prawda, wyskakują z kosza jak żywe i całą my drogę niemi poznaczyli, bieda.

— Ano wyzbierać trzeba — zauważył Stach; rzucili się do zbierania, a pan Andrzej mówił:

— Widzicie, synkowie, dobrze stare przysłowie mówi, iż: „co nagle, to po djable“. Ot porwaliście się, jakby was co goniło, i cóż za ko-

rzyść z tego? oto śliwki się rozsypały. Idąc powoli, bylibyście już we dworze, a tak czas nad zbieraniem mitrężycie, a i niejedna śliwka, w trawę wysoką wpadłszy, zmarnieje.

— I co tam kilka śliwek, moc ich jest tego roku — zaśmiał się Jur.

— Nigdy, synu, daru Bożego lekceważyć człowiek nie powinien, ani drobnostek marnować, bo wszystko na ziemi to dary Boże i drobne cząsteczki, z których praca i wytrwałość ludzka tworzy byt dla siebie i swoich. Pomyśl, coby to było, gdyby jak ty nad śliwkami, rolnik ręką machnął we żniwa lub w zasiewy i miast pracować dnie próżnicą trwonił, boć rok ma ich tyle, jako ta śliwa owoców. Snadnie mogłoby być, żeby zasiew spóźnił, albo we żniwa pszenica wysypałaby mu się już w polu, a w progi takiego gospodarza rychło weszłaby niedola. Z dni pracowitych życie się składa, a z czynów dobrych buduje się dla człowieka jego przyszła dola. Spojrzno, Stasiu, tam pod gruszę aż zatoczyło się śliw kilka.

Chłopcy zebrali rozsypany owoc, rozglądnęli się raz jeszcze uważnie i Stach rzekł:

— No to bierzmy, Jur, bo zda się wszystkie już, jeno powoli.

— Jak za konduktem jakowym — mruknął Jur; w tej chwili jednak spojrzał w górę i aż się zarumienił z uciechy. — Boże święty! Panie ojcze, na dachu po lewej wrona przysiadła... o jej,

żeby jeno nie uleciała. Możnaby tak do niej miast do celu palnąć... Pozwoli pan ojciec?

— Jak nie odleci; wpierw jednak owoce odnieście.

Jur najchętniej byłby cisnął koszyk i poleciał po strzelbę, czuł nawet taki niepokój w nogach, jak gdyby się same do biegu zrywały, ale szedł wolno, jako pan ojciec przykazał i tylko czarne, niespokojne oczy wciąż zwracały się ku wronie, która obojętnie na dachu siedziała, nie przeczuwając nawet, iż jest przedmiotem tak gorącego pożądania i admiracji.

Gdy chłopcy z sadu wyszli, Jur obejrzał się ku panu ojcu, a przekonawszy się, że go już nie widać, zaproponował szeptem:

— Stach, słuchaj, ostawmy kosz w agreście, a gnajmy po strzelbę, śliwki nie umkną, a wrona...

— Trzeba, Jurasiu, najpierw kosz w ganku postawić.

— A jak wrona odleci?

— No to odleci.

— Dobrze ci gadać, ale to może moja pierwsza wrona!

— Ano, jak odleci, to widać, iż nie była twoja.

— Głupiś z twojemi dowcipami, a życzliwości braterskiej to w tobie ani za grosz niema.

— Bo mi tej wrony trochę żal, przysiadła sobie biedusia z takiem zaufaniem, może ma młode w gnieździe.

— Jeszcze wroniego potomstwa będziesz żałował! A jako na polu bitwy człek martwy, a czasem jeno raniony ostanie, to myślisz, iż jej ta w głowie, że on może ma w domu dzieci, leci jak na każdą inną padlinę i ucztę sobie sprawia.

— Boć rozumu nie ma.

— To też tępić je trzeba, te drapieżnice.

— Ale jak wojny niema, to ona w polu robaki wyjada i człowiekowi niejako w pracy pomaga.

— I... taka tam pomoc!

Postawili kosz na stole sosnowym w ganku i do sieni wbiegli. Jur zdjął z kołka strzelbę i niósł ją lufą ku ziemi, jako ojciec zawsze przykazywał broń nosić, by jakiego wypadku nie było, Stach woreczki z kulami, prochem i śrutem wziął i wrócili do sadu. Jur niespokojnie na dach spojrzał.

— Och, odleciała.

— Cicho, widzisz ją? na kominie przysiadła — szeptał Stach.

— Pan Jezus miłosierny! — westchnął z głębi serca Jur.

— Jurasiu, zapomniałeś, że Imienia Pańskiego nie należy wymawiać po próżnicy — ofuknął pan Andrzej, odebrał z rąk syna strzelbę, naładował ją grubym śrutem i prochem podsypał, a potem rzekł: — Podleź cichuśko pod tę gruszę ostatnią, stamtąd będziesz ją miał dobrze na oku i gałęzie ci w celowaniu przeszkadzać nie będą. A pamiętaj: nie śpiesz się zbytnio, na „chybił, tra-

fił“ nie strzelaj, bobyś jeno nabój zmarnował; uważaj, byś policzka zbytnio do łożyska nie przybliżał, bo strzelba po wystrzale zawsze wtył się cofa, a nieostrożnego strzelca łacno dotkliwie uderzyć może. Celuj powoli, na muszkę baczenie miej, w pierś albo w głowę, ale w pierś pewniej. No, teraz już idź, w Imię Boże.

Jur drżał cały z wielkiej uciechy, niecierpliwości i niepokoju. Pod gruszę cichuśko się podkradł; serce mu biło, muszka na lufie skakała przed oczyma, a wrona sama wydało mu się, że podskakuje razem z kominem. Zaczarowana czy co? Opuścił na mgnienie lufę, ot i siedzi sobie znowu jak nigdy nic, a zakrzywionym dzióbem pióra czyści. Podniósł lufę, a tu wrona strzepnęła skrzydłami, jak gdyby gotując się do odlotu; Jur chciał już kurek spuścić, ale przypomniał sobie ojcowską naukę, że celować należy dokładnie, więc strzelbę nieco zniżył, by ręki nie zmęczyć, i czekał. Ano odleci to odleci, ale jeżeli nie odleci... Wrona przeleciała jeno na bliższą krawędź komina i zaczęła coś pilnie wypatrywać w stronie podwórza. Jur opanował niepokój, drżenie mu przeszło, widział już dokładnie ciemny punkcik muszki w połyskliwo-czarnej piersi ptaka.

— Ano niema co zwlekać. W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen! — huknął strzał i zanim Jur przez mgłę dymu dojrzał, co się na dachu stało, dobiegł go radosny wykrzyknik Stacha:

— Jest! jest! postrzeliłeś!

— Jest! — wrzasnął uszczęśliwiony Jur. Ptak poderwał się jak do lotu, ale zaraz rozłożył skrzydła, opadł na dach i pozostał tam nieruchomy.

— Dobry strzał, Jurasiu, ani nie drgnie — chwalił pan Andrzej, klepiąc po ramieniu starszego syna. Jura ogarnęło radosne podniecenie, twarz mu płonęła, błyszczały oczy, gdy opowiadał z przejęciem:

— Jak się ruszyła, pomyślałem: ocho, przepadł pies, tyle ją i uwidzę, chciałem już nawet tak nie celując palnąć, alem sobie rady pana ojca przypomniał, i chociaż mi palce na cynglu drżały z niecierpliwości, rzekłem sobie: poczekaj, Jur, odleci to odleci, a usadowi się, to ją na pewniaka położysz. I usadowiła się, zmierzyłem... hrym! i leży. Moja wrona! moja śliczna, moja pierwsza! Lećno, Stachu, duchem po drabinę, no, czemu stoisz?

— Duchem lecę — zaśmiał się Stach.

— Idź, ty dowcipnisiu, mój złocisty, koniecznie na dach po nią wyleźć muszę. Nie myślałem, że to tak łatwo coś żywego ustrzelić a to paf! i już. A ciekawym, gdzie ją kulka trafiła, bom jej w pierś w pobliżu lewego skrzydła celował.

Przywlekli drabinę, pan Andrzej ją ustawił i trzymał, Jur drapał się po niej szybko i zwinnie.

— Panie ojcze, ręką z drabiny nie dostanę, na dach wylezę.

— Ani mi się waż! Dach spadzisty, może ją z drabiny kijem dostaniesz. Staszku, skoczno po żerdź do stodoły, a ty Jur zaczekaj.

— Panie ojcze, jakbym na dach wylazł, miałbym ją we dwóch skokach.

— A jakbyś z dachu spadł, tobyś łacno kark mógł skręcić albo nogi połamać, a kalectwo, synu, nie rozkosz. Stach zaraz żerdź przyniesie.

Pani Rymszyna weszła właśnie do sadu, niosąc na drewnianej tacy garnuszek mleka kwaśnego i sporą kromkę razowego chleba z masłem; przystanęła w bramce i rozglądnęła się po sadzie.

— Jędruś! Ję...druś!

— Tu! Wedle dworu!

— Mleko ci niosę; a coście to strzelali? do celu?

— Aha, pójdźno bliżej, obaczysz coś.

— A co Jur u dachu majstruje? możeście okno w stryszku wystrzelili?

— Gdzie zaś, Jur wronę ubił.

— No! No!

— Naprawdę pani matko, wrona jak marzenie, Stach poszedł po żerdź, bo na dachu ostała. Bałem się, że się kula po skrzydle spleźnie, ale ubiłem na miejscu, prawda, panie ojcze?

— A jakże, ani drgnęła.

— Ach, żeby mnie to pan ojciec kiedy na polowanie wziął, — dopieroby to było! Bo cóż, z wrony to podobno pieczeń niedobra, ale jakbym tak kaczuchnę ustrzelił...

— Ano, może cię i wezmę...

— Panie ojcze! Dalibóg zlezę chyba z drabiny, bo mnie radość tak rozpiera, że ani ustać spokojnie na miejscu nie mogę. Na polowanie, hej, hej!

— Siedźże tam statecznie, smyku jeden utrapiony, bo aż się drabina trzęsie, i jeszcze mi na głowę zlecisz.

— Bo mi usiedzieć trudno; poczciwości wrona, że nie odleciała! Jeszcze na polowanie, na prawdziwe polowanie przez nią pójdę! Panie ojcze... a...

— Jest żerdź!

Stach przypadł pędem, po kilku stopniach drabiny wylazł i Jarowi długi kij podał. Chłopak manewrował nim chwilę, bo chciał wronę po skraju dachu ku sobie przyciągnąć i znieść ją w triumfie, ale kijem za silnie wymierzył, i ptak opadł ciężko w pył ścieżyny, idącej wkrąg dworu.

— Stachu, nie ruszaj jej, żerdź odbierz, ja zaraz zlezę — gorączkowo wołał Jur; w jednem mgnieniu zsunął się z drabiny i ptaka podniósł. Oglądnął go uważnie i zaśmiał się radośnie: — Akuratnie pod lewe skrzydło trafiony, patrzcie, panie ojcze.

— Dobre masz oko, prostoś w serce ją ustrzelił, da Bóg będzie z ciebie kiedyś strzelec przedni. Przybijcież ją teraz nad wrotami, żeby inne odganiała od sadu, a potem deskę malowaną, do któ-

rej zawsze strzelamy, ustawcie; jak mleko wypiję, hukniemy sobie jeszcze kilka razy do celu. A cóż, Hanuś, ze starą?

— Ano zdaje się, że ostanie chętnie; siedzi w czeladnej wedle pieca, strasznie umęczona być musi, bo oczy jej tak osowiały jak choremu ptakowi.

— Ot biedota. Chłopcy!

— Co, panie ojcze? — przystanęli na ścieżce, patrząc ku ojcu.

— Chodźcieno tu, mam wam jeszcze coś rzec; pamiętacie starą Katarzynę?

— Tę taką straszną? — wyrwało się Stachowi.

— Tak... tę taką biedną — poprawił pan Andrzej. — Oto postanowiliśmy z matką, jako stara Katarzyna zostanie już u nas we dworze do końca żywota. Chciałbym, byście pamiętali zawsze ją grzecznie pozdrowić, z szacunkiem siwym włosom i wiekowi podeszłemu przynależnym. Starowina ona biedna niespełna rozumu jest, pamiętajcież więc, że z biedoty, z ludzkiego nieszczęścia nie tylko, iż naśmiewać się nie godzi, ale i grzechem ciężkim jest. Jakbym którego kiedy na jakiej złośliwej swawoli albo niegrzecznem słowie wobec staruszki przyłapał, to na kwaśne jabłko spiorę, ręki nie żałując. Najlepiej grzeczni z nią bądźcie a zdaleka, na rozmowę jej nie wyciągać, starowina biedna spoczynku i ciszy potrzebuje, a chciałbym, by do nas nawykła. A dra-

binę i żerdź odnieścieno na swoje miejsce, zawsze co już niepotrzebne, to sprzątnąć należy. Jak deskę umocujecie, to przyjdźcie mi powiedzieć.

— Dobrze, panie ojcze.

Odnieśli drabinę i żerdź, a potem pobiegli do dworu po młotek i gwoździe. Jur z dumą niósł swoją zdobycz.

— Gwoździe są w czeladnej, w skrzynce, i młotek też. Dopieroż to się będą dworscy dziwili, jak się dowiedzą, żeś to ty wronę ustrzelił — mówił Stach.

— Będzie sobie wisiała na wrotach i oznajmowała, jako tu mieszka Jur Rymsza, co jak palnie, to prosto w serce.

— Będziesz miał mir we wroniem pokoleniu.

— Dobre i to.

Przeszli sień, i Jur drzwi do izby czeladnej otworzył, ale przymknął je zaraz zakłopotany.

— Siedzi tam ta stara wedle pieca i wygląda jak puhacz, a głowa ci się jej tak trzęsie jak na sprężynie, zresztą niema w izbie nikogo — mówił szeptem. — Pamiętasz jeszcze, Stachu co o niej dziewczęta opowiadały przed dwoma laty?

— Że czarownica jest?

— Aha...

— Boisz się?

— Także coś! miałbym się bać jednej starej baby!

— Baba co innego a czarownica co innego, a nużby cię przemieniła w jakie zwierzę albo sprzęt? Wroneś dopiero co ubił, a wrony to podobno z czarownicami kumy.

— Oj! Już też pan ojciec nie miał się nad kim ulitować, a nuż się za nią różne złe duchy do domu zwalą.

— No!

— Trzeba jednak po te gwoździe iść, pan ojciec śmiałby się z nas a może i pokrzyczał; pójdziesz ze mną, Stachu, we dwóch raźniej.

— Ano, jak trzeba juści, że cię w przygodzie nie opuszczę. A pamiętaj Jur, jakby się jeno jako podejrzanie ruszyła, zaraz się przeżegnaj, złe wtedy do człowieka przystępu nie ma, bo pono je tak krzyż boli, jakby je kto najtęższym kijem przejechał, zaś wronę to ostaw w sieni, zawsze bezpieczniej, gdy jej nie zobaczy.

Położył więc Jur swoją zdobycz na jednej z ław, stojących wzdłuż sieni, przeżegnali się obydwaj dla dodania sobie odwagi, do czeladnej weszli i szeptem Pana Boga pochwalili; staruszka coś niezrozumiale mruknęła w odpowiedzi. Stach oczu od niej nie odrywał, pilnując każdego jej ruchu, Jur zaś do skrzynki stojącej pomiędzy oknami podszedł, otworzył ją, gwoździe i młotek wyjął.

— Wy młodzi Rymszowie, prawda? — zaskrzypiał nagle starczy głos od pieca, a zwiędłe wargi rozszerzył uśmiech, błysnął w czarnej czeluści rozwartych ust jedyny, długi, żółty ząb. Chłopcy milczeli, przykuła ich do miejsca i unieruchomiła trwoga, a staruszka mówiła z przerwami, jak gdyby z trudem zbierając rozpierzchujące się myśli:

— Nie bójcie się mnie, nie bójcie, nic wam złego nie zrobię; zawsze lubiłam dzieci i niegdyś lgnęły one do mnie, a potem bały się jeno. Tak mi czegoś dziwnie, jakbym miała gdzieś iść znowu daleko, daleko... ale już ostatni raz.

Jur zdobył się na odpowiedź:

— Pan ojciec mówił, jako zostaniecie u nas.

— Jakoż cię wołają, czarny chłopczyku, coś do pana ojca taki z twarzy podobny, jak jedna kropla wody do drugiej; obyś i duchem w niego się wdał, szczery to człek jako złoto. A ciebie jak wołają, lnianowłosy aniołku?

— Stach... a Jur to mój starszy brat.

— Dobrze ci z oczu patrzy. Oj synku, podaj mi wody... tak mi się czegoś w głowie mąci... mąci, że ani wstać nie mogę... a takoż odejść trzeba... trzeba... Wody... syn... ku...

Chłopcy zawahali się, ale jeno przez mgnienie, bo niemal natychmiast trwogę zwyciężyła litość, i obaj przybiegli do niej z wodą. Tak się trzęsła chuda ręka i z takim wysiłkiem wodę do

ust doniosła, a starcze, bezzębne usta szepnęły:

— Strasznie mi źle... idźcie... matki poproście, ale niech jeden zostanie... przez Chrystusa Pana... niech jeden ze mną zostanie... bo mi tak straszno i źle...

Chłopcy spojrzeli na siebie pytająco, niespokojnie.

— To chyba ja ostanę — zaofiarował się Stach — a ty, Jur, leć po panią matkę, jeno wracaj prędko.

— A może wolisz ty lecieć?

— Ostanę, jeno się śpiesz.

Staruszka zapadła w dawną nieruchomość, siedziała na krześle skurczona, jak pęk porzuconych łachmanów. Jur za drzwi wypadł, a Stach pochylił się ku niej z lękiem, bo dostrzegł z niemałem przerażeniem, że siwa głowa opada gdzieś ku piersiom, coraz niżej a niżej.

— Czy wam może znowu słabo, babciu?

Spojrzały ku niemu przygasłe, mętne oczy.

— Kto mnie woła babciu... Boże!... jak to miło usłyszeć choć raz w życiu... babciu... czyżem już nareszcie doszła?

— To ja... ja... Stach Rymsza, wołałem na was, może wam wody jeszcze?

Staruszka milczała, przygasłe jej oczy patrzyły gdzieś w jednym kierunku szeroko rozwartą źrenicą, a oddech wydobywał się z piersi świszczący a chrapliwy, i Stacha ogarnął lęk:

przyszło mu na myśl, że ona może kona, litość wzbraniała mu odejść, a było mu dziwnie strasz-no. I nagle zapragnął usłyszeć jeszcze jej starczy zgrzytliwy głos, nie bał się już jej samej, tylko czegoś niewytłumaczonego, tajemniczego, co się z nią działo, więc drżącemi rękami pochwycił jej czarne, wychudłe dłonie i wołał na nią głosem, który tłumiły łzy, a w którym była prośba gorąca, lęk bezmierny, naleganie:

— Babciu! Babciu... babciu Katarzyno... przemówcie do mnie, przemówcie choć słowo... babciu!

Starcza ręka podniosła się, spoczęła na złotej głowie Stacha iześliznęła się z niej, a charkot konania przerwał szept:

— Niech ci... Bóg błogosławi... synku...

Stach odetchnął, bo równocześnie do izby wbiegła pani Hanna, podeszła ku staruszce, jej ciemną rękę wzięła w swoje dłonie i pytała z żywym niepokojem:

— Matko Katarzyno, słyszycie mnie?

Milczenie, jeno oddech coraz krótszy, urywany. Zwróciła się pani Hanna do syna:

— Stachu, lećno do świetlicy i gromnicę przynieś, obok niej leży książka do modlenia, weź i ją.

Ale zanim Stach powrócił, babcia Katarzyna doszła do celu swojej wędrówki wieczystej, a jej biedne, wypłakane oczy zamknęły na wieczny sen litościwe ręce pani Hanny.

Tegoż wieczora, po zwykłych modlitwach odmówiono pacierze za duszę starej Katarzyny, a ona sama umyta i przybrana dostatnio, leżała na deskach białem płótnem narzuconych, w pustej szopie i miała na nieruchomej twarzy ów tajemniczy uśmiech, który tak często śmierci odejmuje grozę, zabierając z rysów ślad męki a zostawiając wrażenie nieskończenie miłe... ukojenia.

VIII.

Życie na kresach.

Minął tydzień. Coraz bliżej krążyła tatarska groza, wieśniacy skupili się wszyscy we dworze, spano w łamusie, w sieni, na stryszku, a podwórze wyglądało jak jedno obozowisko. Część bydła i koni pognała młodzież w niedostępne jary, by tam, jako zwykle, przeczekać czas tatarskiego zalewu. We dnie chodzono do pracy w pole, ale zawsze z bronią w pogotowiu na wypadek nagłego napadu, nocami stróżowano na wieżyczce, śpiewając, aby nie zasnąć; ten monotonny, ściszony śpiew miał w sobie coś bezmiernie ponurego i dźwięczał w ciszy nocnej jak modlitwa za konających. Horyzont płonął każdej nocy coraz ognistszą, coraz jaskrawszą purpurą, a w przestrzeni nieba i bezmiarach ziemi czaiła się groza i lęk; zda się, pełzało coś niewidzialnego po ścierniskach złotych, trawach skoszonych, szumiało w koronach drzew, kwiliło w wiatru poświście. Pod wpływem tego dziwnego lęku, tej niepewności jutra ludzie lgnęli do siebie i stawali się jak gdyby jedną rodziną, miłującą się szczerze.

O zachodzie wynosiła teraz zawsze pani Hanna obraz Matki Bożej na ganek, i płynęła ku niebu litanja do „Królowej Polskiej“ i do „Wszystkich świętych“, powtarzana dziesiątkami ściszonych, żarliwych głosów. A zawsze, gdy pani Hanna dochodziła do słów:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny... Wybaw nas Panie!“ — to wśród modlącego się ludu powstał taki szloch, jęk, takie nawoływanie błagalne, korne, rozpaczne, że i głos pani Hanny łamał się łzami, a słowa modlitwy stawały się krzykiem o miłosierdzie, wołaniem o ratunek, i ku mierzchnącemu niebu płynęło: „Wybaw nas Panie!“ — jak rozszalała lękiem prośba o życie.

I zdało się przez kilka dni, że Rymszówka ocaleje, bo ognie przesunęły się od Dzikich Pól w stronę Rzeczypospolitej, a ludzie, jako zawsze prędko przerzucają się z rozpaczy do nadziei, poweseleli znowu i patrząc w nocy na łuny, barwiące niebo, mówili z ufnością:

— Może Pan Jezus miłosierny da, że nas i tym razem ominą.

Jeno pan Rymsza nie dzielił tej radości, ni tej nadziei, ostrokół wzmacniać kazał, fosę wokół dworu wykopać — i nieraz z wieżycy bacznie ku lasowi poglądał, zali nie ujrzy czarnego mrowia pohańców.

Lato było upalne, spieczona słoneczną pożogą ziemia spękana była i sucha, w sadzie wśród

ciemnej zieleni listowia zaczynało już łyskać purpurą i złotem.

Zwożono właśnie resztę zboża do stodół, a pani Hanna stojąc w ganku, patrzyła z uśmiechem, jako przy jednym z wozów uwijał się Jur ze Staszkiem; zrzuciwszy żupaniki, w koszulach na piersiach rozchełstanych, zdejmowali z wozu snopy i podawali je do stodoły, twarzyczki im płonęły zmęczeniem, ale śmiały się oczy. Wesoło tam było, praca szła szybko i składnie, swawolny śmiech dźwięczał. Pani Hanna spojrzała z kolei na niebo, od północy ciągnęły zwały granatowych chmur... czasem olśniewającym zygzakiem spłynęła ku ziemi błyskawica, a w długą chwilę potem nadlatywał groźny, złowrogi, oddaleniem zgłuszony ryk gromu.

— Matko Boska miłosierna, broń od nieszczęścia, straszliwa jakaś nawała ciągnie — myślała pani Hanna, a równocześnie gospodyni w niej frasowała się, czy też zdążą zwieźć zboże przed burzą, w polu gotowo zamoknąć.

— A dużo tam jeszcze fur w polu? — pytała niespokojnie.

— Będzie jeszcze ze dwie, ale i te już rychło nadjadą, bo je ładować kończyli, niech się jejmość nie frasuje, wszystko będzie pod dachem, zanim deszcz lunie — odpowiedziano od stodoły.

Wtem nagle, w rozwartej szeroko bramie ostrokołu ukazał się chłopczyna oberwany, bosy,

z oczyma obłąkanemi strachem i do ganku leciał, wrzeszcząc jak szalony:

— Tatary! Tatary!

Ludzie otoczyli go zaraz kołem, a on chwilę patrzał jak nieprzytomny a potem do stóp pani Hanny runął jak długi, łkając:

— Jejmość... Tatary! Tatary!

— Gdzieżeś ich widział? daleko? mów. Opamiętajże się... no... Jur, skoczno do podruny i wina kubek przynieś, ale migiem. No chłopczyno, oprzytomnijże, między swoimi jesteś, bezpieczny... wstań, opowiedz, gdzieś to Tatarów widział? — pani Hanna po macierzyńsku gładziła konopiastą grzywę wyrostka, usiłując go uspokoić:

— No opowiadaj, gdzież Tatarzy?

Chłopak głowę podniósł, i teraz dopiero mogła się przyjrzeć dobrze tej twarzy dziecinnej jeszcze, o wyłupiastych oczach i ustach od płaczu obrzękłych, i lęk schwycił jej serce stalową obręczą, był to bowiem jeden z chłopaków, którzy w jarze ukryci, przeczekać mieli wraz z bydłem tatarską zalewę. A wśród ludu poznano go także, zaszumiały przerażeniem drżące głosy:

— Toć to Ostapek Fyłypychy.

— Pomyłuj Boh.

— Fyłypycho! Fyłypycho! wasz Ostapek tu jest.

— Zachowaj Boże od nieszczęścia!

Wraz i pan Andrzej na ganek wyszedł, zwróciła się ku niemu żona:

— Wpadł ci do dworu wrzeszcząc: Tatarzy, a teraz płacze, i ani go uspokoić, ani nic z niego więcej wydobyć nie mogę; z naszych to ludzi, Ostapek Fyłypychy.

— Ostapek, wstańno zaraz.

Na ostry, rozkazujący głos pana Rymszy, chłopak się podniósł drżąc cały, nos rękawem brudnej płótnianki podtarł i wyszeptał:

— Jegomość... Tatary...

Jur właśnie z winem nadszedł i pan Andrzej podał chłopakowi kubek:

— Wypij... tak... a teraz usiądź sobie na schodach i mów a prędko, gdzieś to Tatarów widział? No?

— Ledwom się im wymknął... O Jezu... otoczyli jar w nocy i wybrali nas jak raki z saka.

— Wszystko zabrali?

— Wszystko, mój jegomość.

— A z ludźmi co?

Chłopak chlipnął głośno, wśród ludu było cicho, jeno z macierzyńskiej jakiejś piersi wypadł zdławiony jęk:

— Pomyłuj, Świataja Preczysta!

— A z ludźmi co? — powtórzył pytanie pan Andrzej, ale tak głucho i bezdźwięcznie, jak gdyby poto tylko, by przerwać ową dławiącą ciszę.

— Na arkany łowili... jam w krzaki wpadł, skrył się w boru... może się kto i uratował... może wszyscy wzięci... ja nie wiem...

Rozległ się cichy, zawodzący płacz, łkały kobiety, które właśnie w jar z bydłem wysłały synów i córki, bo kryjówka to była zawsze dotychczas bezpieczna, przez Tatarów nieznana, a teraz garnęły się do chłopaka i pytały bez tchu, głosami roztrzęsionemi od strachu:

— A mojaż Paraska?

— A Hryć?

— A Ołena...

Chłopak ramionami ruszał i rzucał w przestrzeń smutne:

— „Ne znaju" — a wreszcie rzekł: — Ciemno było, my spali, a tu nagle wrzask: „Ałła! Ałła!" huk strzałów, świst sznurów, wrzask chwytanych, a bydło ryczało... O Jezu... piekło...

— Dużo ich było?

— Ćma cała; ja w krzakach przeleżałem do rana, nie śmiałem wyjść, chociaż oni dawno już odeszli, a potem skradałem się lasem; nad Dniestrem koło mogił widziałem namioty a potem na skraju lasu Tatara, alem się tak w maliny zaszył, że mnie nie dojrzał. Moc ich musi być... bo nad Dniestrem namiot przy namiocie.

— A cóż ten Tatar?

— Wypatrywał ku Rymszówce a potem ku Dniestrowi ruszył.

— A... no... — pan Andrzej w zapłakane, przerażone, kupiące się wokół twarze spojrzał i rzekł: — to i my się ich nocą w Rymszówce spodziewać możemy. Da Bóg, zalejemy im gorącego sadła za skórę, i zostawiwszy trupów kilka, cofną się wrychle, jako już nieraz bywało. Jeno teraz nie czas, by zawodzić i płakać, sposobić się trzeba raczej, by tych gości godnie przyjąć. Fiodor, słuchajno stary, poślij kogo w pole, by wracali zaraz, wrota zamknąć a wy, moi ludzie, wracajcie do roboty. Burza coraz bliżej, a robota czeka, jak zboże zamoknie i zmarnieje, to wszystkim nam krzywda będzie, bo jakże was wspomogę, gdy Bóg przetrwać pozwoli, jeżeli nie będę miał z czego.

— Jegomość słusznie mówi — szepnął ktoś — wracajmy do roboty.

— Wieczorem, Fiodorze, chłopów z rusznicami ustawisz pod ostrokołem a dwóch najlepszych strzelców na wieżę mi poślesz, tobie zaś i twojej strzelbie wrota oddaję. Chłopów podzielisz na dwie części, jedni czuwać będą od wieczora do północy, drudzy od północy do rana. A ty, Hanuś umiłowana, niewiasty z dziećmi, jakby tylko się zaczęły strzały, zaraz do loszku wyślij, tam najbezpieczniej; rzeknę ci jeszcze później, czego nam będzie trzeba.

Głos pana Andrzeja energiczny, równy, rozkazujący oddziaływał na ludzi uspokajająco, dodawał im otuchy; wracali do przerwanej roboty,

szepcząc między sobą, że pod takim sokołem Bóg chyba do nieszczęścia nie dopuści. Kobiety nawet nie śmiały już zawodzić głośno, jeno zatknąwszy usta fartuchami, popłakiwały cicho.

Fyłypycha tuliła Ostapka, chłopak trząsł się wciąż jeszcze i oczy miał błędne, a „gorąc jechał od niego jak z pieca", więc pani Hanna kazała mu iść położyć się do czeladnej i dała puharek grzanego miodu z korzeniami, by strach z niego wypocić. Baby chciały go jeszcze rozpytywać, ale im pani Rymszyna rzekła stanowczo:

— Moje gospodynie, boleję ja z wami serdecznie, ale co się stało, to się i nie odstanie, chybaby Pan Jezus miłosierny chorągiew jaką zesłał, coby Tatarom łup odbiła. Chłopak zaś musi się wyspać i wypocząć, bo snadnie mógłby zachorzeć. Idźcie do waszych dzięci, wody w stągwie nanoście, chłopom waszym wieczerzę nagotujcie; siły zawsze potrzebne, a zmartwienie Panu Jezusowi oddajcie. Człowiek tu nie zaradzi, a jeno Bóg Wszechmogący może i tę karę, co na nas idzie, złagodzić lub powstrzymać.

Tymczasem burza nadciągała coraz bliżej a bliżej; leciała już od krańców horyzontu pierwsza fala wichru, gnąc wszystko po drodze ku spieczonej, spękanej ziemi, jak gdyby jakąś mocarną, nie znoszącą sprzeciwu dłonią zrywała wiry kurzawy rozfalowanej. Ukośnie rzucało

jeszcze słońce blask na pola, i na tle w ciemni pogrążonego lasu i niemal granatem przepojonego nieba, przybierały łany jakiś dziwny, chorobliwie jasny, zimny ton, a każde drzewko, znajdujące się w pasie światła, rysowało się ostremi, przedziwnie czystemi konturami, jak gdyby przemocą wyrywając się z tła. Zboże na wjeżdżających właśnie we wrota wozach wydawało się w tem oświetleniu niemal białem. Od północy niebo było jednostajną, zbitą masą granatu, na południu lśnił jeszcze błękit pogodny, zielonawy i piętrzyły się białe, wełniste, od słońca wyzłocone obłoki. I oto nagle od czarnej otchłani oderwały się chmury i pędziły, zmieniając co chwila barwę i kształt; czasem zdawało się, że to rusza do ataku szereg rycerzy na rozwiewno-grzywych koniach, by zdobyć one obłoki białe, piętrzące się jak mury fortalicji na błękicie nieba; pędzili na skrzydłach wichru, by nagle rozprysnąć się w jakieś postacie lekkie, szare, rozwirowane, traciły one grozę, ale i białe obłoki wyzbywały się śnieżnego lśnienia, rozpływały, wirowały i zwolna konały w objęciu onej barwy nieubłaganie szarej. A oto od północy leciał już nowy zastęp, szarą barwę pogłębiał w granat i chłonął coraz dalszą przestrzeń błękitu. Gdzieś daleko, wśród lasu drżał jeszcze ostatni biały promień światła i uwydatniał rozkołysane, potężne korony drzew, a potem i on zgasł nagle, jak gdyby wichru potęgą zdmuchnięty.

Wokoło wozów ze zbożem pracowało wszystko, co żyło we dworze, a w przestrzeni stawało się coraz ciemniej i ciemniej, migotały tylko krótkie, błękitne światła błyskawic i na mgnienie zalewały świat upiornym, martwym blaskiem, wydzierając go przemocy mroku.

Parno było, cicho, duszno. Wróble i jaskółki tuliły się do strzech, pochował się drób po kurnikach i jeno ludzie pracowali jeszcze. Nareszcie ostatni snop zniknął w wierzejach stodoły, a chmura właśnie ze swej czarnej, potwornej paszczęki splunęła ku ziemi pierwszemi, olbrzymiemi kroplami deszczu.

Jasność rozerwała niebo migotliwem, błogosławiącem światłem, równocześnie w ciemną linję dębowego lasu spłynął złocisty wąż, a ogłuszający huk bliskiego gromu wstrząsnął, zda się, ziemią do głębi.

— Dzieci, do domu! — nawoływała pani Hanna. Chłopcy przybiegli zmoczeni od deszczu, który teraz lunął strumieniami i przesłonił świat, jak gdyby jedną lustrzaną szybą.

We dworze wszystkie okna były już zamknięte, a w oknie od świetlicy ustawiła pani Hanna zapaloną gromnicę. Jej drgający, żółty płomień chybotał jak motyl od wpadającego przez niedopasowane ramy wiatru, a za oknami szalała burza, wyła wichura, zdało się, że lada chwila dach zniesie, bo dom zdawał się chwilami kołysać w posadach, jęczeć jak jakaś istota żywa,

zmagająca się każdą deską, każdym węgłem z siłą wrogą a potężną.

Pan Andrzej stał u okna i w ów świat mroczny, to znów olśniewający potęgą nagłego blasku spoglądał; gdy deszcz lunął, po jego smagłej twarzy przesunął się uśmiech:

— Pan Bóg miłosierny — myślał — przepojone deszczem dachy trudniej ogień pochwycą.

Chłopcy właśnie do izby weszli, więc zwrócił się do nich pytając:

— Cóż zboże, chłopaki?

— W stodole, panie ojcze — odrzucili żywo, podnieceni jeszcze pracą, ocierając pot i deszcz z płonących twarzy.

— Akurat, jak my ostatni snop schowali deszcz się puścił, ani odrobina nie zamokła.

— A śliczne kłosy, panie ojcze, ziarna takie grube, że aż radość.

— Spracowaliście się, usiądźcież sobie trochę; przejdzie burza, to rozdzielim proch i kule w większej ilości pomiędzy ludzi, na próżnowanie dziś czasu nie będzie.

— Panie ojcze, zali myślicie, że Tatarzy naprawdę przyjdą? — pytał Jur.

— Specjalnaby to była łaska Boża, gdyby nas i tym razem ominęli.

Śniada twarz Jura rozgorzała nagle, chwilę milczał, nerwowo zwijając i rozwijając brzeg żupanika, potem nagle wstał i chyląc się do kolan ojcowskich, prosił:

— Dozwólcie i mnie broni, panie ojcze; wstydby mi było w loszku pomiędzy dziećmi i babami siedzieć, strzelam trafnie, to i prochu nie zmarnuję.

Pan Andrzej spojrzał w czarne, rozżagwione oczy syna uważnie a długo, jak gdyby w głąb tej dziecięcej duszy zaglądnąć pragnął.

— Słuchaj, Jur, nie zabawa to, a przed strzelbą nie cel drewniany albo wrona, ale człek żywy, żywy i czujący, rozmyśliłeś sobie to?

— Panie ojcze! Tatarzyn to, poganin, wiary świętej i ojczyzny wróg, o tem myślałbym, celując.

— Ale może takoż ojciec dzieciom, o tem myśl i o tem, jako Jezus Chrystus przykazał wrogów nawet miłować. Dorośniesz, a będzie cię ciągnęło do rycerskiego rzemiosła, by walczyć w obronie wiary i ojczyzny... to Bogu podziękuję i dumny będę z ciebie, synu, — teraz jednak nic z tego nie będzie, nie dziecinna to rzecz ręce we krwi ludzkiej walać, masz jeszcze czas, a ja, dziękować Bogu, jeszcze w waszej obronie stanąć mogę.

Spochmurniał Jur, oczy spuścił, wargi przygryzł, chciało mu się płakać, ale większą jeszcze ochotę miał do tupania nogami; ogarnęła go fala złości, i z trudem tylko hamował się, by na zewnątrz nie okazać tego, co w nim szalało, więc zęby kurczowo zacisnął i stał napozór nieruchomy i obojętny, ale jego dziecięca pycha cierpiała.

Z taką rozkoszą byłby sobie ustrzelił Tatara, z pewnością nie byłaby mu zadrżała ręka ale cóż... przepadło, gdy pan ojciec raz powie „nie", to i myśleć niema o czem.

Bodajby to!

Jur przeląkł się swojej niedokończonej myśli, i złość opuściła go tak nagle, jak przedtem naszła.

Jezus Marja... co ja też pomyślałem! Strasznie zły być muszę, kiedy mi takie myśli do głowy włażą.

I zdawało mu się, że ta niedokończona myśl musi być dla wszystkich widoczną, że patrzą na niego pewno z pogardą i nie śmiał spuszczonych oczu oderwać od podłogi.

— Panie ojcze — nieśmiało ozwał się Stach — ale nie każcie nam w loszku siedzieć, możemy pomagać, jedzenie, wodę donosić, strzelby nabijać.

— A kul wam nie będzie straszno? Tatarzy grochem nie strzelają.

— Może i będzie trochę straszno z początku, ale nawykniemy, jeno pozwólcie.

— Ano, jak już wam tak koniecznie, to jeżeli Bóg da jutra doczekać, to będziecie przy mnie na wieży strzelby nabijać, o ile pani matka się na to zgodzi.

— Żeby strzelali, to nie chciałabym, bo dzieciom to nie przystoi, ale jeżeli chcesz ich mieć przy sobie, a mogą ci w czem dopomóc nie za-

wadzając, to dlaczego nie? — pani Hanna uśmiechała się, ale oczy miała wilgotne. Gdzież im bezpieczniej może być jako nie przy tobie — mówiły te ufne, dobre, wierne oczy.

Po błyskawicach coraz później następował huk gromu, deszcz ulewny przeszedł w równy, spokojny opad. Ciemny granat skłębionych chmur przewalił się ku południowi, a daleko na północy zaczął się zwolna ukazywać głęboki, błękitny ton pogodnego horyzontu.

— Wrychle już będzie po burzy, bo się od północy niebo przeciera, potrzebny był deszcz, wszystko po nim odżyje. A cóż ten mały robi, Hanuś? — pytał pan Andrzej.

— Ostapek?

— Ano.

— Spocił się dobrze, a teraz śpi, matkę przy nim zostawiłam, żeby uważała, by się we spaniu nie odkrył, bo łacnoby się zastudzić mógł. Biedne chłopczysko, aże się bałam w pierwszej chwili, czy szkody na rozumie nie poniósł. Ale, mój Jędrusiu, że też Tatarzy tym razem do jaru trafili, przez tyle lat zawsze się tam młodzież z bydłem ukrywała i nigdy ich nie wytropili.

— Ano może i zdradził kto, różni ludzie są na świecie a Judaszy zawsze sporo — zamyślił się pan Andrzej a potem rzekł:

— Jeżeli przetrwamy, a mam w Bogu nadzieję, że przetrwamy, trzeba się będzie z ludźmi dworskimi bydłem podzielić; straszny to dla nich

cios, że się Tątarzy o jarze zwiedzieli. Szkoda jeno, że im straty kochanych wynagrodzić nie będę mógł nijak.

— Mówią wprawdzie ludzie, że wieśniak więcej za krową desperuje, niżeli za synem, ale jakoś w to uwierzyć nie mogę. Matczyne serce chyba jednaką troską bije i z żałości się rozpada czy pod płótnianką, czy pod altembasem, kiedy dziecko opłakuje.

— I ja tak myślę, iż ból dla wszystkich chyba jeden — potwierdził pan Andrzej.

Jur słuchał i powtarzał sobie w duchu: Pies jesteś, arcypies... niewart, żeby mieć takich rodzicieli.

Dusiły go w gardle łzy.

— No, chłopaki, chodźmy do roboty — rzekł pan Andrzej i szedł do sieni.

— Juraś, — szepnął Stach, trącając brata kułakiem w bok — rzekę ci coś.

— Daj mi pokój!

— A ciebie co znowu ukąsiło, żeś taki niedotykalski?

— Mówię ci, ostaw mnie — i nagle chcąc sobie ulżyć wyrzucił zdławionym głosem: — Wiesz? podły jestem, taki podły, żebym sobie sam w oczy plunął z rozkoszą.

— To sobie napluj, kiedy ci tak serce dyktuje. Ja ci jeno chciałem rzec, że nam pani matka garść osuszek dała, a tu jest twoja połowa.

— Zjedz sobie sam!

— Oo! z ochotą, nie powtarzaj dwa razy, bom na osuszki łasy okrutnie. No bierzesz? bo naprawdę zjem.

Zawahał się Jur, zdawało mu się, iż w takim nastroju ducha jeść się nie powinno. Z drugiej zaś strony wabiły go osuszki, lubił niezmiernie ich kwaskowaty, owocowy smak, wyglądały tak ponętnie na rozwartej dłoni Stacha, więc rzekł:

— To daj — i wraz dorzucił — a równa połowa? nie zjadłeś przez drogę?

— Wicie! — zaśmiał się Stach — najpierw mi wszystko każe zjeść, a potem o jedną się boi. Po dwanaście osuszek dała pani matka, możesz się przy okazji zapytać. Ale słuchajno, czemuś to sobie w oczy napluć chciał?

— Co cię to obchodzi? Moja sprawa jest! — mruknął Jur, gryząc osuszkę.

— Pewno, tylko widzisz, jakbyś naprawdę chciał, to ja ci tę przysługę wyświadczyć mogę, tobie samemu byłoby trudno, a ja... wiesz? tak soczyście... po bratersku.

— Idziesz ty! gzie jadowity, żeby nie pan ojciec, leżałbyś już na ziemi.

— Chłopcy, a pójdźcieno tu bliżej, rozrachujcie te kulki po sto do woreczka — rozkazał pan Andrzej. Zabrali się więc do roboty, jeno Jur szepnął jeszcze Stachowi:

— Czekaj, smarkaczu, porachujemy się potem.

— O! strasznie się boję — odszepnął z oczyma błyszczącemi swawolą Stach.

Ale na porachunek czasu zabrakło; mrok już był, gdy zasiedli do wieczerzy, oczy się chłopcom zamykały, zmęczeni byli i z trudem przezwyciężali senność. Pan Andrzej postanowił dzisiejszej nocy sam stróżować na wieży i zaraz po modlitwie ucałowawszy chłopców na dobranoc, poszedł obronę ostrokołu zarządzić a potem na górę się udał.

IX.

Wspomnienia.

Od skraju lasu, zasłonięci gęstwiną młodych drzew, dwaj jezdni spoglądali uważnie w stronę Rymszówki.

W zapadającym mroku, wśród wiszarów mgły podnoszących się z ziemi, wyglądały te dwie bogato przybrane a obce postacie jak gdyby z baśni wyjęte, z mroku wyczarowane. Na czarnym, przedziwnie pięknym koniu o smukłych pęcinach i kształtnej, szczupłej, rasowej głowie siedział, lśniąc od jedwabi i złotogłowi, bej Białoskórski; pochylony w siodle spoglądał bystro błękitnemi, jak stal chłodnemi oczyma w stronę Rymszówki, a potem spojrzał w twarz towarzysza, trzymającego się w oddaleniu pełnem uszanowania.

— Mówisz, że takie marne gniazdo mogłoby nas wstrzymać w pochodzie ze dwa dni? — rzucił po tatarsku, a w głosie drgnęła pogarda. — Niemożliwość!

— Effendi! wzniosłość twoja nie zna Polaków, gniazda to są, ale lwie. Od deszczu wilgot-

ne dachy niełatwo pochwycą ogień, a łup tam niewielki, ominąć najlepiej.

— Zawsze jedno radzisz, — a cóż za radość ma serce rycerskie w wiecznem łowieniu na arkan i braniu łupu nocą, podstępem, bez wystrzału prawie i bez obrony; tak i wilk potrafi. Zmęczyły mnie już te pożogi, jęki niewieście, płacz dzieci, chciałbym duszę rozradować, mierząc się w boju z rycerskimi ludźmi!

— Effendi, stanie się jako chcesz, nie mnie, robakowi pełzającemu w prochach ziemi, równać się z lotem twojej myśli sokolej; wielu jednak wiernych utraci życie, zanim szturmem weźmiemy to gniazdo. Jest ostrokół na miarę człowieka, fosa, wieża, oni siedzą ukryci, my musimy atakować z otwartego pola, zupełnie bez osłony. Koń ostrokołu nie przesadzi, a miotane przez nas pochodnie zgasną na wilgotnym dachu, nie wznieciwszy płomienia. Racz o tem wszystkiem pomyśleć, o wyniosły.

— Pomyślałem.

— Oby Allah zesłał ci myśl dobrą.

— I cóż taka garstka znaczy wobec tysięcy, a o dobrych strzelców w takiej szlacheckiej chudobie trudno.

— Effendi! czasem i chłopi strzelają dobrze, wieś ta przynależy do pana Rymszy, dawnego rotmistrza petyhorskiej chorągwi. Srogi to junak i nieraz już nasi krwią obryzgali ten ostrokół.

— I odstąpiliście?

— Nie było nas więcej jak sto koni, a u niego każdy chłop z bronią obeznany; on sam z wieży wali, a co palnie, to i trup leży; srogi to junak, o Effendi.

— Chciałbym go mieć.

— Jako niewolnik nic on niewart, kaleka on, bez nogi, a okupu nie miałby kto za niego zapłacić, bo ubogi z niego szlachetka, niespowinowacony z żadnym możnym domem w Polsce. Jeno na swoich śmieciach on pan.

— Hm...

Bej Białoskórski rozmyślał, czuł, że czarny aga zna dobrze kraj, ludzi i stosunki; dotąd wyprawa udawała się nadspodziewanie, wiernych stracił mało, a bogaty łup i tysiące niewolnika odesłał już Dziawletgerejowi. Inna rzecz, że sprzykrzyły mu się te nocne pochody, skryte ataki, niespodziewane wypady, wygartywanie wesel chłopskich, ludzi z cerkwi w dnie świąteczne, rabowanie dworów słabiej uzbrojonych i miasteczek nieobronnych a omijanie ostrożne stanic wojskowych i chociażby najmniejszych fortalicyj.

Nie wojny pragnął tym razem Dziawletgerej, jeno łupu.

Ale w beju Białoskórskim był materjał na rycerza, nie na rabusia, dlatego czuł już wstręt i obrzydzenie do tego wilczego sposobu walki; wolałby był w otwartem polu pierś piersi, szablę szabli a siłę przeciwstawić sile. Zdawało mu się, że wzięcie szturmem chociażby takiego dwor-

ku podziałałoby na jego wątlejącą z dniem każdym energję tak ożywczo, jak kąpiel dniestrowa w dzień upalny, więc rzekł:

— Słuchaj, Ali, noc będzie ciemna, bezksiężycowa, może nawet mglista, spójrz, jak ziemia paruje po deszczu, chciałbym onemu rycerskiemu panu Rymszy w oczy zajrzeć i zmierzyć się z nim.

Czarny aga spojrzał po polach, i uśmiech zadowolenia rozszerzył mu usta.

— Effendi! Allah dał ci rozum wielki i wzrok bystry. Zaprawdę nie pomyślałem o mgle, znam te strony, jeżeli mgła się wzmoże, to nad ranem będzie tak gęsta, że o dwa kroki człowiek człowieka dojrzeć nie będzie mógł. Ostrokół weźmiemy za pierwszem uderzeniem, bo nie widząc nas, nie będą mogli strzelać, a w walce zbliska zdusimy ich w przeciągu pół godziny bez wysiłku.

Bej usta wydął, ogarnęło go zniechęcenie, gdyż to znowu podstęp. Krwi i mordów miał już aż nadto, co dnia wyglądał z utęsknieniem, że któryś z oddziałów powróci, niosąc mu wieść o zbliżaniu się wojsk polskich; z jakąż rozkoszą wydałby rozkaz odwrotu i wrócił do Krymu. Męczyło go tu i drażniło wszystko jak sen, którego sobie przypomnieć nie możemy, wszystko tu było jakieś bliskie i znane, a jednak obce i dalekie.

Przeklęty kraj.

Przeklęta mgła.

— Najlepiej byłoby atakować o świtaniu — podsunął Ali.

Bej wzruszył ramionami.

— Może i doprawdy niewarto atakować. Młódź i bydło wygarnęliśmy już w jarze, w Rymszówce są pewno sami starsi gospodarze, słaby, przepracowany materjał, zupełnie bez wartości.

— Effendi, są tam także kobiety i dzieci.

Zmieniły się role, ponieważ teraz Ali zapalił się do ataku na Rymszówkę, niebezpieczeństwa dla wiernych prawie że nie było, a we dworze mogło być niejedno, co kusiło apetyt czarnego agi; przemawiał więc z zapałem, kreśląc plan ataku.

Bej słuchał, milczał, przestało go to zajmować z chwilą, gdy weszła w grę mgła i podstęp; zwrócił już nawet konia, chcąc odjechać, ale równie żywo powstrzymał go, pochylił się naprzód, słuchał...

Od Rymszówki płynęła pieśń, dźwięczały z niej tony ufne, błagalne, żałosne; zdało mu się, że je już słyszał gdzieś... kiedyś...

Kiedy?.. gdzie?..

Przed oczyma beja majaczyła znowu wizja owej kobiecej, łagodnie uśmiechniętej głowy, słyszał jej głos nawołujący i daremnie z mgły niepamięci usiłował wydobyć jakiś jaśniejszy zarys.

Od Rymszówki płynęła pieśń i leciała potężną falą po ścierniskach zbóż w dal bezmierną:

„Kto się w opiekę podda Panu swemu
„A całem sercem szczerze ufa jemu,
„Śmiele rzec może... mam obrońcę Boga“...

— Ali... co oni śpiewają? Znasz tę pieśń?

— Effendi! niewierni wzywają nią opieki swego Boga — czarny aga wzniósł oczy ku niebu i szeptał. — O Allah! Allah hu! wytrać ich albo promień swego światła wrzuć im do dusz, by uznali, iż tylko Ty jeden jesteś wielki, Ty jeden światowładny!

— Ali, zali Polacy naprawdę mają kilku Bogów?

— Mają ich trzech, o Effendi, nie licząc całej falangi bożków pomniejszych.

Bej dziękował w duszy, iż islam przyjął go na swoje łono, po chwili jednak zapytał znowu:

— Co jednak znaczą słowa tej pieśni, słyszałeś ją kiedy? możesz mi ją przetłumaczyć?

Ali wstrząsnął głową:

— Nad śpiewem niewiernych, wiernemu zastanawiać się nie wolno, o Effendi, bo wtedy Szejtan[1]) czyha już na jego duszę, a Dżehenna[2]) rozwiera swoje wrota, by ją pochłonąć.

Bej Białoskórski czuł, iż Ali i tym razem ma słuszność; dźwięki tej pieśni grały mu na nerwach, szarpały duszę; — modlono się nią kiedyś... gdzieś...

---

[1]) szatan.
[2]) piekło.

Gdzie?.. kiedy?..

Oh Allah! co za szaleństwo, nieznana fala wzruszenia wzbiera w piersi beja, podchodzi do gardła i dławi, — podchodzi do oczu i mąci je łzami.

Ot nic, jeno Szejtan czyha na duszę i kusi.

Co za głupia rzecz... łzy... Bej Białoskórski miałby ochotę wypoliczkować samego siebie, wymyśla sobie w duszy od starych bab i przeczulonych bajader. Trzebaby jeszcze, by Ali dostrzegł to wzruszenie, zda mu się, że w koronach dębów szumi rozwlekły, syczący głos Dziawletgereja:

— Zabijesz...

— O Allah... Allah hu! O Jedyny, o miłosierny — usiłował modlić się bej, ale pochylony w siodle pił wbrew własnej woli każdy dźwięk pieśni, płynącej z oddali, jak rozkosz. jak truciznę, nie słyszał słów Alego-agi, jeno tę pieśń, tę pieśń.

Zawrócić konia i uciekać; ci niewierni czary mają w swoich pieśniach, czy co? Kamienny spokój, potężna wola beja Białoskórskiego pęka wśród mocy tych tonów, jak mur pod uderzeniami taranu. Chciałby zawrócić, uszy zatknąć, uciekać, a oto nie może i nie chce.

W jego pamięci rozstępują się mgły, widzi wnętrze jakiegoś dworu, migocące światło płonie przed obrazem, ramiona matki tulą go z rozpaczną siłą i trwogą, a wokół... Ałła! Ałła! wokół pły-

ną właśnie ufne, żałosne, zrezygnowane tony tej pieśni... tak, wie teraz, pamięta. A gdzieś blisko już słychać wrzask ordy i krzyk matki bolesny, przesiąkły łzami... O Jezu, ratuj!

Bej zawrócił koniem, wpił mu ostrogi w boki, aż krew trysnęła, a kary, podniecony bólem, gnał z wiatrem na wyścigi; chłodna fala powietrza biła w twarz beja i spijała ze śniadych policzków łzy... pierwsze w życiu.

Ali przerwał opowiadanie, patrzył chwilę za pędzącym rumakiem beja, potem mruknął niechętnie:

— Szejtan go opętał.

I ruszył w ślad wodza wytężonym galopem.

A w mózgu beja szalały myśli:

— Co się stało z ową kobietą, na którą niegdyś wołał: matko. Trzydzieści lat... nie poznałby jej dziś, ni ona jego; może powlekli ją gdzieś daleko do haremu jakiego paszy, a może tatarska puha szarpie jej zwiędłe, męczeństwem wychudłe ciało, a może umarła.

A może to jedna z tych starych, obłąkanych długą niewolą branek, co chodzą po ulicach Bakczyseraju, łachmanami odziane, milczące i gną się pod wiadrami wody.

Co za męka!

O Allahu! poco stworzyłeś pamięć?

Zapomnieć, zapomnieć... cóż on uczynić może, on niewolnik, pies ulubiony na łańcuchu chana.

O matko! matko!

Milcz głupie serce, tak przeznaczonem ci było i tak jest kismet.[1])

Od ziemi zrywały się lotne mgły, jak jakichś dawno minionych postaci zjawy, krążyły wśród dębowych pni, słały się pod nogi karego.

Kismet — myślał bej, i słowo to uspokajało go dziwnie. Wyjechał z lasu na mogiły, w mroku nocy i mgły połyskiwały jak kule bezpromienne światła rozpalonych ognisk. Bej wstrzymał konia, pogłaskał go po lśniącej, zmęczeniem wibrującej szyi i westchnął:

— Djihad[2]) bywa czasem ciężką nad miarę!

— Effendi — wołał nadjeżdżając Ali — leciałeś jako wiatr i mój Hamdi nie mógł doścignąć twego karego, wspaniałyż to koń!

— Prawdziwy mantuańczyk, o Ali, dostałem go w darze od chana, niech Allah przedłuży dni jego w nieskończoność. Żebyś wiedział, jak bierze przeszkody, jak gdyby skrzydła miał, a nigdy nie odmówi skoku.

— Szczęśliwym jesteś, Effendi. dobry przyjaciel i dobry koń, to największy skarb, jaki Allah może dać wiernemu. Wspaniała mgła... cóż postanowiłeś z Rymszówką, o Effendi?

— Nic, zostawiam ci w tem wolną rękę, Ali.

---

[1]) Przeznaczenie.

[2]) Djihad albo Gihad — walka z niewiernymi

Czarny aga drgnął uradowany:

— O Effendi, sprawię się cicho i zręcznie, jak wilk.

— Kiedy myślisz uderzyć?

— O świtaniu, gdy mgła będzie gęściejsza, szkoda bowiem narażać ludzi; zaraz każę zdaleka otoczyć Rymszówkę, by się nam z niej pod osłoną nocy i mgły nikt nie wymknął. O świtaniu weźmiemy ich bez trudu. Czy mam cię kazać obudzić, Effendi?

— Nie, spocząć chcę, przeklęta mgła, zimno mnie trzęsie, a głowa pęka od żaru; o ile nie zasnę, przyjadę obejrzeć to gniazdo po walce, ale budzić mnie nie każ.

Wjechali w obóz; przed swoim namiotem rzucił bej lejce nadbiegającej służbie, zeskoczył z konia i rzekł w progu już:

— A pamiętaj, Ali, iż Koran zaleca wiernym, by pełnili dzieła miłosierdzia, pastwienie się nad nieprzyjacielem pobitym nie jest godnem wyznawców Proroka.

— O Effendi, racz przypomnieć sobie, że w Koranie są również słowa: „Zabijajcie ich, gdzie ich znajdziecie, wypędźcie ich, skąd oni was wypędzili, bo gorszem od mordu jest zgorszenie religijne. Zwalczajcie ich, aż nie będzie więcej zgorszenia, a służba

Boża całej ziemi odnosić się będzie wyłącznie do Allaha".

— Masz słuszność, pokój z tobą.

— I z tobą, Effendi.

Purpurowa jak krew, złotem przetykana kotara opadła z cichym szelestem za smukłą sylwetką beja Białoskórskiego.

X.

Przygotowanie obrony.

— Fiodor, patrz... tam, pod lasem, widzisz?

— Panie rotmistrzu, mgła przeszkadza, ale mi się zda, tak teraz widzę, z lasu wyjeżdżają ludzie, czyżby z wieczora uderzyć chcieli?

— Nie, spójrz lepiej, oni jeno okrążają.

Pan Andrzej wytężał wzrok, usiłował przebić spojrzeniem mrok i tajemnice kłębiącej się mgły; w oddaleniu widział ciemne, ruchome fale wciąż napływających postaci, jak okiem sięgnąć mrowie.

— To nie poszczególny czambulik jakiś, jak dotąd bywało, nie setki nawet, ale tysiące — z błyskawiczną szybkością myśli, spostrzeżenia, plany krzyżowały się w mózgu pana Andrzeja. — Okrążają nas, a chcąc ludzi zaoszczędzić, poczekają z atakiem do świtania, mgła będzie wtedy tak gęsta, że podsuną się pod sam ostrokół niepostrzeżeni przez nas i wtargną do wnętrza. Gdyby nie było mgły, zdołałbym się może bronić dzień, może i dwa, wzięliby wkońcu, bo mrowie ich jest ale tak.. Chyba że ostrokół zostawię

bez obrony, a dwór ufortyfikuję naprędce, można będzie zyskać godzin kilka.

A potem?

Śmierć.

Zaglądałeś jej w oczy tyle razy, niestraszna ci ona, rycerzu.

A może Bóg odmieni, pomoc ześle; czasem jedna godzina przynosi tyle zmian.

Może...

— Fiodor, zejdziesz na dół, okiennice pozamykać, umocować, okna siennikami zatknąć, tak jednak, by strzelać można było wygodnie, drzwi zaryglować i podeprzeć. W szopie są sznury, poprzeciągać je wzdłuż podwórza i wokół dworu, w wysokości kolan, miecze stare, dzidy i kosy w ziemię zatknąć w pobliżu sznurów tak, by ostrza sterczały do góry.

— Wedle rozkazu, panie rotmistrzu.

— Ludzi mamy do trzydziestu, prawda?

Na dwudziestu czterech jeno liczyć można, stare chłopy, z bronią nie obeznane.

— Słuchaj, połowa niech u ostrokołu zostanie, połowa przeszkody robić będzie; jeżeliby czasu starczyło, przed gankiem o jakie dwadzieścia kroków wykopać rów. Do północy musi być wszystko gotowe, wtedy i tych od ostrokołu do dworu ściągniesz. Ostrokół przy mgle i takby wzięli, będziemy bronić jeno dworu. Oni przed świtaniem nie uderzą; zda mi się nawet że ognie rozpalili, bo coś błyska we mgle.

— Wieczerzę pewno gotują psie syny, ano raz kozie śmierć, ale nabijemy chociaż tych psów Panu Jezusowi na chwałę. Już ja im sznureczki porozciągam. — Na ostrej twarzy leśniczego Fiodora skupił się wyraz zimnej, drapieżnej zaciekłości, szare oczy zda się zlodowaciały, długie, siwe wąsiska drgały groźnie i podniosła się warga jak u rozwścieczonego psa, obnażając żółte, silne zęby. — Ślubowałem sobie w duszy, jako bez mendla tych dusz pogańskich do nieba nie zastukam.

Pan Andrzej milczeniem pominął tę uwagę; w jego duszy nie było nienawiści ani chęci pomsty, jeno jakaś świąteczna cisza, ból, ale i ufność dziecięca, iż cokolwiek się stanie, Boża wola w tem będzie.

W pierwszej chwili, ujrzawszy to mrowie wypełzające z lasu, rzekł sobie: śmierć idzie... i lęk na mgnienie szarpnął jego prostą, czystą duszą; opanował go jednak zaraz, zdławił w poczęciu, i po smagłej twarzy przesunął się żałosny zrezygnowany półuśmiech:

Ano, dał Pan Jezus żywot spokojny, pracowity, szczęśliwy nad miarę, nad pojęcie prawie, a oto teraz nadchodzi godzina porachunku. Żywota przecież Panu Jezusowi i Ojczyźnie miłej żałować nie będzie. Nie żałuje... o nie, jeno mu trochę żal, że to już... A biedne, chore serce zdało się przez mgnienie, że pęknie, bo przyszła panu

Andrzejowi myśl o żonie i synach, i krew trwogą zakrzepła w żyłach.

Fiodor zaś skierował się do wyjścia, w samych dźwirzach jednak przystanął, odchrząknął, snać coś powiedzieć chciał a nie śmiał, wreszcie splunął, wąsy rękawem żupana obtarł i rzucił:

— Panie rotmistrzu!

— A co, stary?

— W piwnicy są dwie grzeczne baryłeczki prochu, a gdybyśmy tak niemi wysadzili dwór, gdy już znikąd ratunku nie będzie; zginęlibyśmy wszyscy razem, a i tego motłochu tatarskiego sporoby się ze sobą zabrało, Panu Jezusowi na świadectwo.

Pan Andrzej pobladł, głowę pochylił; zdało mu się przez mgnienie, że jakaś potężna ręka rozszalałe serce zimnemi schwyciła palcami i dławi.

Oszczędzisz bólu sobie i swoim, — szeptało mu coś w głębi duszy — uczyń to, Fiodor słuszność ma, zginiecie wszyscy razem.

Nie, Boże... nie! — ze zgrozą odsunął wid kuszącej myśli i rzekł cicho, ale stanowczo:

— Nie, stary, życie człowieka jest w ręku Boga, i jeno Bóg niem rozporządzać może.

— Panie rotmistrzu, my zginiemy to pewna, ale nasi mająż w niewolę iść... — Z piersi starego żołnierza wydarł się krótki, zduszony siłą woli jęk, łkanie.

— Fiodorze, nie wiemy jaka droga ludzkiej duszy do zbawienia posłuży. Gdyby Bóg ze-

chciał, wszystkim spuściłby śmierć lub ocalenie, bo nic się nie dzieje bez Jego woli świętej.

— Ha no, to i szkoda gadania! — Stary żołnierz ku wyjściu się zwrócił, zatrzymał go głos pana Andrzeja:

— Posłuchajno jeszcze, nie tylko że sam tego nie uczynię, ale i tobie zakazuję, grzechby to był, grzech śmiertelny, bo człowiekowi wyroków Bożych uprzedzać nie wolno. Daj rękę stary, nie uczynisz tego, prawda?

Przez mgnienie gruba, twarda dłoń żołnierza i smukła, silna rotmistrza sprzęgły się w mocnym jak śmierć uścisku.

— Wedle rozkazu, panie rotmistrzu, nie uczynię. Ot człowiekowi ciężko, gdy pomyśli, co będzie z żoną, z córką. Zbabiałem zupełnie, i lada czego w gardle dławi, ale jako pan rotmistrz rzekł, od woli Bożej niema apelacji, niechże się stanie.

— Idź, stary, zarządź, dopilnuj, koło północy przyjdź mnie zastąpić na wieży, a... — pan Andrzej urwał i dokończył wahająco — po drodze do czeladnej wstąp do jejmości i poproś, by tu do mnie przyszła na wieżę.

Fiodor wyszedł, skrzypiały drewniane schody pod ciężkiemi, powolnemi krokami, pan Andrzej sam pozostał, przy oknie stanął i wdal patrzył. Mgła i mrok zwiększały się z każdą chwilą, ciemna linja obozujących Tatarów i światła ognisk zlały się z horyzontem, słabemi zarysami

majaczył ostrokół, bielone pnie drzew w sadzie i budynki gospodarcze; powietrze było ciężkie, przepojone wilgocią, ale chłodne i wonne.

Na podwórku wszczął się ruch, słychać było głuchy huk siekier zaciosujących pale, szmer głosów.

Życie sprzedamy drogo — myślał pan Andrzej.

Na dole skrzypnęły cicho drzwi otworzone, a potem lekkie, elastyczne kroki słyszeć się dały na schodach.

Pan Andrzej drżącemi rękami płonące ogarnął skronie, oto najcięższa życia godzina nadchodzi; jako jej to rzec, iż sytuacja jest niemal bez wyjścia. Jako jej to rzec? Boże!

W ciemni zajaśniał biały fartuch pani Hanny jaśniejszą plamą, przystanęła w progu, pytając:

— Jędruś, jesteś tu? Tak ciemno, że ani dojrzeć nie mogę.

— Jestem, Hanuś, pójdź, usiądź wedle mnie na ławie, — głos pana Andrzeja był ochrypły od wzruszenia, i pani Hanna zauważyła to.

— Dlaczego masz taki głos zmieniony, czy mi się zda?

— Zdaje ci się, to od mgły, mgła wszystko zmienia.

— Mówił mi Fiodor, że mi masz coś ważnego do powiedzenia. Chciałam zaraz przyjść, ale musiałam jeszcze na polewkę gospodyni wydać. A cóż tam wedle lasu, spokojnie jeszcze?

— Nie widać.

— To i chwała Bogu, może nas przecież i tym razem ominą. Ostapek przesadził pewno, że tam u Dniestru taka moc Tatarów, strach zawdy ma wielkie oczy. Przecież tędy nigdy dotąd większe siły tatarskie nie szły.

Pan Andrzej milczał, rękę żony ujął w swoje dłonie. Jako jej rzec?

Boże, tak trudno... trzeba...

Więc chyląc głowę mówił wolno, z wysiłkiem ale spokojnie:

— Ostapek nie przesadził, Hanuś, jest ich mrowie, tysiące może, otoczyli Rymszówkę; przed godziną można jeszcze było rozróżnić światła ich ognisk. Musimy się przygotować na najgorsze, na najgorsze... Hanuś!

— Jędruś!?

A on rzekł szorstko niemal, broniąc się własnemu wzruszeniu i jej żałości:

— Będę was bronił do ostatniej kropli krwi i jeno po moim trupie was dostaną.

Pani Hanna nie odpowiedziała ni słowem, odwróciła głowę ku oknu i jeno jej smukła ręka drżała w dłoniach pana Andrzeja jak ptak schwytany.

A więc skończy się to ciche, jasne, pogodne życie, a w najbliższej chwili przyjdzie rozłączenie, w najlepszym razie śmierć. Więc zbladłemi ustami szeptała modlitwę, by Bóg litościwy dozwolił im zginąć razem. Śmierci się nie bała, cóż

śmierć? Odeszłaby z mężem, z dziećmi, dawszy życie za wiarę świętą, trwoga ją jeno chwytała na myśl o życiu.

— Jędruś — szepnęła wreszcie, nie patrząc jednak ku niemu, jakimś obcym, bezdźwięcznym głosem — jak długo bronić się im możemy?

— Godzin kilka najwyżej, spójrz jaka mgła, wieża dzisiaj zupełnie bezużyteczna, od ostrokołu cofnę ludzi do dworu i tam będziemy się bronili.

— Kiedy myślisz, że uderzą?

— O pierwszym świcie, mgła wtedy będzie biała jak mleko.

— Zali już naprawdę niema nadziei ratunku?

Pan Andrzej milczał, raz jeszcze w umęczonej duszy przesunęła się myśl: prochy... powiedz, że gdy ostatnia nadzieja ocalenia zniknie, wysadzisz dwór, powiedz... odbierzesz jej bólu połowę.

Jezu miłosierny, ratujże mnie od tych grzesznych myśli, człowiek jestem jeno, słaby, biedny człowiek i mogę ulec pokusie, siły mi daj, siły, bym wytrwał.

Mieli sobie tyle do powiedzenia w tej może ostatniej chwili, ale zabrakło im głosu i słów, przylgnęli jeno do siebie w niemym uścisku, była w nim cała pełń miłowania, rezygnacji, wzajemnego dziękczynienia i niewypowiedzianej męki. Wreszcie pani Hanna nie mogła już wstrzymać żałości i rzekła wśród łez:

— Oj Jędrusiu, żeby nam to Pan Jezus miłosierny razem umrzeć dozwolił.

A on drżącemi rękoma gładząc jej jasną głowę mówił, siląc się na spokój, którego nie miał:

— Hanuś najmilejsza, nie płacz, siły nam trzeba, mnie i tobie; nic się bez woli Boga nie dzieje, znoś wszystko dla Chrystusa Pana, cokolwiek przyjdzie. Życie to jeno chwila, a tam w górze, da Bóg, odnajdziemy się znowu wszyscy, jeno... jeno wiary sobie wydrzeć nie dozwól, ty, duszo moja umiłowana.

— Prędzej życie — odrzuciła kobieta z siłą, a gorące jej usta przylgnęły do ręki mężowskiej.

Trwali tak przytuleni do siebie, śledząc ów mrok tajemniczy, aż znowu zaskrzypiały schody, i w cień izdebki wpadł błysk łuczywa i twardy głos Fiodora:

— Panie rotmistrzu, wszystko gotowe.

— Północ już?

— Dochodzi. Ludzi cofnąłem do dworu, bo mgła taka, że o kilka kroków rozeznać trudno.

— Zaraz zejdę obejrzeć wszystko, na wieży niema co czuwać, spójrz, dach znaczy się jeno ciemniejszą plamą, pójdźmy, Fiodorze. A ty, Hanuś umiłowana, idź, zbudź chłopców.

Zeszli na dół, owionął ich chłód i przejmująca wilgoć mgły; Fiodor wziął z czeladnej łuczywo i szedł świecąc naprzód, a w panu Andrzeju obudził się nagle dawny rotmistrz pancernego znaku, przed którym drżeli wrogowie. Z uś-

miechem poglądał na połyskujące między sznurami ostrza dzid, mieczy, kos, sterczące z ziemi, i wstawało w nim zadowolenie; oto w braku rąk uzbroił glebę ojczystą do walki z wrogiem... Hej! popamięta atak na Rymszówkę pohańskie plemię!

A Fiodor mówił:

— I rów my wykopali wedle ganku, nie głęboki, bo trudno było, czasu zabrakło, ale i taki wystarczy.

— Wiesz, Fiodorze, na wieży posadzim chłopów do broni niezdatnych i w oknach od stryszku też, niewiasty niechaj tłuszcze gotują a gorące im donoszą.

— Wedle rozkazu.

— Psy spuszczone?

— Spuszczone.

— Ostrokół zamknięty i podparty?

— Wszystko w porządku, panie rotmistrzu.

— Ano to i dobrze... a teraz chodźmy, by i nam gorącej polewki dali, głodny żołnierz nic niewart.

* * *

Wszedłszy do izdebki chłopców pani Hanna spoglądała chwilę, jako spali cicho i spokojnie, tacy we śnie dziecięcy jeszcze i wątli. Łzy wezbrały w jej oczach i płynęły niewstrzymanym potokiem po wybladłej twarzy jedna za drugą,

jedna za drugą, a wywołała je myśl pełna trwogi, gdzie te jej pisklęta zasną jutro?

W ziemi może, a może na stepie szerokim, na wozie, pod groźbą bata, i może nigdy już nie popieści ich, nie przytuli, nie ujrzy.

Jeżeli umrze, to wyprosi zapewne u Boga, by duch jej mógł czuwać nad niemi, ale jeżeli pozostanie żywa...

Odsunęła tę myśl o życiu z rozpaczną siłą i pochyliła się nad łóżeczkami, nawołując cicho:

— Jurasiu... Stachu.

I wraz otarła łzy, by się ich nie przerazili.

— Jurasiu, Stachu, wstawajcieno, moje... moje dzieci.

Ale chłopcy, zmęczeni ruchem i pracą, spali tak smacznо, iż przyciszony głos pani Hanny nie doszedł ich wcale. Tak jej było żal, iż przerwać im musi ten sen ostatni pod rodzinną strzechą... ostatni sen bez troski o jutro, ale trzeba było.

— Chłopcy, czas wstawać... Chłopcy!

Potrząsała nimi, lecieli jej przez ręce, rozwierali oczy, by zamknąć je znowu i zasnąć silniej jeszcze, wzięła więc wody na dłoń i prysnęła im w zarumienione twarzyczki, wraz usiedli i przecierając pięściami mrużące się oczy, pytali sennie:

— Zali to rano już?

A pani Hanna podając im lepsze żupaniki i bieliznę świeżą, mówiła tak spokojnie, jak gdyby łez nie wylewała przed chwilą:

— Wstawajcieno a żywo, do mycia się bierzcie... raz, dwa, wraz zerzeźwiejecie. Macie tu czyste koszule, włóżcie po dwie.

— Dlaczego po dwie? — pytał napół już rozbudzony Jur, a serce mu się ścisnęło jakiemś niewypowiedzianie przykrem uczuciem trwogi. — Czy stało się co, mamusiu?

— Jeszcze nic, ale Tatarzy są blisko, mgła wielka, Bóg jeden wie, co stać się może, lepiej się na najgorsze przygotować — szeptała pani Hanna — cokolwiek przyjdzie, musicie być spokojni, silni, ojcu nie utrudniać.

— Zali mogą dwór wziąć? — pytał Jur.

— Mamusiu, zali mogą się tu wedrzeć? — szeptał rozwierając szeroko błękitne, łzawe oczy Stach.

— Wszystko w rękach Boga, moje dzieci.

— Ma... musiu!

— Cicho, Stachu, właśnie dlatego, że niedługo będziecie może sami musieli stanowić o sobie, bo... no, bo nas może zabraknąć, trzeba, abyście umieli już teraz zachować spokój.

Jur zerwał się na równe nogi, mył, ubierał się śpiesznie, jego młoda twarzyczka pociemniała, zaostrzyła się, i był teraz każdym rysem do ojca podobny.

— Tego poznałabym po latach na pierwszy rzut oka — pomyślała pani Hanna — Jędrusiowi będzie podobny taki, że i trudno bardziej.

Stach także już ze snu wytrzeźwiał, przychodziły mu na myśl wszystkie opowiadania, zasłyszane na wieczorynkach o tatarskich najazdach, ubierał się szybko, a wszystko mu z rąk leciało, i oczy opływały łzami; walczył z niemi, nie chciał płakać, pragnął być silnym jako pani matka mówiła, ale jego biedne, dziecięce serce zamierało w lęku.

Na szczęście myśl o przyszłości nie istniała jeszcze dla nich, i tylko teraźniejszość budziła pełne grozy oczekiwanie, połączone jednak z mimowiedną, dziecięcą ciekawością, jak to też będzie?

Ubrani byli już zupełnie, gdy pan Andrzej wszedł, odłożył broń i kładąc ręce na ramionach synów, mówił wolno, dobitnie, spokojnie:

— Dzieci, zapamiętajcie sobie, co wam teraz powiem, bo to pewno moje ostatnie słowa do was w tem życiu, chyba, żeby Pan Jezus nad nami niegodnymi cud uczynić raczył. Bądźcie prawi, uczciwi, nie mówcie słów, którychbyście każdej chwili czynem poprzeć nie mogli, pamiętajcie, że was ziemia polska urodziła i wychowała, kochajcie ją... Pamiętajcie, że życie na ziemi, to chwila jeno, a życie ducha wiecznie trwa; znoście cierpliwie mękę, trud, razy, niedolę; im biedniejsi będziecie na ziemi, tem niebu bliżsi, Chrystusowi drożsi. Jeżeli się dostaniecie w moc Tatarów, będą was oni namawiali prośbą, obietnicą, groźbą, abyście się Chrystusa wyrzekli a ich Ma-

hometa wyznali; — oto ja was zaklinam, proszę, nakazuję pod ojcowskiem błogosławieństwem mojem, nie dajcie się uwieść obietnicom, ni zmiękczyć groźbą, żyjcie w Chrystusie i... umierajcie w Chrystusie!

Tu panu Andrzejowi głos się załamał, przerwało mu go wzruszenie, więc odwrócił głowę i patrząc przez wylot zamkniętej okiennicy w białawą mgłę za oknem, siłą woli je zwalczał.

— Panie ojcze, pamiętać będziemy zawsze... zawsze... — łkał Stach, tuląc się do ojca; każde ze słów pana Andrzeja zapadło mu w duszę jak dar ostatni, z ręki ojcowskiej wzięty.

Jur milczał, w mózgu szalały mu coraz nowe myśli, pytania i mieszały się ze słowami ojca: kiedy też uderzą? Czy naprawdę taka gęsta mgła, że o dwa kroki nie widać? Jak się też Tatarzy przez ostrokół przedostaną? Nie może być, by to zrobili tak cicho i zręcznie, iżby nikt nie zobaczył? A chwilami usiłował jednak skupić uwagę i słuchać słów ojca, ale wraz nachodziły go myśli: Boże święty... toć pan ojciec tak mówi, jak gdyby umierać miał. Jak to może być, by się wszystko mogło skończyć tak nagle? I jego umysł nie mógł objąć grozy wiszącego nad nim nieszczęścia, nie mógł wprost pojąć, że oto są wszyscy razem w ukochanym dworze, zdrowi, silni, a za jakiś niedługi przeciąg czasu może zabraknąć ojca, matki, iż mogą się znaleźć zupełnie sami, pomiędzy obcymi, nigdy wpierw niewidzia-

nymi ludźmi i do Rymszówki nie wrócić... Jezus Marja... toć już śmierć byłaby może mniej straszna! Łzy zaczęły kapać i jemu na drgające od żalu usta. I nagle wstała w nim wątpliwość, czy to się naprawdę dzieje, czy mu się może jeno śni, więc z całej siły uszczypnął się w łydkę... zabolało, ale niestety sen się nie skończył.

Pan Andrzej przygarnął ramionami tę trójkę, która była mu dotąd prócz Boga i Ojczyzny jedynem ukochaniem na ziemi, a drżące jego wargi poruszał szept bezgłośnej modlitwy:

— Oto ja już nic nie mogę... jeno życie dać... Panie! Panie... ale Tobie ich oddaję, duszom ich zmarnieć nie daj.

Ucałował ich raz jeszcze szybko, jak gdyby się bał, że utraci ów spokój, wywalczony z takim trudem, i zdobył się nawet na uśmiech.

— Hanuś... dajno dzieciom śniadanie, a wy, chłopaki, głowy do góry a łzy obetrzeć. Po śniadaniu przyklęknijcie, a Boga proście, by raczył pomoc zesłać. Ja z Fiodorem będziemy bronili drzwi od ganku. Hanuś... Niech was Bóg ma w Swojej opiece.

Chłopcy przeszli za panią matką do czeladnej, nalała im gorącej polewki w kubki i ukrajała chleba. Pełno było w czeladnej kobiet wiejskich i dzieci, a na każdej twarzy troska. Ale pani Hanna odzyskała już energię, zajrzała czy się tłuszcze gotują, czy woda wre, i mówiła spokojnie:

— Moje gospodynie, przyjdźcie potem do stołowej, w kuchni przy garach niech się jeno zmieniają po cztery, jak nasi strzelać zaczną, wraz gary na stryszek nieść i na wieżę. Nam orężem walczyć nie przystoi, ale miejsce nasze w takiej chwili u stóp Boga, by w kornej modlitwie dusze nasze i naszych ukochanych polecić łasce Zbawiciela.

— Jejmość, czy to naprawdę tak źle?

Kobiety chciały w głośny uderzyć lament, ale pani Rymszyna rzekła znowu:

— Nie utrudniajcie waszym mężom tych chwil ostatnich, niech im wasz płacz boleści nie pomnaża; widzicie, i ja mam męża ukochanego i chłopiąt dwoje, a Bogu ich oddaję, bo wiem, że gdzie już słaby człowiek nic nie zdoła, Bóg jeszcze wszystko może. Oto jest chleb i wędzone mięso, pokrajcie sobie a schowajcie, bo kto wie, co jutro czeka.

W oczach pani Rymszyny zalśniły łzy, ale zaczęła chleb krajać, kiełbasą go przekładać, ludziom rozdawać i już jej nawet ręka nie drgnęła, gdy swoim chłopcom chleb za żupaniki wsuwała. Spełniała swoje obowiązki gospodyni, matki i żony do końca, a dalej?.. dalej będzie, co Bóg da.

XI.

Atak Tatarów.

Szło ku świtaniu, mgła stała się tak białą i gęstą, iż trudno w niej było rozróżnić cośkolwiek, snuła się w niej ciemna linja nakształt ruchomego pierścienia i zwężała wokół Rymszówki w coraz ciaśniejszy krąg.

Dwór milczał, jeno gdy pierwszy szereg do ostrokołu się zbliżył, psy zaczęły ujadać tak zajadle, że chwilami przechodziły w wycie. Cicho padł rozkaz, na zarysie ostrokołu zaciemniały postacie, huknęły wystrzały, świsnęły sznury, i znowu jeno rozżartych psów rozpaczliwe szczekanie.

— A co tam?

— Przy ostrokole zda się nikogo niema.

— Kto strzelał?

— My...

— Naprzód...

Postacie zsunęły się w głąb ciemnego podwórza i sadu.

— Wrota otworzyć!

— Już...

Psy rzuciły się na Tatarów, gryzą i szarpiąc, błysnęło kilka wystrzałów... umilkły.

— Rozebrać w kilku miejscach ostrokół — komenderował Ali-aga, wjeżdżając wraz z innymi przez wrota; wstrzymali się na mgnienie, część ich była pieszo, część konno, pieszych posłał do ataku Ali-aga, spodziewał się wysilonej obrony dworu, ale lekceważył ją sobie, kazał otworzyć stodołę, snopy zboża z niej powyciągać i niemi się zasłaniając, do szturmu iść.

— Jeno cicho, zaskoczymy ich znienacka...

Ruszyli, część podwórza i sadu przebyli biegiem, i nagle wrzask, jęk, klątwy rozdarły powietrze. Pierwszy szereg zaplątał się w sznury, ostrza nastawionych kos i dzid pogrążyły się w ludzkich ciałach, bluzgnęła krew, szaleńcza trwoga zapanowała, drżące dłonie napróżno w ciemni szukały przeciwnika, wpierały się jeno w ziemię od deszczu wilgotną.

— Ałła! Ałła!

— Zasadzka!

— Wstrzymajcie się, cofnijcie!

Ale szereg następny parł naprzód, wołanie wydało się im wzywaniem ratunku. W mgle, w mroku Tatarzy brali się wzajem za wrogów, przewracali na sznurach, strzelali jedni do drugich, na podwórzu powstała olbrzymia wikłanina ciał, wrzask rozpętanego piekła, huk broni, wołanie o ratunek, charkot konających, nawoływanie dowódców, jęki rannych, a z pól napływały



Pistolet podniósł, wypalił... pan Andrzej za serce się chwycił..
(Str. 156).

(Dwaj Rymszowie)

coraz to nowe szeregi na pomoc i zwiększały zamęt do rozmiarów klęski. Ali-aga stracił głowę, przeczuwał, że to przecież nie żołnierze pana Rymszy biją jego wojowników, bo tę garstkę zdusiłby z łatwością, a więc kto? Mgła, przeklęta mgła! I nagle staremu wytrawnemu wilkowi przyszedł pomysł; w jednem mgnieniu był w stodole i z natężeniem począł krzesać ogień na snopy zboża, posypały się skry, błysnął płomień. Ali-aga żagwiącą się słomę wetknął między snopy, a potem na dwór wypadł i krzyczał:

— Zaprzestać... cofać się! Zaprzestać!

Ale głos jego tonął w wyciu hordy, w jękach rannionych, w całem tem rozpętanem piekle!

Jedne trąbki wołały do ataku, inne do odwrotu, a walka szalała, ślizgały się stopy w błocie i krwi.

Chwila jeszcze, i stodoła stanęła w ogniu, rzucając krwawy blask w mgłę. Zrobiło się jasno, zobaczono sznury, stosy zabitych i rannych i cichy, dotąd jeszcze milczący dwór... Walka ustała, wojownicy spojrzeli sobie w twarze i zobaczyli, iż biją się między sobą.

— Maszallah! Wielki Boże!

— Przecinać sznury...

— Naprzód!

— Krew za krew!

— Allah il Allah!

W duszy każdego z tych wyznawców Proroka, lecących do ataku bez względu na płomień

i dym, rozpętało się piekło nienawiści, dzika chęć odpłacenia za każdą kroplę przelanej krwi.

Nie zważali, iż jeszcze kilku przewróciło się do rowu przed gankiem, runęli po nich, miażdżąc ich obcasami, a tu nagle milczący dotąd dwór przemówił, ze wszystkich okien huknęły wystrzały i znowu... i znowu...

Pierwszy szereg skłębił się, zachwiał, ale cofnąć się nie było gdzie, można było tylko zwyciężyć lub zginąć, a z góry lunął nagle wrzątek tłuszczu.

— Allah! Allah hu!

Rozległo się bolesne wycie oparzonych, zgłuszył je krzyk.

— Śmierć wam, psy niewierne!

— Naprzód!

Stodoła gorzała, na podwórzu gorąco było jak w łaźni, strasznie jak w przedpieklu. Tatarzy dopadli do okien i drzwi, usiłowali wyważyć je kindżałami, z tylnych szeregów podano im owe wpierw porzucone snopy, wzięli je na głowy, by się zabezpieczyć od wrzątków płynących z góry. Wściekłość, energja, rozpacz prawie była w tym ataku, nie byli to już ludzie, jeno rozżarte, krwi spragnione zwierzęta. Gdy ktoś padł, w tej chwili zastępowali go inni.

A dwór grzmiał wystrzałami i drżał od psalmów śpiewanych, jak gdyby w obliczu śmierci już. Wreszcie dębowe drzwi runęły. W progu zarysowała się smukła sylwetka pana Andrzeja

i barczysta starego Fiodora, z gołemi szablami w rękach. W rozbłysku płomienia zagórowali nad tłumem i zanim upadkiem drzwi odurzeni Tatarzy zdążyli przejść do ataku, owe dwie szable poczerwieniały krwią i wyrąbały sobie miejsce wolne.

— Żywcem! Żywcem brać! — wrzeszczał Ali. — Przez okna do dworu... naprzód, a tych dwóch żywcem wziąć, niech w mękach zginą. Sznury, sznury rzucić!

— Sznury, sznury! — zahuczało w tłumie, cofnięto się.

W tej chwili właśnie bej Białoskórski nadjechał, wparł konia w tłum. Jednym rzutem oka objął dopalającą się stodołę, płonący od lewej strony dach dworu, stosy ciał martwych i na jego orlej twarzy odbił się podziw... było to doprawdy gniazdo lwie. Usłyszał rozkaz Alego-Agi, dojrzał rycerską postać pana Rymszy z krwawą szablą w dłoni, stojącego w progu ukochanego domu, i gorący war krwi uderzył mu do mózgu. Wiedział, co czeka tego człowieka od rozszalałego pragnieniem krwi tłumu; męka, śmierć straszna, powolna.

Nie!

Wparł karego w tłum, nie zważając na to, że ludzi tratuje, i jego silny głos zapanował nad wrzawą:

— Precz ze sznurami! Rycerskim ludziom śmierć rycerska!

Pistolet podniósł, wypalił... pan Andrzej za serce się schwycił i runął na progu ukochanej Rymszówki, jak dąb podcięty. Drugi strzał rozbił czaszkę Fiodora.

— Bej...

— Sam bej...

Rozległy się ciche, zdziwione okrzyki w tłumie, ale już runięto naprzód, po ciałach obrońców w głąb dworu. Gdy wodza brakło, ustała obrona, rozległ się krzyk, wrzask, wściekłe wycie rozszalałej hordy, przejmujący jęk kobiet wywłóczonych za włosy; a oto dach już płonął, gorąco stawało się tak straszne, iż zaczynało brakować tchu.

Bej konia wycofał, raz jeszcze na zasieki ze sznurów spojrzał i do jadącego przy nim Alego-agi rzekł:

— Trąbić na odwrót, ci szaleńcy spłonąć gotowi, dach cały w ogniu, trąbić na odwrót. Na Allaha u takiego pana Rymszy i prochy w piwnicach być muszą, jeżeli tam ogień dojdzie, przepadliśmy.

Ali-aga skoczył w tłum, rozległ się dziki dźwięk nawoływających trąbek; miejscami rozebrano ostrokół, więc czarna fala odpływała teraz swobodniej. Każdy niósł, co zabrać zdążył, jedni omdlałe kobiety, inni sprzęty, jeszcze inni dzieci.

Bej Białoskórski sam do pośpiechu zachęcał i sprawił wreszcie, że pomiędzy Tatarami a Rym-

szówką został już pas olbrzymi zdeptanych ściernisk.

Stawało się coraz widniej, bo mgła wzniosła się ku górze, a dwór i wszystkie zabudowania gospodarskie płonęły.

A oto nagle ziemia zda się drgnęła w posadach. Dym, blask, huk, jak gdyby setki gromów, spłoszone konie Tatarów runęły ławą w głąb lasu, rozległ się krzyk, nawoływania, klątwy. To ogień doszedł do piwnic, a wybuchające prochy zamieniły cichy wczoraj dworek, drzemiący w blasku słońca wśród urodzajnych pól, w jedną krwawą mogiłę, w jeden słup ognia.

— Effendi! gdyby nie ty i twoja przezorność, większość wiernych byłaby zginęła w tej chwili. Allah niech ci nagrodzi — mówił Ali-aga, z trudem opanowując płoszącego się konia.

Bej milczał, splótł dłonie na karku karego i patrzył w mgłę, w płomień, w dym, wreszcie rzekł:

— Miałeś słuszność, Ali, lwie to było gniazdo, i lepiej je było ominąć, straciliśmy pewno ze trzystu ludzi, a zyskali niesławę jeno, żeśmy się w nastawioną złapali pułapkę. A ty, Ali-ago zasłużyłeś na zielony sznur.

Czarny aga zbladł, w błękitnych oczach beja drżał bezlitosny, zimny błysk, więc z konia zeskoczył i uderzając czołem o strzemię, błagał:

— Effendi! mgła, przeklęta mgła narobiła wszystkiego, racz mi darować. O Effendi, będę ci służył jak pies najwierniejszy.

— Służ!

— Alah-kerim! Bóg łaskaw — odetchnął Ali — wrócił mi życie, niechaj będzie pochwalony na wieki wieków. O Effendi! wiem, iż wprawdzie nie zasłużyłem na karę, ale mógłbym ją otrzymać, wspaniałomyślność twoja darowała mi, nie masz wierniejszego sługi nade mnie.

Albo większego wroga — myślał bej, bo zdało mu się w tej chwili, że w głosie Alego odróżnia pełzający ton, zasłyszany w namiocie Dziawlet-gereja, a głośno rzekł:

— Za wiernych, których ciała znajdują pogrzeb w płomieniu, odmówcie surę[1]) zamknięcia.

— Allah il Allah... — snuł się przestrzenią nawołujący, śpiewny ton głosów.

A od dębowego lasu, z ręką tatarską na ustach, spoglądał Stach Rymsza na płonące gniazdo rodzinne, ale w jego szeroko rozwartych, przerażonych oczach nie było tym razem łez.

Od czasu walki o dwór do tej chwili, wypadki następujące po sobie z błyskawiczną niemal szybkością uderzały w jego dziecięcą myśl jak szereg obrazów strasznych, trudnych do zrozumienia, nad któremi zresztą zastanawiać się nie mógł, bo zaraz pokrywały je nowe wrażenia, nowy ból. Teraz dopiero pod lasem, gdy trzyma-

[1]) „sura“ rozdział Koranu, sura zamknięcia nosi tytuł „Zmartwychwstanie.“

jący go na kulbace stepowego konia Tatar zwolnił nieco siłę chwytu, dzierżącego go za kołnierz, Stach raz pierwszy pomyślał jaśniej. Zdało mu się, że tam z płomienia woła na niego jakaś nieznana potęga: oto sierotą jesteś... oto z gniazda twego rodzinnego ostaną zwęglone zgliszcza. I jego chłopięca dusza opłynęła krwią męki.

A tam huragan rozszalałego płomienia zamieniał w popiół zwłoki ojca, dzieciństwo jasne, wszystko, czynił go niewolnikiem obcego plemienia, nędzarzem, posiadającym jednak w głębi ducha potrójny skarb: wiarę, wspomnienia i młodość.

Spojrzał lękliwie dokoła, widział twarze ciemne, obce zupełnie typy ale teraz pozbawione dzikości i grozy, bo właśnie Ali-aga zwrócony twarzą ku wschodowi, odmawiał surę zamknięcia, a jego nieco śpiewny głos dźwięczał niewyraźnie w ciszy wstającego ranka; twarze Tatarów skupione były i smutne, jak gdyby i ich ogarnęła żałoba chwili.

— Gdzie też mama? Jur? czy żyją? czy są gdzie blisko? czy ich zobaczę kiedy? — kłębiły się myśli w głowie Stacha. Gdy ujrzał upadającego w progu ojca, wszystko zmieszało mu się w jedną gmatwaninę barwnych plam; jak przez mgłę przypominał sobie, że błysnęła mu wtedy w tłoku twarz Jura ciemna, z rozdętemi nozdrzami i pistolet w jego drobnej, zaciśniętej ręce; mierzył ku Tatarom. A potem huknął strzał, rozległ

się czyjś jęk, Jura zasłoniło mrowie Tatarów, a jego samego jakaś potężna ręka pochwyciła za kołnierz, uniosła w górę jak szczeniaka; dusił się, z wysiłkiem jeno chwytał oddech, w ustach czuł jakiś przykry ołowiany smak, myśli już zebrać nie mógł, miał wrażenie, że mgła i dym przedostały się mu do mózgu, a potem zaczęła go ogarniać bezmiernie słodka, z rozkoszą granicząca odrętwiałość. Oprzytomniał dopiero teraz i chłonął oczyma Rymszówkę, spazm płaczu chwytał go za gardło, ale oczy pozostały suche. Chciał złożyć ręce i modlić się za duszę ojca i wtedy dopiero spostrzegł, iż mu je skrępowano na plecach. A Tatar siedzący za nim dojrzawszy, że przyszedł do siebie, mruknął łamaną polszczyzną:

— Tyś czyj?

— Pana Rymszy — z dumą odrzucił Stach.

— Syn?

— Tak, syn.

— Lwie szczenię ty, będzie z ciebie jańczar aż miło.

Zwrócono konie w głąb lasu, przez wysokie trawy, połyskujące ciężkiemi kroplami rosy, jechała horda, nie śpiesząc się zbytnio; ranek był chłodny, świeży, a że wiatr leciał od Dniestru, więc nie było w powietrzu dymu ni spalenizny, tylko woń zieleni deszczem spłókanej i kwiecia. Stach co chwilę odwracał głowę, z za pni drzewnych żegnał go dom rodzinny, krwawa ojcowska

mogiła, powiewając falą czarnego, kłębiącego się dymu, w którym żagwiły się złoto-krwawe błyski płomienia. A oto nagle zamknęła się zielona ściana drzew, i nie mógł już dojrzeć i tego.

Jeno potężne dęby szumiały cicho, żałośliwie, otrząsając łzy rosy: sierota... sierota...

XII.

W niewoli.

Pani Hanna, prowadzona przez inny oddział Tatarów, modliła się drgającemi usty, gdy całe jej szczęście w gruzy szło, modliła się, gdy szła na sznurze przy tatarskim koniu przez las rozgwarzony sennie, przez swój las.

Nie mdlała, nie jęczała; w chwili gdy pan Andrzej padł, wszystko stężało w niej w jakiś kamienny spokój; miała wrażenie, że gdyby ją teraz bito do krwi, nie odczułaby bólu.

Tatarzy zatrzymali się teraz nad Dniestrowym brzegiem, usiadła więc na ściętym pniu i martwe, smutne oczy utkwiła w złoto rude mgły, przez które przedzierał się blady błysk słońca.

I nagle przyszła jej myśl: co się stało z dziećmi?

Przecież nie tylko żoną była ale i matką.

Och, gdyby ich miała tutaj! Tak pragnęła przytulić do serca te dwie ukochane głowy, chociażby na mgnienie tylko.

Czy żyją ? Czy zobaczy ich jeszcze kiedy?

Jura widziała, jak strzelał, co się stało dalej... Czy i on pozostał tam, w gruzach... obok ojca...

Oszaleć można...

O Chryste! Chryste! — modliła się znowu.

I gdy tak siedziała pogrążona w martwocie bólu, w bezwiednej niemal modlitwie, usłyszała tuż obok siebie jęk... przejmujący jęk rwącego się życia:

— O... Allah... hu...

Spojrzała w tę stronę; o kilka kroków od niej młody, może dwudziestoletni Tatar runął z konia na ziemię. Poskoczono mu na pomoc, zdjęto z niego zbroczony kaftan, miał głęboką ranę ciętą w lewem ramieniu, płynęła z niej krew.

Wróg — pomyślała pani Hanna, ale wraz wstała w niej litość: był to w każdym razie człowiek, innej jakiejś kobiety syn.

Tak niezręcznie, brudnemi rękami zabierali się Tatarzy do przewiązania rany, kość była zdaje się złamana, bo ręka leciała i gięła się w przedramieniu, a krew płynęła obficie, coraz obficiej, zaś ciemna twarz, leżąca na podścielisku trawy, chłopięca jeszcze prawie, przybierała zielonawy ton śmierci.

Zabili ci męża, porwali dzieci, zrobili z ciebie nędzarkę ze wszystkiego wydziedziczoną, cóż cię może obchodzić ich ból? — oburzało się coś w duszy pani Hanny, a równocześnie szeptały w niej słowa Chrystusa: „Miłujcie nie-

przyjacioły wasze, błogosławcie tym, którzy was przeklinają, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści".

I zdawało się jej, że wstaje pomiędzy nią a krwawem wspomnieniem dopiero co minionych chwil jasna zjawa Boga-człowieka i zachęca: Pójdź w moje ślady, jam błagał przebaczenia dla tych, którzy mnie krzyżowali, albowiem nie wiedzieli, co czynią.

O Chryste! kiedy tak ciężko przebaczyć, nie mogę...

A Tatar właśnie otworzył bólem błędne oczy. Z piersi wydarło mu się chrapliwe, nic człowieczego nie mające w sobie krakanie, a drżące z męki zęby zaczęły rwać trawy, gryźć ziemię... i w duszy pani Hanny pękła obręcz niechęci, a została litość; podniosła się żywo i rzekła łagodnie, pochylając się nad ranionym:

— Umiem opatrywać rany, rozwiążcie mi jeno ręce, szybko, bo z tego człowieka krew ujść może.

— Czego ona chce?

— Co ona mówi?

Pytali Tatarzy, ale byli między nimi tacy, którzy rozumieli po polsku; śpiesznie rozcięto krępujące ją więzy i patrzano ciekawie, jak szybko i pewnie wtłoczyła w ranę kamyk zawinięty w płótno, oddarte z fartucha, by zatamować krwawienie, a potem założyła opatrunek, ustalając ra-

mię pomiędzy dwiema mchem wyścielonemi deseczkami, które jej przycięto. Wszyscy prawie znali się na opatrywaniu ran, to też z uznaniem patrzyli na jej pracę zręczną a szybką. Młody Tatar przez cały czas sprawiał się cicho, a gdy po zabandażowaniu zawiesiła mu rękę na pasie płótna, założonym dokoła szyi, przebiegł po jego bladej twarzy cień uśmiechu.

— Nie bolało cię? — pytali zaciekawieni Tatarzy młodego towarzysza.

— Bolało, ale nie tak bardzo, niech Allah błogosławi jej ręce, matka synowi nie mogłaby zrobić opatrunku ostrożniej i lepiej.

Wnet więc otoczyli ją, prosząc, by opatrzyła ich zranienia, kilku było oparzonych, inni mieli lżejsze rany cięte lub postrzałowe. Przynieśli jej wody dniestrowej, prochu strzelniczego, chleba, pajęczyny, oliwy i zwój białego, cienkiego płótna; rwała je na długie, wąskie pasy i opatrywała te grube, czarne, pokrwawione ręce, te same, które jej gniazdo zburzyły, ją samą za włosy wlokły, i tak była zajęta pracą, iż mimowiednie zaczęła mówić ciężej rannym słowa pociechy i współczucia.

A właśnie nadjechały wozy, które zebrały ciężko rannych po polach Rymszówki; tyle tu było niedoli, męki, krwi, że pani Hanna bez wahania już zabrała się do opatrywania. Spokojny, podniesiony jej głos wydawał rozkazy, a ciemne, krótko ostrzyżone głowy chyliły się przed nią

z szacunkiem, podawano bez zwłoki, czego żądała, podtrzymywano członki, które opatrywała. Zasypywała niektóre rany prochem strzelniczym, inne zalepiała chlebem ugniecionym z pajęczyną, i nie miała ni chwili czasu na myśl, na ból.

Wyszła właśnie na nowy wóz i pochyliła się nad rannym, ale nagle błękitne jej oczy wezbrały łzami a ramiona przygarnęły wątły, chłopięcy korpus w uścisk długi, gorący: w objęciach jej leżał Jur. Szercko rozwarte, czarne oczy nieprzytomne były i zmętniałe, na rozciętem czole czernił się zakrzep krwi.

Potęga woli zdławiła ogarniające ją wzruszenie, ostrożnie badała, czy kość nie została naruszona, i odtchnęła z ulgą, przekonawszy się, że czaszka pozostała całą; opatrzyła go, w rozchylone usta wlała wodę, którą jej ktoś podał, a potem przylgnęła do nich w długim pocałunku:

— Jur... synku, kochanie... poznajesz mnie, synku?...

Ale błędne, szeroko rozwarte oczy Jura patrzyły w twarz matki, nie widząc jej.

— Jej syn... — szeptano w tłumie i te pierwotne, dzikie dusze, łatwo dostępne nienawiści a nie znające niemal litości, odczuły przecież dziwny dreszcz wzruszenia, gdy pani Hanna ułożywszy wyżej głowę syna, zwróciła się do rzucającego się obok w bólu Tatara, by i tu nieść pomoc.

* * *

Schyliło się słońce ku zachodowi, gdy pani Hanna założyła ostatni opatrunek i usiadła obok syna na wozie. Nie broniono jej; jeden z Tatarów przyniósł jej kubek mleka i świeżo upieczoną baraninę; mlekiem napoiła Jura, sama nie czuła głodu ni pragnienia, każdy nerw w niej drżał, a przed szeroko rozwartemi oczyma snuło się wszystko od wczoraj przeżyte nieskończonym korowodem zjaw.

Jur zasnął... od tła słomy odbijała jego drobna, ciemna twarz ostrym zarysem, czasem ręce drgnęły jak gdyby szukając czegoś, czasem spieczone gorączką usta poruszał szept:

— Panie ojcze... broni dozwólcie... prochu nie zmarnuję. — To znowu urywane jakieś słowa opowiadały o wronie zabitej, o rycerzu, co się z niedźwiedziem zmagał. Czasem pani Hanna zsuwała się z wozu, by któremuś z rannych wodę podać; nad chorymi czuwało kilku Tatarów, ale gdy komuś gorzej było, w tej chwili przychodzono po nią.

Nad wieczorem nadjechał bej, by obejrzeć cięższej rannych, z konia zeskoczył i szedł od wozu do wozu, rzucając zapytania i słowa otuchy; zastanowiły go starannie założone bandaże, więc pytał:

— Kto tym razem opatrywał rannych?

Tatarzy zmieszali się, milczeli, obawiali się, iż bej nie pochwali tego, że chrześcijanka została dopuszczona do leczenia wiernych.

— No, gdzież ten Hekim[1]) dziwnie skromny? — po raz drugi zapytał bej.

— Zaopatrzyła rany wiernych ta niewiasta, Effendi. — Bystre oczy beja zwróciły się w kierunku wskazanym:

— Branka?

— Ty rzekłeś, Effendi... żona szlachcica, którego raczyłeś zastrzelić, pana Rymszy — rzekł jeden z Tatarów.

Pełne podziwu i żywego zaciekawienia oczy beja spojrzały ku owej brance, ogarnęły jej wyniosłą a smukłą postać, pochyloną głowę złotą, niepokoju pełne źrenice i drobną, chłopięcą, obandażowaną głowę, spoczywającą z zamkniętemi oczyma na jej kolanach; zrozumiał.

Zamyślił się na mgnienie i do Alego-agi się zwrócił.

— Zapytaj, Ali-ago, czy ta niewiasta zechce czuwać dalej nad naszymi rannymi, wolno jej będzie wzamian za to chodzić swobodnie w obrębie obozu i mieć przy sobie syna.

Gdy Ali-aga przetłumaczył pytanie beja, po bladej twarzy pani Hanny przesunęła się łuna rumieńca, mimowiednie drżące dłonie splotły się jak do modlitwy, chwilę głosu wydobyć nie mogła, wreszcie się opanowała:

— Powiedz panu swemu, iż chętnie będę czuwała nad waszymi rannymi, ale powiedz mu tak-

---

[1]) Lekarz.

że, iż pomiędzy jeńcami mam jeszcze jednego syna, niech nas... — chciała powiedzieć: nie rozłącza, ale urwała; prośba nie mogła jakoś przejść przez jej drżące usta, i tylko oczy nagle wezbrały łzami.

— Cóż rzekła?

— Effendi, niewiasta powiada, iż chętnie będzie się dalej opiekowała naszymi rannymi, chociaż mojem zdaniem kismet, kto ma umrzeć to i tak umrze, a komu Allah żyć przeznaczył, to wyzdrowieje; na opatrywaniu ran każdy Tatar się zna.

— Nie tak, jak ona — zaprzeczono żywo.

Ali-aga resztę słów pani Hanny pominął milczeniem, ale leżący na wozie, przy którym stał bej, młody Tatar dorzucił, chociaż każde słowo z powodu rany w płucach było dla niego krwawym trudem.

— Effendi, ona mówiła także, że ma między jeńcami drugiego syna, prosiła, byś ich nie rozłączał. Effendi, myśmy jej... naprawdę wiele winni — przerwał mu kaszel, blado-różowa piana ukazała się w kątach ust.

— Wytłumaczcie mu który, że powinien leżeć spokojnie i nic nie mówić, życiem opłacić to może. — Pani Hanna zsunęła ostrożnie głowę syna na podścielisko słomy, podeszła do rannego, ułożyła go wyżej, a widząc, że opatrunek przecieka, założyła drugi silniejszy, kładąc większą ilość szarpi i lnianych płatków w miejscu rany.

Po bladej twarzy Tatara przesunął się uśmiech, wdzięczny jej był, że ratowała jego młode życie; tam, daleko na Nogajskich stepach i on miał matkę. Zwrócił więc niespokojne, błagalne spojrzenie na surową twarz beja, śledzącego śniade ręce pani Hanny, śmiało i pewnie zakładające opatrunek.

Dlaczego ona to czyni? — zastanawiał się bej. Więcej jeszcze niżeli obrona Rymszówki i męstwo pana Andrzeja zdziwiła go potęga woli i miłosierdzia w tej kobiecej duszy. Z jakiego źródła czerpała ją ta niewiasta?... Zwrócił się do Tatarów:

— Czy wyście ją zmusili do opatrywania rannych?

— Nie, Effendi.

— Sama rzekła, by jej rozciąć sznury, to rannych zaopatrzy, bo czyniła to nieraz.

— I na brodę Proroka, Effendi, opatrywała jak prawdziwy hekim!

— Połowę bólu odjęła.

— Niech Allah błogosławi jej ręce.

Zaszumiało wkrąg.

— Zapytajcie się jej, dlaczego niosła pomoc wiernym, którym Allah dał zwycięstwo nad jej własnym ludem.

Gdy Ali-aga przetłumaczył pytanie, pani Hanna rzekła prosto:

— Bo Jezus Chrystus naucza, iż wrogów miłować należy, a za złe dobrem płacić.

Więc tak jej nakazuje jej Bóg, Jesua ben Miriam[1]), którego Koran nazywa prorokiem — pomyślał bej, i wstała w nim cześć dla tej kobiety silnej duchem i poszanowanie dla jej Boga, który wrogom nawet niósł miłość.

Dosiadając karego, rzekł:

— Ali-ago, wyszukasz niezwłocznie pomiędzy jeńcami syna tej kobiety; wolno jej mieć go przy sobie. Prędko i zręcznie przyniesioną pomocą uratowała ona niejednemu wiernemu życie; ona i jej dzieci znajdują się od tej chwili pod moją opieką, jest to mój łup, pamiętajcie o tem. Pokój z wami, a Allah niechaj wam da wyzdrowienie.

— Pokój z tobą, Effendi.

Bej ze świtą odjechał, a jeden z Tatarów pośpieszył przetłumaczyć ostatnie jego zarządzenie pani Hannie.

— Będę miała dzieci przy sobie, o Chryste! Chryste!

I ta silna w bólu i męce kobieta zapłakała z radości.

Wieczorem przyprowadzono jej Stacha; chłopak ujrzawszy matkę, do kolan się jej rzucił, i długo, długo oboje przemówić nie mogli, tulili się jeno do siebie, jak gdyby w obawie, że ich znowu rozłączyć mogą...

— A nie wiesz, gdzie Jur, mamusiu? — zapytał wreszcie Stach. A pani Hanna, gładząc tę

---

[1]) Jezus, syn Marji.

ukochaną, jasną głowę, opowiadała szeptem o wszystkiem co się stało; błękitne oczy Stacha zmętniały łzami, gdy spojrzał na bladą twarz Jura, wychylająca się z bandaży, i trwoga szarpnęła jego dziecinną duszą, czy też brat żyć będzie.

— Dużą ma ranę, mateczko?

— Dzięki Bogu, kość nienaruszona, ale krwi zda się dużo utracił i gorący taki.

— Ale przetrzyma, prawda, mateczko, przetrzyma? — pytał Stach, tuląc kurczowo rękę pani Hanny.

— W Bogu nadzieja, myślę, że przetrzyma.

Z kolei Stach opowiadał o sobie, o bolesnych scenach, rozgrywających się pomiędzy spędzanymi ze wszech stron jeńcami, i siedząc tak przy matce, uspokajał się zwolna, sztuczne podniecenie mijało, młody, zdrowy organizm upominał się o swoje prawa, poczuł senność i głód.

— Wiesz, mateczko, ostatni raz to jadłem jeszcze w Rymszówce, w południe przynieśli jakąś zupę, ale nie mogłem jeść, tak mi było jakoś dziwnie, a teraz to taki jestem głodny.

— A o chlebie w żupaniku zapomniałeś? zjedzże go teraz. — Stach wydobył chleb i chciał się z matką podzielić, ale pani Hanna wstrząsnęła głową przecząco i uśmiechnęła się.

— Jedz, Stasiu, jedz, ja jadłam już.

Więc Stach jadł, rozkoszował się smakiem kiełbasy i chleba, ale nagle przypomniał sobie, że

to ostatni chleb z Rymszówki i łzy zaczęły go dławić.

A wokół zwolna zapadała noc, umilkło modlitewne śpiewanie Tatarów, wkrąg obozu rozbłysły ognie czat, niebo było bezchmurne, gwiazdami wyiskrzone.

Wczoraj o tym czasie zasiadali do wieczerzy.

Jędruś! Jędruś najmilejszy! — szalał ból w duszy kobiety, przygarnęła Stacha ramieniem.

— Zjadłeś już?

— Już, mateczko.

— Sennyś bardzo?

— E nie... — przeczył Stach, ale oczy mu się zamykały i członki ciążyły jak ołowiane.

— Przyklęknij ze mną, pomodlimy się za duszę ojca.

— Dobrze, mamusiu.

Głos pani Hanny łamał się łzami, odpowiadał mu chłopięcy szept, z początku proszący a ufny, później coraz wolniejszy, senniejszy, aż wreszcie ucichł zupełnie, i jasna głowa Stacha osunęła się na ramię matki... spał. Wzięła go w ramiona i położyła obok Jura na wozie, nagarnąwszy na nich słomę, bo noc była chłodna, a sama czuwała; każdy jęk Jura odbijał się w jej duszy echem bezmiernego lęku. Czasem jednak wbrew jej woli przymykały się na mgnienie ociężałe powieki i wraz snuły się jej pod niemi dzikie obrazy walki, śmierć męża, pożar Rymszówki

a potem krwawe rany, wykrzywione cierpieniem twarze, drgające bólem członki; nie był to jednak sen, bo słyszała ciche jęki ranionych Tatarów, nieprzytomny szept Jura, szum drzew. Z takiego półczuwania, półsnu wyrwał ją szept:

— Jejmość! jejmość!

Wzdrygnęła się, spojrzała, obok wozu rysowała się czarna sylwetka barczystego Tatara, z ostrej, ciemnej twarzy poglądało ku niej jedno oko, po drugiem była zaklęśnięta powieka tylko.

Dreszcz lęku przesunął się po ramionach pani Hanny.

— Czego chcesz? — spytała, mimowiednie zasłaniając sobą śpiące dzieci.

— Nie lękajcie się, noc zimna, dziecko macie chore, przyniosłem wam skóry i chusty do nakrycia — mówił łamaną ale dość dobrą polszczyzną ów czarny, groźny cień, podając jej niekształtne zawiniątko, a potem dorzucił, jak gdyby jego czyn koniecznie wymagał objaśnienia:

— Ten młody, coście go zaopatrzyli najpierw, to był mój syn, z pięciu moich synów ostatni.

— A gdzież tamci?

— Wojna zabrała, dawno już — burknął stary — wszyscy polegli w walce z niewiernymi... kismet. No, bierzcie prędzej te skóry, bo nie będę tu przecież stał do nieskończoności — dorzucił z akcentem zniecierpliwienia. — Nie macie się czego bać, skóry porządne a szmaty prawie nowe, wszy będą pewno, ale do tych przyzwyczaić

się musicie, nie takie groźne, można się z niemi zżyć, każdy Tatar to chodzący magazyn.

Pani Hanna odebrany węzełek trzymała w rękach i doprawdy nie wiedziała, co z nim robić; noc była zimna, chętnie byłaby nakryła dzieci, ale bała się tych mieszkanek, o których wspomniał Tatar, a on widząc jej wahanie, mruknął:

— Myślicie, że w słomie ich niema? miłują one wojowników i dzielą z nimi wiernie dolę i niedolę. Cóżem to miał jeszcze rzec? Aha jeżeli chcecie mleka, to przyniosę zrana, jestem przy stadach, a dużo się mleka marnuje.

— Wdzięczna ci będę bardzo.

— Niema za co, jeżeli krów nie wydoję, to się pochorują, a mam wylać, to niech się dzieciska pożywią.

— Skąd ty tak dobrze mówisz po naszemu? — pytała pani Hanna, która przemógłszy wstręt, otulała chłopców w przyniesione przez starego skóry.

— Jakże skąd? przecież ja się urodził koło Humania, z piętnaściem lat miał, jak mnie horda zagarnęła, ale ja już Tatar prawdziwy, zdawna na Krymie osiadły, wiarem zmienił i nieraz już za łupem w Polsce bywał; za żonę kozaczkę mam, dawną brankę jako i ja. Ot poturczak ja, wielu nas jest takich pomiędzy Tatarami. Kismet! Jeno chrześcijanom u Tatarów źle, jak się wiarę zmieni, wszystko zaraz inaczej jest. Ot sam bej a także poturczak, ze szlachty on nawet, Biało-

skórski herbu Habdank, a po polsku ni słowa nie umie, bo na Krymie wychowany od maleńkości, nawykł.

— I wasz syn także islam wyznaje?

— Wszyscy moi, my Tatarzy już, ot co.

— I nie żal wam tak na swoich iść, mordować, palić? Przecież to wasza ziemia rodzinna, wasi bracia.

— Żal, nie żal, łup dobry jest, ktoby tam pytał czy żal, ot... przyznam się wam, jejmość, że nawet nie żal; gdy człowiek się bije, to mu wtedy wszystko jedno, kto naprzeciw, byle przemógł i dostał, co chce. W wierze tureckiej źle nie jest, w naszych szałasach nędzy niema, to i grunt.

— Człowieku, a przecież takiem życiem dusze zatracacie.

— I — stary się po głowie poskrobał, splunął i wspierając się o wóz, mówił szeptem — wiecie, jejmość, czasem to mi ta i po głowie chodzi, że się Pan Jezus może na mnie za Mahometa pogniewa, to ta i Jemu się czasem pomodlę, żeby łaski nie stracić, bo kto tam wie, który będzie po śmierci silniejszy. Zaszkodzić nie zaszkodzi, a dopomóc może, ot co jest. I cóż tak na mnie oczy wytrzeszczacie? Niema się znowu czemu tak dziwić, już se tak od lat praktykuję i dobrze mi z tem. Ho, ho! rozum mam nie bylejaki, zróbcie i wy tak, będzie i wam dobrze na Krymie.

— Nigdy!

— Szkoda was na niedolę, ludzka z was jejmość, abo to tak trudno powiedzieć: Allah il Allah? można sobie w duchu dodać: W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.

— Co człowiek duchem wyznaje, to i ustami powinien, człowieka wstyd okłamać i grzech, a cóż dopiero Boga? Jeżeli mi dozwolił urodzić się w prawdziwej wierze, to jej nie odstąpię dla błędów, chociażbym miała życie dać.

— Szalona z was kobieta. Jest więcej takich, gną się pod konwiami z wodą, a kiedy umierają, oczu im niema kto zamknąć, a mogłyby życie pędzić w dobrym bycie. Ano jak tam chcecie, z życzliwości do was mówiłem, nie, to nie. Mieka wam jutro doniosę, Bóg z wami.

— I z wami.

Stary odszedł, pani Hanna patrzyła za nim chwilę, rozmyślając nad dziwną logiką tej chłopskiej duszy, która nawet do nieba chciała wejść wykrętem, a potem schwycił ją lęk, że i jej synowie mogą kiedyś pójść drogą takiej wiary połowicznej, spaczonej, może gorszej jeszcze od samej niewiary. Tak młodzi byli jeszcze, a kto wie jak długo los jej czuwać dozwoli nad nimi.

XIII.

Widmo przyszłości.

Od kilku dni horda cofała się śpiesznemi marszami ku Nikitynie, bo przednie straże przyniosły wieść o zbliżaniu się większej ilości wojsk polskich pod wodzą samego hetmana wiel. kor. Stanisława Żółkiewskiego. Więc cofano się śpiesznie dniami i nocami, spoczywając w jarach po kilka godzin zaledwie; jeńców przeważnie pędzono piechotą, bijąc dla pośpiechu, zupełnie jak stado bydła. Czasem ktoś padł z umęczenia, odcinano wtedy sznur łączący go z resztą towarzyszy i zostawiano w lasach dzikim zwierzętom na żer. Kraj, przez który jechano, był wyniszczony, wszędzie widniały zgliszcza wsi i miasteczek, stratowane pola, zniszczone ogniem ogrody, a że dni były deszczowe i chmurne, drogi, rozmiękłe i błotniste, niebo szare od krańca do krańca, więc i dusze jeńców ogarnął beznadziejny smutek i żałoba; modlili się o odsiecz ale nie wierzyli w nią. Możliwość wolności wydawała się im tak dziwnie nieprawdopodobna.

Ranni mieli się naogół dość dobrze; zdrowe, hartowne ciała zasklepiały się szybko, i tylko młody Tatar, któremu postrzał uwięznął w płucach, pluł wciąż jeszcze krwią i gorączkował po nocach. Jur zwolna wracał do zdrowia, blady był jeszcze bardzo, upływem krwi osłabiony, pod oczyma miał głębokie cienie, ale wróciła mu już dawna żywość, wszystko go zaciekawiało, chwilami nawet bawiło. Było coś nowego i niezwykłego w tych nocach spędzanych pod stropem niebios, każdy dzień przynosił jakąś zmianę i chwilami zdawało mu się, że od śmierci ojca musiało już upłynąć bardzo dużo czasu, i dziwił się, gdy mu z rachunku wychodził zaledwo tydzień. Od rannych Tatarów nauczyli się chłopcy trochę po tatarsku, zaczynali rozumieć niektóre najpotrzebniejsze słowa, a słuchając opowiadań rannego Selima, (który dobrze mówił po polsku, bo matka jego była z Podola) o Bakczyseraju, marmurowych pałacach, smukłych cyprysach, drzemiących nad nieruchomą taflą sadzawek, o skałach białych, pysznych ogrodach, kramach barwnych, o Jałcie i morzu, odczuwali mimowiedną ciekawość i jakiś dreszcz niepokoju, jak wobec baśni, mającej się nagle stać życiem.

I bywało, że z niecierpliwością czekali chwili, gdy w czasie postoju pani Hanna szła pomiędzy jeńców, bo wtedy przysiadali się do nich Tatarzy i opowiadali o barwnem, nieznanem,

olśniewającem życiu Wschodu, do którego zbliżał ich każdy dzień, krok każdy.

Pani Hanna z trwogą myślała o końcu tej drogi, bo przeczuwała, iż na Krymie czeka ją rozstanie z dziećmi; pragnęła więc ze skarbu swej duszy dać im jak najwięcej i co dnia wieczorem opowiadała im wyjątki z życia Chrystusa Pana, aby ich w wierze utwierdzić.

Horda przeprawiła się pod Nikityną przez Dniestr i szła zwykłym szlakiem ku Sinym Wodom; ogarnęły ich stepy bezmierne, wokoło szumiały trawy wysokie, zatapiali się w nich jezdni i piesi, a gdy przeszli, zostawał po nich na stepie ciemny, szeroki, stratowany pas, jak rozwarta rana. Po dniach deszczowych nastąpiły słoneczne, upalne i noce cudne, gwiazdami iskrzące, miodna woń łąk kwietnych kołysała się w przestrzeni, a wieczorami ożywcza woń rosy. Tatarzy spodziewali się nad wieczorem połączyć z koszem Dziawletgereja i razem wycofać z Polski. O południu zatrzymano się na popas, pojono konie, strudzone kilkodniowemi wysilonemi marszami. Pani Hanna jako zwykle poszła między jeńców, korzystając z udzielonego jej pozwolenia swobodnego chodzenia po obozie. Była tam taka krwawa niedola, tylu chorych i nieszczęśliwych, tyle kobiet obłędu bliskich, a jej energja, siła, jej wiara krzepiła te dusze biedne, dodawała im mocy do wytrwania. Na początku, gdy okolica wykazywała jeszcze ślady ludzkich zniszczonych

i spalonych osad, marzyła o tem, iż się jej może umknąć uda wraz z dziećmi, ale zauważyła wprędce, iż pomimo pozornej swobody pilnowano ją, zdaleka wprawdzie, ale nieustannie. Gdy szła pomiędzy jeńców, w odległości snuł się za nią zawsze jakiś ludzki cień, od ognisk patrzyły ku niej badawcze, czujne oczy; niewolnicą była, strzeżoną jako inne. Czuwano nad nią jednak i pod innym względem: dostawała strawę posilną, mleko, w czasie deszczów wóz jej opięto płótnem, a gdy szła, uśmiechano się do niej tak życzliwie, jak tylko uśmiechać się wogóle, mogły takie groźne, dzikie, od wichru i słońca, na kolor miedzi opalone twarze. Szanowali w niej łup beja ale więcej jeszcze może tę duchową siłę, jaką odznaczało się każde jej słowo, czyn każdy.

Po odejściu pani Hanny chłopcy zostali sami, słońce doskwierało, w pobliżu Tatarzy ściągali skóry z zabitych wołów, czyścili je i ćwiartowali; niemiły zapach świeżego mięsa i ohydny jelit zagłuszył zupełnie woń stepu. Zrzuciwszy kaftany, rozpalali Tatarzy ogniska, od kilku dni bowiem nie jedzono już ciepłej strawy z powodu śpiesznego cofania się, teraz, będąc już w pobliżu Dziawletgereja, bej pozwolił na rozpalenie ognisk; ścięte u strumienia płynącego w pobliżu olszyny paliły się, sycząc i wydając czarny, kłębiący dym.

— A co, chłopcy — pytał młody Tatar z postrzałem w płucach, przysiadłszy się do ich wo-

zu — niedługo będzie pieczeń aż miło... a... a... jak wonieje.

— I... wasza pieczeń, z wierzchu węgiel, a w środku krew — zaśmiał się Jur.

— To i co z tego, kiedy dobra, zobaczysz jak ci smakować będzie po sucharach kilkodniowych — mówił chory Selim, mieszając tylko rzadko do słów polskich tatarskie wyrazy — musicie nawyknąć, jak będziecie na Krymie już, to pokosztujecie baraniny z ryżem, rajskie jedzenie. A owoce, no zobaczycie sami, co to za owoce u nas się rodzą, rozkosz nie owoce. Dziś już napatrzycie się na niejedno, bo nad wieczorem pewno połączymy się z koszem.

— Z jakim koszem?

— Kosz, to nasz główny obóz, który zostaje blisko granic, a z niego dopiero zagony rozpuszcza się po wrogim kraju. Zobaczycie namioty drogie, zwierzęta, jakich nie widzieliście pewno nigdy w życiu, a może oczy wasze niegodne ujrzą wspaniałe oblicze Dziawletgereja, oby Allah czuwał nad nim i zsyłał mu obfitość wszystkiego zawsze i wszędzie.

— Słuchaj, Selimie, zali ten wasz Dziawletgerej jest inkszy od wszystkich ludzi? — pytał, uśmiechając się Jur.

— Także pytasz?!.. znać, że nie widziałeś go nigdy! — oburzył się Selim. — Oczy jego są jako pioruny, a w rękach trzyma życie wiernych; wystarczy, aby palcem kiwnął, a głowa człowie-

kowi z karku spadnie i oczy zgasną, jak zdmuchnięte pochodnie. Oblicze jego jest tak promienne, iż niekażdy wierny mógłby w nie spojrzeć, nie doznawszy olśnienia, i dlatego gdy przejeżdża, schylamy się ku ziemi w pokłonach.

— To znaczy, żeś go jednak nie widział nigdy.

— O, widziałem nieraz, zdaleka; wystarczy to, by radością napełniła się dusza wiernego.

Stach milczał, słuchał słów młodego Tatara, to znów patrzył ku ognisku, gdzie pieczono na szablach zatknięte mięso, wreszcie rzekł, zacinając się trochę, bo z natury nieśmiały był, a to pytanie dręczyło go już od kilku dni:

— Słuchaj, Selimie, jak myślisz, co też uczynią z nami... na Krymie?

— Co z wami zrobią? może bej zatrzyma was u siebie, może odda jakiej rodzinie prawowiernej na wychowanie; zazwyczaj tak bywa z pacholętami wziętemi do niewoli w waszym wieku. Będziecie pełnili posługi różne, ćwiczyli się w robieniu bronią, w jeździe konnej i słuchali wykładów Koranu. A gdy podrośniecie, czy ja wiem, może was bej do janczarów odda, wspaniała to piechota turecka, słyszeliście pewno nieraz o niej?

Stach oczy spuścił:

— Słyszeliśmy — rzekł bezdźwięcznie, przypomniało mu się, jako pan ojciec raz o janczarach opowiadał, iż składają się ich pułki prze-

ważnie ze Słowian zabranych do niewoli w wieku dziecięcym, a wychowanych w wierze mahometańskiej, ze szczególnem uwzględnieniem dzikości i okrucieństwa. Ataki tej piechoty zawsze szczególnie wytrwałe i zażarte, a powtarzające się trzykrotnie, nieraz już przechyliły szalę ostatecznego zwycięstwa na rzecz muzułmanów.

Możliweż to, by i oni kiedyś mieli iść na swoich? O Boże, nie dopuść!

— No dobrze, a cóż stałoby się z nami, gdybyśmy wiary waszej przyjąć nie chcieli? — pytał Jur, a jego czarne, chorobą podciemnione oczy płonęły.

Selim rozłożył ręce bezradnym, wielomownym gestem:

— Byłoby to dla was złem bezmiernem, bo serce wiernego nie może mieć miłosierdzia nad niewiernymi. Natomiast jeżeli Allah obdarzy was światłem swojej łaski i przyjmiecie Islam, to możecie zająć miejsce, do którego niejeden rodowity muzułmanin wzdycha daremnie. Widziałem ja w obozie Dziawletgereja i w Bakczyseraju lśniących od złota i drogich kamieni iczolganów[1]) i adziamoglanów[2]), którzy jako i wy byli pacholętami szlacheckiemi, a wychowani w Islamie i przydzieleni do posług przy osobie samego chana, oby Allah zachował go ku chwale wiernych, co dnia oglądali jego promienne oblicze.

---

[1]) i [2]) pokojowcy, wychowańcy wielkiego i małego seraju.

Średnia przyjemność — pomyślał Jur, a głośno rzekł:

— I nie doznali olśnienia, patrząc w nie tak zbliska?

— Słowianie mają może wzrok silniejszy — odparł Selim, nie zauważywszy drwiącego tonu w głosie Jura — dość, że do stopni wysokich doszli i jako bej Białoskórski, Tatarami byli całą duszą. Czasem poturczacy dochodzili do wielkich godności: Hassan-basza, wielkorządca Jemenu i eunuch Dżafer-basza ze Słowian pochodzili, a Chaseka Churem, mądra małżonka sułtana Solimana, była zwykłą rusińską dziewczyną. Może was bej Białoskórski zostawi jako iczolganów na swoim dworze; srogi on czasem jest, ale sprawiedliwy.

— A coby się też stało z mamą? — pytał Stach, z trudem opanowując dławiące go wzruszenie.

— Z waszą matką... zna się na chorobach, to ją bej pewno u swoich niewiast zostawi, bo męskim hekimom leczyć kobiet nie pozwala nasza wiara.

— I nie będziemy razem?

— O tem nie myślcie nawet, rozdzielą was, jeno na Krym przyjdziecie; matka wam już niepotrzebna, u nas w siódmym roku a czasem wcześniej chłopiec wychodzi już zupełnie z pod macierzyńskiej opieki, a wychowaniem jego kierują mężczyźni. Wojownik powinien mieć serce

hartowne, a kobiety litościwe są i przebaczają za wiele.

Czarne oczy Jura spotkały błękitne Stacha i wyczytały w nich tę samą sercem szarpiącą trwogę. Raz pierwszy zjawiło się przed nimi widmo przyszłości i krew ścięło w żyłach.

Selim opowiadał jeszcze chwilę o cudach Bakczyseraju, o rozkoszach jakich wyznawca Mahometa zażywać będzie w raju, ale nagle schwycił go atak kaszlu, oczy mu wyszły na wierzch, pierś próżno szukała oddechu i musiał iść położyć się na swoim wozie. Chłopcy siedzieli chwilę przytuleni do siebie, wreszcie Jur szepnął, ściskając pięści:

— Niedoczekanie ich, żebym miał za jakimś plugawym poganinem półmiski nosić, wolałbym, żeby mnie na miejscu ubili. Psie życie takie.

Wiesz, Jur, a może dlatego się tak cofamy, że wojska koronne nadchodzą, może nas i odbiją.

— Żeby Bóg miłosierny dał.

— Wróciliby my z panią matką do ojczyzny.

— Rymszówkę z gruzów odbudowali.

— Boże! do swoich, do swoich.

A Jurowi już oczy rozbłysły i rozdęły się nozdrza:

— Wiesz, Stachu, żeby tak konia dopaść i wymknąć się z obozu nocą, możebym do polskich chorągwi dopadł. Jezu... Jezu, toćbym się

panu hetmanowi do nóg zwalił i prosił, by wam na ratunek pośpieszał.

— Choryś jeszcze, nie wytrzymałbyś, a przytem oni pilnują dobrze, schwytaliby.

— To i co, raz się jeno umiera, a jakbym dopadł do naszych, o Boże!

— Nie myśl o tem, Juraś, chory jesteś, zleciałbyś z kulbaki ani chybi.

— Prawda, że jak dłużej siedzę, to mi się jeszcze w głowie kręci, i jakiesik koła czerwone latają przed oczyma. O Jezu, Jezu, że też akuratnie mi ten głupi łeb rozwalić musieli.

— Możebym ja... — szepnął Stach i urwał.

— Ty?! także coś, umarłbyś ze strachu, znalazłszy się sam jeden nocą na stepie. Do takich rzeczy, widzisz, trzeba mieć kuraż.

Stach patrzył w rozfalowane trawy, i na jego różowej, dziecięcej jeszcze twarzy pojawił się jakiś zdecydowany, męski wyraz gdy rzucił:

— Możebym i ja miał odwagę, gdyby chodziło o mamę i o naszych.

— Gadaj sobie zdrów — lekceważąco machnął ręką Jur — żebym cię nie znał, tobym może i uwierzył; w lesie dębowym się bałeś, a cóż dopiero na stepie i to nocą. Baje ci się i tyle.

— Może baje a może i nie baje — szepnął i odwrócił głowę, bo mu tak się jakoś robiło dziwnie, rzewnie a żałośnie, w głębi zaś ducha kiełkowała rzucona przez Jura myśl i opanowywała go coraz silniej a silniej.

Jur zaś ręce pod głową splótł i zapatrzył się w głęboki błękit niebios, a potem powieki przymknął i marzył. Boże, żeby nie to, iż chwilami świat się jeszcze przed oczyma kręci, coby to jednak był za pyszny kawał. I Jur widział już siebie, jak się z bijącem sercem z wozu zsuwa, w wysokich trawach na brzuchu pełza aż do miejsca, gdzie koniuchowie rozsiodłane konie pasą, pierwszemu z brzegu rozplątałby nogi, wskoczył na grzbiet, krzyknął jak Tatar i zanim czuwający koniuchowie zrozumieliby, co się stało, byłby już poza obozem. Świsnęłoby może i kul kilka; albo mu to kule straszne? nie brzęczały to w Rymszówce jak osy jadowite? trafiłaby która, to i cóż? już przecież raz był raniony. Jeszcze się ta szpara w rozumie nie wygoiła, i gdy pani matka opatrunek zmienia, to tak piecze, że... no żeby się ryczało z chęcią; przyjemne, to tam nie jest... ale chlubne. I pędziłby tak stepem, nocą, ścigaliby go Tatarzy, ale koń gnałby z wichrem na wyścigi. Hej, żeby to wiedzieć, gdzie się kary beja Białoskórskiego pasie, tego pewno żaden inny nie doścignie. Wreszcie Tatarzy zrozumieliby, że pogoń daremna, a on — w marzeniu zawsze wszystko kończy się pomyślnie — więc i Jur dopadł do polskich chorągwi, widział, jak go otaczają groźne, marsowe a pełne podziwu twarze, prowadzą go do samego wodza.

— Macie mięso i chleb; a matka gdzie?

Jur spojrzał wpółprzytomnemi oczyma na Tatara, podającego im ową pieczeń, z wierzchu zwęgloną a w środku ociekającą krwią, i wzdrygnął się; tak się wczuł w swoje marzenie, iż mu się zdało rzeczywistością.

A Stach, odbierając chleb i mięso, mówił:

— Pani matka poszła do jeńców, zaraz pewno wróci, chcieliście czego od niej?

— Powiedz jej, mały, że mleko dostanie dzisiaj dopiero wieczorem, bo stada już pognano dalej.

Chłopcy byli głodni, więc rozdzielili mięso i chleb pożyczonym od Selima kindżałem na trzy części, największą zostawili matce i zaczęli zajadać. Pierwszy raz, gdy dano im taką pieczeń, w gardle ich dławiła odraza, i krwawe strzępy mięsa utykały w przełyku, lecz teraz już nawykli. Pani Hanna nadeszła, gdy jeść kończyli, oczy miała wilgotne od łez, a w ramionach niosła zawiniątko z brudnej jakiejś chusty.

— Co niesiecie, mamo? — pytał Jur.

— Dlaczegoście płakali? — szepnął Stach, tuląc się do niej, a ona rzekła cicho:

— Bóg wam dał siostrzyczkę... Marysię; matka jej umarła właśnie i powierzyła ją mojej opiece; cicho się sprawujcie, bo usnęła.

— Jeno zajrzymy, jak wygląda.

— Niech śpi... biedactwo.

— Mamusiu, macie tu chleb, mięso jeszcze ciepłe, a Tatar powiedział, że mleko dadzą nam

dzisiaj dopiero wieczorem, bo stada pognali przodem.

— Zjem później, synku. Szkoda, że mleka niema, bo cóż ja dam Marysi.

— Mamusiu, duża ta siostrzyczka? Dajcie, ja potrzymam, a wy jedzcie, już i tak taka blada jesteście i mizerna, aż serce boli... nie bójcie się, ja ją tak ostrożnie będę trzymał.

Uśmiechnęła się pani Hanna i złożyła Marysię na chwilę w Stachowe ramiona, a sama jadła chleb i popijała wodę; do tego krwawego mięsa nie mogła się przyzwyczaić. A Stach siedział sztywny, nieruchomy. Z zawiniątka opadł róg chustki i wyłoniła się złota, kędzierzawa główka dwuletniej może dziewuszki, spała uśmiechnięta, wydymając za każdym oddechem drobne, purpurowe usteczka; usnęła jeszcze w sztywniejących ramionach zmarłej z wysilenia matki i nie zbudziła się, gdy ją pani Hanna do gorącego przytuliła serca, ni gdy ją Stach trzymał z uroczystą a dumną miną. Przyglądał się jej teraz i robiło mu się „głupio" na sercu, taka była drobna i bezsilna.

— Popatrz, Jur, jakie to ona ma rączki, takie małe a różowe... a włoski, jak gdyby od słońca zapożyczyła promieni, cacana jest.

— Ot dziecko sobie — rzucił Jur, bo w głębi duszy zazdrościł Stachowi, że ją trzyma, podobała mu się ta mała, złotowłosa istotka, która miała z nimi dzielić życie; wzruszało go, że oto

takie maleństwo a już na całym Bożym świecie nikogo bliskiego nie ma. Będę jej bronił jak prawdziwy brat — ślubował sobie w duchu — a każdy, coby jej krzywdę chciał wyrządzić, ze mną będzie miał do czynienia. A dziewuszka otwarła właśnie duże, ciemne jak bławaty oczy, ziewnęła, przeciągnęła się jak kotek, spojrzała w obcą dla niej twarz Stacha i zaczęła się trząść od łkań i wyrywać całą siłą:

— Do mamy! Do mamy!

Pani Hanna zaraz pośpieszyła na pomoc synowi, który w pierwszej chwili o mało małej Marysi nie upuścił, a potem trzymał całą siłą rzucającą się dziewuszkę; wzięła ją pani Hanna na ręce i uspokajała:

— Cicho, cicho, Marysiu, o widzisz jaki kwiatek, jaki śliczny... O widzisz... widzisz jaki bieluśki kwiatuszek, spojrzno, córuchno.

— Do mamy! Do mamy! Do ma... my!! — Maluśka twarzyczka purpurową była od natężonego krzyku, z zaciśniętych kurczowo powiek płynęły łzy gradem, a pani Hanna huśtała, tuliła, chłopcy zaś usiłowali klaskaniem w dłonie uspokoić i zaciekawić nową siostrzyczkę.

— Może ona głodna, skoczno, Stachu, do Selima, powiedz, że proszę go o trochę mleka. Marysiu, nie płacz, jak będzie córuchna grzeczna, dostanie mleka, pysznego słodkiego mleka.

— Malysia... do ma-my! do ma-my!

— Oj sierotko ty moja biedniutka, mama poszła daleko, daleko, ale jak Marysia będzie grzeczna, przyjdzie po nią kiedyś.

A do wozu zbliżył się właśnie Selim, przyniósł mleko w kubku, przyglądał się chwilę płaczącemu dziecku, a potem odpasał z bioder pas skórzany, srebrnemi monetami oszyty, i zaczął nim potrząsać a gwizdać przytem jak kos. Dziewuszka urwała nagle wpół zaczęty krzyk, rozwarła powieki, ciemne jej oczy odbiły zaciekawienie, później pożądanie, spoglądała chwilę na błyszczące w słońcu monety, brzęczące coraz żywiej, coraz dźwięczniej w smagłej ręce Tatara, i na jej mokrej od łez, czerwonej od krzyku buzi ukazał się uśmiech; wychyliła się z ramion pani Hanny, wyciągnęła różowe, jak wałeczki okrągłe rączęta i zapiszczała radośnie a nakazująco:

— Daj... daj Malysi... daj...

Selim się zaśmiał, dał jej schwycić za pasek, ciągnęła go ku sobie z wysileniem, a on mówił:

— Ot, mała kobietka, minkę zrobi i wyprosi co chce; ale naco wy sobie znowu wzięli taki nowy kłopot?

— Matka ją odumarła, sierotka, musiał ktoś przytulić, bo to samo o sobie myśleć nie może.

— Kłopot będziecie mieli, a może i pociechę. Allah jeden wie, co człowiekowi radość przyniesie a co utrapienie, wszystko kismet. Mleka wam przyniosłem.

— Bóg wam odpłaci, głodne to musi być biedactwo, bo jak przyszłam, to jej biedna matka nawpół już tylko przytomna była, nawet nazwiska rzec mi nie zdołała, jeno prosiła: Marysię weźcie... Marysię... to i wzięłam. Takie to było wątłe a śliczne kobieciątko, że nawet śmierć urody jej nie odebrała; takież miała włosy złote i oczy bławatowe jako i Marysia.

Pani Hanna przytknęła blaszany kubek do ust dziecięcia, drobne łapięta garnęły go chciwie, a Marysia piła i piła, aż białe mleko ciekło po jej różowej z wysilenia, delikatnej jak płatek kwiatu buzi.

— Żerna jest, to się i wychowa bez kłopotu — zawyrokował Selim.

— Ot i nie wie nawet biedactwo, że sierotą zostało — szepnęła pani Hanna, a dwie łzy wezbrały jej w oczach i spłynęły po bladej, niedolą ostatnich dni postarzałej twarzy. Myślała sobie, że na zapomnienie sieroctwa u takiej maleńkiej istotki chwila wystarczy, a u dzieci starszych, jak Stach i Jur, miesięcy kilka zatrze także, jeżeli nie zupełnie, to chociaż częściowo wspomnienie ojczyzny... ojca... byle wiary nie zatarło.

XIV.

Ucieczka Słacha.

Gasło słońce, gdy horda beja Białoskórskiego połączyła się z obozem Dziawletgereja; dostojny teść sam wyjechał na powitanie zięcia. Lśnił pod nim koń bogatym, złotym rzędem, kamieniami drogiemi sadzonym, mienił się na jego barkach kaftan cudnemi haftami, raził oczy błysk brylantów w pierścieniach i w bezcennej głowicy krzywego sztyletu, tylko twarz pod białym, jedwabnym zawojem zdawała się więcej jeszcze martwa, obrzękła i żółta. Uśmiech zadowolenia miał gałga na ustach, gdy Białoskórskiego witał. Bej wyglądał przy nim jak obraz energji i siły; jego ciemna twarz zeszczuplała wprawdzie, błękitne oczy straciły swój obojętny błysk, był w nich teraz ciepły ton smutku duszy, która przez mękę wspomnień, przez piekło walk przeszła, ale cała postać giętka a sprężysta miała w sobie coś rycerskiego i pięknego razem. Podziw Tatarów należał jednak wyłącznie Dziawletgerejowi, zachwycali się nim od końca haftowanych srebrem pantofli do kity czaplej, przypiętej do turbanu,

był to dla nich syn słońca, uosobienie ziemskiej władzy i doskonałości; z poza świetnego, błyszczącego stroju żaden z wiernych nie dostrzegał jego twarzy żółtej, owisłej wargi dolnej, oczu znużonych. Nie było w tem zresztą nic dziwnego, bo chyląc głowy w pokłonach, wyznawcy islamu widzieli zawsze lepiej konia, niżeli siedzącego na nim władcę, i dlatego oblicze jego zostawało dla nich zawsze promiennem... legendarnie. A koń był zaiste prawdziwą perłą dalekiego Arabistanu; jego smukłe nogi szły lekkim, tanecznym krokiem po trawach stepowych, na szerokiej, pysznie zbudowanej piersi grały barwami tęczy brylanty i rubiny, oprawne w rząd złoty, a śnieżno biała grzywa, złocistemi przedzierzgnięta taśmami, i falujący pysznie ogon majestatycznie wlokły się po ziemi.

Uściskiem dłoni przywitał Dziawletgerej zięcia, i jechali przed wojskiem do obozu; za nimi kłębiły się barwne stroje murzów i bejów i smukłych, chłopięcych iczolganów, załamywało się słońce w drogich kamieniach, w koszulkach drucianych, łyskających jak łuska rybia z pod rozpiętych kaftanów, w lamach pozłocistych, a ciemny tłum Tatarów czuł w duszy bezmiar szczęścia, że mógł spojrzeć na swoje ziemskie bóstwo i jego orszak.

Bej Białoskórski miał na śniadej twarzy uśmiech zadowolenia, od tej chwili bowiem odpowiedzialność za powodzenie wyprawy spoczy-

wała znowu na barkach Dziawletgereja, on spełnił swoje.

Chłopcy patrzyli zdaleka, stojąc na wozie, na powitanie tatarskich dostojników. Jur zachwycał się arabem gałgi, chłonął oczyma każdy jego ruch, połysk jedwabistej sierści, dumne wzniesienie głowy, i zdawało mu się, iż olbrzymiem szczęściem być musi posiadanie takiego konia. Stach zaś patrzył na owo czarne mrowie wojowników, chylące się w pokłonach ku ziemi, i myślał z dreszczem lęku, czy to możliwe, by i oni kiedyś stali w takim szeregu, zmiatającym proch z pod stóp obcego władcy.

Hej, gdyby tak konia dopaść... Boże! wolności! wolności!

Przypomniało mu się opowiadanie ojca, jako raz wysłał go pan hetman-Zamojski z listami ważnemi do króla jegomości. Zygmunt III młodemu rycerzowi rękę dał do ucałowania, a sam go za głowę uścisnął i wypytywał dobrotliwie, jak dawno w petychorskiej chorągwi służy, jakim klejnotem się pieczętuje, w których wyprawach brał udział, i dnia owego na wieczerzy w zamku był pan Rymsza, a tu agowie chylili głowy niemal do kopyt końskich, a bejowie i murzowie trzymali się w pełnem uszanowania oddaleniu.

— Matusiu — zwrócił się Stach do matki — pamiętacie, jako pan ojciec opowiadał o królu

Zygmuncie, jak go przyjął dobrotliwie, gdy z listami od pana hetmana przyjechał?

— Widzisz, Stachu, Polacy są wolnym narodem, wola poddanych obiera panującego, i dlatego jest u nas naród wielką rodziną króla, a król ojcem narodu, a tu... każdy z tych od złotogłowi lśniących muzułmanów chyli głowę do ziemi niemal przed bratem chana, a pospolity żołnierz pełza u stóp pańskich, bo żaden z tych pozornie dostojnych, ni z tych biedaków nie wie, czy jutro kaprys pański nie pozbawi go głowy. Inaczej to niżeli u nas, gdzie o życie szlachcica upominałby się u króla cały naród. Biedacy to są, chociaż od złota lśnią, wieczności, ni łaski pańskiej niepewni.

Takimi biedakami będziemy może kiedyś i my — myślał Stach.

A słońce zawisło nad stepem jak olbrzymia, bezpromienna kula, ręką Tytana rzucona w przestwór, brzęczały komary, mała Marysia gaworzyła całe popołudnie a teraz usnęła. Chłopcy patrzyli z podziwem, jak Tatarzy wiedli do wody jedno- i dwugarbne wielbłądy, nie widzieli nigdy takich zwierząt dziwnych, zachwycali się majestatem ich ruchów, podziwiali wilgotne, wymowne oczy, bawiło ich gdy przyklękały, by spocząć w trawach, i jedząc poruszały komicznie dolną szczęką, jak gdyby im za każdym razem wyskakiwała z zawiasów. Konie spętane gnano także do wody, były przeważnie małe i krępe, z wełnistą, krótką grzywą i grubemi pęcinami;

Stach patrzył uważnie, w którą stronę je pędzono, i różne sprzeczne myśli dręczyły jego dziecięcą duszę.

A wokoło rozsnuł się mrok zapadającego wieczoru i zaczął spijać spragnionemi usty daleką linję horyzontu, sylwetki ludzi, koni, namiotów.

Selim przyniósł nowinę, iż o świtaniu dopiero ruszą dalej, bo konie bardzo zdrożone, więc odmówiwszy wieczorne modlitwy, ułożyli się wszyscy na wozie do snu. Stach zasnąć nie mógł, rozmyślał o swojej rozmowie z Jurem i z Selimem, o bliskości wojsk polskich, o ratunku, poglądał na zmęczoną twarz matki, bolesną nawet we śnie, i wstawała w nim z miłości ku niej dziwna siła i moc.

Od ognisk dochodziły go niewyraźne dźwięki tatarskiej mowy, rozumiał trochę. Przez chwilę dobiegało tęskne, modlitewne nawoływanie, a potem cisza stawała się coraz głębsza, drżał w niej szept stepu, szelest traw, szmer wód i te wszystkie dziwne, tajemnicze, do określenia trudne odgłosy nocy w polu. Od ogniska, którego słaby rozbłysk na wozy padał, dobiegały chwilami zupełnie wyraźnie głosy czuwających Tatarów; Stach z trudem składał dźwięki obcych słów i rozumiał część z tego, o czem rozmawiali; najpierw targowali się i kłócili zawzięcie o łupy wojenne i ich podział, rozchodziło się o kielich złoty, w kościele zrabowany, do którego dwóch Tatarów rościło pretensje.

— Nie kłóćcie się — ktoś rzucił — bierzcie co jest, a podzielicie się później, kto wie, komu to jeszcze przypadnie w udziale.

— Przednie czaty wróciły wieczorem i przyniosły wieść, że większe siły polskie rozłożyły się na nocleg o pół dnia drogi, zdaje się, że ścigały czambuł, który wczoraj z Ukrainy nadciągnął, a za bejem Białoskórskim szły wojska koronne, dlatego nas tak gnał niemiłosiernie.

— Dlaczego więc nie ruszamy dalej?

— Konie zdrożone i u naszego beja i u baszy, co z Ukrainy nadciągnął, musimy spocząć.

— A jeżeli oni uderzą?

— Może nie uderzą; rozłożyli się na noc, i oni muszą mieć konie pomęczone, a jutro o świtaniu ruszymy różnemi drogami, i szukaj wiatru w polu.

A w Stachu serce zamarło. Boże! Boże... o pół dnia drogi stoją chorągwie koronne, gdyby się z wozu zsunął, do koni dopadł, nad ranem mógłby powrócić z odsieczą. A tak... jutro może Tatarzy dalej ruszą i pola do rozprawy nie dadzą, i tylu ludzi pójdzie w niedolę, w mękę a może w potępienie?

Co robić? co robić? Matkę zbudzić, wszystko jej rzec, o radę prosić, możeby nie pozwoliła, a gdyby pozwoliła, ileżby do świtania przeszła trwogi. Śpi tak spokojnie, lepiej jej nie budzić, całą odpowiedzialność czynu wziąć na siebie.

Spojrzał wdal, step wydał mu się bezmiernie ciemnym i strasznym. Boże... Boże, co robić?

Jur nie wahałby się — przemknęło mu w myśli.

Pewno, że nie.

A ty byłeś tchórzem i tchórzem zostaniesz.

Dusiły go w gardle łzy, kurczowo zacisnął drobne dłonie, a myśli szalały:

A jeżeli nawet zginąć ci przyjdzie, to i cóż? i tak cię od matki oderwą, a kto wie, czy się ich namowom i groźbom oprzeć potrafisz, czy w wierze wytrwasz.

Żyjcie w Chrystusie i umierajcie w Chrystusie — dźwięczał mu w pamięci głos ojca, widział jego ciemną, pochyloną twarz i oczy zmętniałe wzruszeniem; zdało mu się, iż czuje jeszcze ciepło jego silnych ramion.

Boże, ojciec mówił, że życie na ziemi trwa chwilę a życie ducha wiecznie — i wraz myślał dalej — nie boj się, Stachu, jeżeli cię przychwycą, to ci jeno śmierć zadać mogą, a tam w wieczności ojciec czeka i Bóg miłosierny.

A gdyby się udało, gdyby chorągwie koronne odbiły łup Tatarom, uratowałbyś matkę, Jura, malutką Marysię i tych wszystkich jeńców nieszczęsnych, ojczyźnie tyle dzieci, Chrystusowi tyle dusz. I jakoż ci się tu wahać jeszcze?

A biedna chłopięca dusza, lękliwa z natury, zwalczała z wysiłkiem samolubne pragnienie ży-

cia, lęk śmierci i męki, a głównie trwogę przed ciemnością nocy i pustką stepu.

Pomodlę się, może mi Pan Jezus spuści myśl dobrą. Zaczął się modlić, rozmyślać o tem, że Chrystus Pan poświęcił się za wszystkich ludzi, i wzbierało mu w duszy wzruszenie wielkie i jakaś nieprzeczuwana moc poświęcenia, siły, odwagi.

Pójdę — zadecydował — raz jeszcze na matkę spojrzał. Spała cicho, obejmując ramieniem Marysię; w rozbłysku padającym od dalekiego ogniska widział jej twarz znękaną, przejrzyście bladą; jakże jej ciężko będzie, gdy nas utraci, jakżeby jej było strasznie, gdyby zobaczyła nas kiedyś wyznawcami innej wiary.

Niema innej rady, jeno pójdę, może Bóg da, że ich wyratuję. Konie się pasą spętane, trzeba mieć nóż, by więzy przeciąć — przemknęło mu w myśli, podniósł głowę i spojrzał uważnie; na wozie u Selima jest kindżał, a Selim śpi.

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen.

To i pójdę już — przytulił do ust matczyną spódnicę, przylgnął do jej włosów jasnych, ruszyła się przez sen i szepnęła:

— Chcecie czego?

Stach z wozu się zsunął, serce mu biło, czuł jego uderzenia aż gdzieś w gardle, podpełznął na czworakach do wozu Selima; młody Tatar spał i Stach z łatwością odnalazł kindżał, którego tyle razy pożyczał do krajania mięsa.

Zaczął pełzać, prześlizgując się wśród leżących pokotem Tatarów i zamierał w lęku, gdy się który przez sen poruszył, bo myślał, że się zbudzi i przychwyci go.

Cisza była, jeno chrapanie wojowników jak zgrzyt pił świszczało w przestrzeni. Stach zęby zacisnął, w duszy litanję do Matki Bożej odmawiał i posuwał się coraz dalej a dalej. Najsilniej serce mu biło, gdy musiał przepełznąć przez pas oświetlony słabo światłami dwóch ognisk; każdy ruch czuwających Tatarów wydawał mu się wyrokiem śmierci. Przedostawszy się w ciemń stepu i chłód trawy, legł chwilę nieruchomo, bo mu tchu brakowało, a każdy nerw dygotał wzruszeniem.

Jeszcze jeno do koni, do koni; a potem, to już nic.

Ale nagle ogarnął go znowu okrutny, dziecinny lęk, coś w nim wołało: wróć się, wróć, coś łkało dziko, bezradnie.

Boże! Boże... jaki też ze mnie tchórz.

Otarł pot z czoła, zebrał siły i wlókł się znowu, pełzał pod wozami, przesuwał wśród śpiących i zdawało mu się chwilami, że od czasu, gdy od swoich odszedł, musiały upłynąć wieki.

Wreszcie otoczył go pas wysokich traw. Ciemno tu było, żaden odgłos nie dolatywał prócz szeptu rozkołysanych od wichru burzanów. Podniósł się, rozprostował zmartwiałe członki, szedł wśród traw, dopóki słaby błysk

dalekiego ogniska nie przedarł się ku niemu krwawą purpurą; przylgnął znowu do ziemi, ostrożnie trawy rozsunął, patrzył. Konie spętane pasły się na łące, a wkrąg pastwiska płonęło pięć dalekich gwiazd, pięć ognisk; przy najbliższem rozróżniał ciemne postacie koniuchów, piekących mięso u ogniska, i jeszcze jeden cień kudłaty, przysadzisty, psa.

Psy... jeżeli mnie wytropią... nie pomyślałem, że mogą i one pilnować stad.

I mamusi nie dopomogę i sam zginę.

Łkał w nim każdy nerw, każde uderzenie serca. Zauważył, że chcąc dostać się do koni, musi obejść kawałek stepem, by nie znaleźć się w pasie światła, padającym od ogniska, a nie miał już sił, członki mu ciążyły, wstrząsały nim dreszcze, bał się każdego z własnych poruszeń, wzdrygał przed każdym szelestem.

Boże! jakże ja się strasznie boję. Więc wrócić...

Ale gdy pomyślał, że będzie musiał odbyć tę samą drogę wśród namiotów, czat, śpiących ludzi raz jeszcze i nic nie zdziałać i przejść przez takie piekło lęku napróżno, to łzy rozpaczy go dławiły.

Odpoczął chwilę, leżąc w trawach nieruchomo, postanowił już nie myśleć, jeno się modlić.

Uspokoił go trochę chłód nocy, spoczynek, bliskość czuwających ludzi. Żeby jeno konia niepostrzeżenie dopaść, reszta wydawała mu się niczem w porównaniu z tem, co już przebył. Zaczął

więc pełzać w kierunku stada, wybierając punkt najbardziej od ogniska oddalony; lęk go opuścił, cała jego uwaga była skupiona na najbliższym koniu i sznurach, któremi spętano mu przednie nogi, jednym skokiem przy nim się znalazł i gdy kurczowym zaciskiem jednej dłoni u grzywy mu się uwiesił, drugą ręką uzbrojoną kindżałem Selima przeciął sznur... Dziki koń stepowy parsknął, rzucił się w bok, nie zdołał jednak strząsnąć uczepionego u grzywy chłopca, a Stach stopami od ziemi się odbił, na grzbiet wskoczył i bijąc konia piętami, nie popuszczał grzywy.

W tej chwili rozległo się piekielne ujadanie psów, gnały od ognisk, napełniając przestwór swemi ochrypłemi głosami. Koń gnał... podniecało go do biegu więcej od słabych uderzeń Stacha wściekłe naszczekiwanie psów; od ognisk porwali się koniuchowie.

Stach nie mógł kierować koniem, rozhukany tabunowiec niósł go wprost ku ogniskom.

Jezu, Jezu... żeby tylko koło ognisk przelecieć szczęśliwie, dalej już step.

Leżał zupełnie na karku końskim, w głowie mu szumiało, kurczowo palce wpił w grzywę, a szeroko rozwarte jego oczy patrzyły z bezmiarem przerażenia na coraz rosnącą łunę ogniska i psie zziajane, groźne, rozwarte paszczęki.

Jeżeli spadnę, rozszarpią mnie w kawały.

Jeszcze chwila... mignął blask płomienia, czarne, rozkrzyczane postacie koniuchów... jesz-

cze chwila... i spłoszony, rozszalały koń zatonie w stepie...

Huknął strzał jeden... drugi...

Rozległ się świst rzucanych sznurów i nagle koń wstrzymał się w biegu, szarpnął, runął, i w tej chwili ostatnim błyskiem świadomości pomyślał Stach:

— Biedna mama... nie uratuję jej...

XV.

A od stepów szła pomoc, ratunek, wolność.

Gdy się Stach obudził z omdlenia, jego szeroko rozwarte, wpółprzytomne oczy spoczęły na groźnej twarzy Alego-agi i na dzikich obliczach pochylonych nad nim koniuchów; jakiś płyn palił go w gardle i zmuszał do kaszlu, a wtedy tak bolało w płucach z lewej strony i piekło ciało poszarpane kłami rozżartych psów.

Co to ze mną było?.. gdzie ja jestem?

Aha... wojska koronne... mama... noc... step... konia schwytali na arkan, a mnie zdaje się postrzelili... aha... tak... a co teraz?

Biedna mama i Jur, nie zobaczymy się już tutaj pewno... jeno... tam... biedna mama.

On sam taki był zmęczony, senny, zbity, obolały, z takim trudem rozwierał powieki i tak nie miał już w duszy ani odrobiny lęku, może dlatego, że wszystko wydawało mu się dziwnie dalekie i obojętne, a tylko na myśl o matce i bracie zachodziły mu oczy łzami.

Obce, szorstkie dźwięki tatarskiej mowy przelewały się nad nim jak echa dalekiej zawie-

ruchy, nie rozumiał nic, nie pragnął zrozumieć. Przed oczyma zaczynały mu się snuć jakieś koła barwne, rozwirowane, pełne błysków i lśnień, a nagle wyłoniła się z nich twarz ojca. Tak mu dobrze... dziwnie dobrze.

Zdaje mu się, że jest znowu w Rymszówce, siedzi w stołowej wraz z Jurem i pisze zadanie... gęsie pióra skrzypią po papierze, zegar tykota, a pan ojciec chodzi wkrąg stołu i dyktuje łacińskie przysłowia. Stach słyszy wyraźnie jego dźwięczny, męski głos. A teraz pan ojciec przystanął, bierze w rękę kartelusz Stacha i uśmiecha się pod wąsem:

— No, Stachu... popatrzno jak ta pisanina wygląda, nikiej żydy rozkiwane na modlitwie. Litery powinny stać równiuśko, jedna obok drugiej jak żołnierze w szeregu, a u ciebie tu się stłoczyły jak szlachta na sejmiku, tam zaś rozbiegły jak spłoszone kury. Odpis musisz na jutro staranny zrobić, bo inaczej kwita z przyjaźni.

A Stach wstydzi się, i oczy mu napływają łzami, a równocześnie chce mu się śmiać, bo pan ojciec tak to jakoś zabawnie mówi, marsa ma na czole a uśmiech w spojrzeniu. A oto bierze go w ramiona i tuli... tuli... aż Stach tchu złapać nie może... a tak mu dobrze... Boże... zdawało mu sie, że Rymszówka spłonęła, ojciec umarł, a oto wszystko jest znowu jak i bywało, pan ojciec jest przy nim, a za oknem szumią jabłonie, kraszą się

jabłka, na podwórzu zaś szczeka Bryś poczciwy.

Stach oprzytomniał znowu, ale zdało mu się, że teraz to już naprawdę śni; w błękitnym rozbłysku lampy widział wnętrze namiotu, połyskujące od jedwabi, haftów i skór, przepełnione ciężką wonią róż i tytuniowego dymu. Błysk pochodni, którą ktoś trzymał tuż przy jego twarzy, raził mu obolałe, senne powieki.

— Mamusiu... dlaczego oni nie dają mi spać — skarżył się szeptem — wiecie mamusiu... Rymszówka nie spłonęła i pan ojciec żyje... wszystko tam jest, jak było... naprawdę.

Ale w tej chwili oprzytomniał zupełnie, dojrzał ponurą twarz beja Białoskórskiego i jego błękitne, surowe a dziwnie smutne oczy; gotów pomyśleć, że się go boję... przemknęło mu w myśli, zebrał więc całą wolę, podniósł się z dywanu, na którym leżał i rzekł z akcentem dumy:

— Chciałem sprowadzić chorągwie koronne... waszemu Mahometowi służyć nie chcę... jeno Jedynemu, miłościwemu Bogu...

Ale zakręciło mu się w głowie, zabolało w płucach, zawirowały przed oczyma ściany namiotu, twarze ludzi, i upadł zpowrotem, ręką za piersi się schwycił i poczuł coś lepkiego i ciepłego... krew.

Słyszał jeszcze, że go ktoś o coś pytał, ale nie rozumiał, bo tak się znowu rozszumiały jabło-

nic w Rymszówce, a on był taki senny... taki senny...

I oto wie, że i z Rymszówki znowu odejść musi, widzi drogę daleką, i lęk go chwyta, iż ma iść po niej sam, ale oto znowu ojciec jest przy nim, silna jego ręka ujmuje jego dłoń, a cichy, dobry, znany głos mówi: pomódl się, Stachu, a nie będziesz się bał... zobaczysz... to chwila jeno. Więc szepce drżącemi wargami:

— „Ojcze nasz... który jesteś w niebie"... jak to dalej?.. Boże... „módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci... naszej" ach... to przecież nie tak... „Ojcze nasz".. Ojcze!.. Oj... cze...

Chłopięce usta drgnęły raz jeszcze i jasna głowa opadła nieruchomo na barwne tło wschodniego dywanu. Ali-aga pochylił się nad nim i rzekł ze złością:

— Effendi... umarł.

Biedne dziecko... biedny bohater... Bej patrzył chwilę na blade, w szczęsnym uśmiechu rozchylone usteczka, na szeroko rozwarte błękitne oczy, w których zastygł wyraz podziwu, i pomyślał:

— Ten niewierny wygląda jednak tak, jak gdyby piękno raju dojrzał w ostatniej chwili. Może ich Jezus a nasz Jedyny, Światowładny Allah to jedno pojęcie Boga. Ale zaraz pomyślał o widzeniach Mahometa, o tem, że chrześcijan zwał giaurami i zawstydził się swojej poprzedniej myśli a głośno rzekł:

— Ciało oddajcie matce.

— Effendi — zaoponował Ali-aga, a jego ciemna twarz skurczyła się jak u złego psa — pozwól nam głowę tego niewiernego zatknąć na palu, by innych jeńców odstraszyła od ucieczki. Taki przykład działa.

Bej się zamyślił, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo do namiotu wpadł zdyszany Tatar i bijąc czołem u jego stóp, mówił głosem ochrypłym od zmęczenia:

— Effendi! polskie chorągwie rozwinęły się na stepie, widocznie gotują się do ataku.

— Daleko są?

— O dwie godziny drogi, teraz pewno bliżej.

— Siła ich jest?

— Kilka tysięcy ludzi, tak mi się zdało...

— Skąd nadchodzą?

— Od południa i zachodu.

— Ali-ago, konia!

Bej pochwycił pistolety, szablę zakrzywioną do boku przypasał i wypadł, by zarządzić obronę; z za wozów, które otaczały obóz, pragnął stawić opór chorągwiom polskim, a równocześnie wycofać część jazdy, rozciągnąć ją w sierpowy rzut i zaatakować od stepów. Był wszędzie, kary koń niósł go z jednego punktu obozu w drugi; teraz nie istniało dla niego nic prócz walki z niewiernymi, prócz pragnienia mordu i krwi.

A Ali-aga z uśmiechem dzikiego zadowolenia odciętą głowę Stasia wbił na świeżo zaciosany,

pal; zagórowała nad obozem i w krwawym rozbłysku ognisk, w bladych tonach pierwszego świtu zdawała się poglądać ze swego wzniesienia szeroko rozwartemi, szczęsnemi oczyma ku chorągwiom polskim.

Tam od stepów szła pomoc... ratunek... wolność!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dźwięki trąbek, nawoływania, wrzawa i ruch zbudziły panią Hannę; zrozumiała zaraz, iż dzieje się coś niezwykłego, i radosnym dreszczem wstrząsnęła nią myśl... wojska koronne... wolność.

Spojrzała na dzieci, Jur się zbudził, mała Marysia rozespana piąstkami przecierała powieki, ale macierzyńskie, pełne lęku oczy pani Hanny napróżno szukały złotej głowy Stacha.

— Stasiu... Stachu... Jezus Marja! gdzież Stach?

Rozpaczą drgający jej głos tonął w krzyku hordy, w huku wystrzałów. Przypadła do Selima pytając, czy Stacha nie widział, ale ranny Tatar ramionami wzruszył; zły był, szukał kindżału i daremnie przewracał za nim słomę w wozie.

A pani Hanna rozpacz miała w duszy i jakiś śmiertelny lęk. Próżno mówiła sobie, że może Stach zbudził się wcześniej i poszedł zapytać o przyczynę zamieszania, iż może za chwilę dojrzy jego chłopięcą, smukłą postać, przeciskającą

się wśród zbrojnego tłumu. Była w niej jakaś podświadoma a straszna pewność, że go już nie zobaczy żywym.

— Matuś! pewno nasze chorągwie... Boże miłosierny... chorągwie koronne ani chybi! — wołał Jur, stanąwszy na koźle i z tego podwyższenia patrząc wdal; brzęczały wokół kule, nie bał się ich, czarne jego oczy płonęły, rozwarte nozdrza wciągały chciwie powietrze, przesycone wonią prochu i świeżej krwi.

— Ale gdzie Stach... Juraś! gdzie Stach?

— Niema go?

— Niema, pytałam, odpowiadać mi nie chcą. Boże mój! Boże, co z nim?!

Czyżby? Jur drgnął.. wydało mu się to w pierwszej chwili prawie niemożliwem, a jednak... kto wie. Stach, lękliwy Stach miałżeby wykonać, to o czem on wczoraj śnił? Boże święty! ale ot niema go, a Selim klnie i szuka kindżału; nic, jeno go Stach wziął, by koniowi rozciąć postronki.

— Mamusiu! — za ramię panią Hannę pochwycił i mówił krztusząc się własnemi słowami w pośpiechu: — Mamusiu, a może to Stach właśnie chorągwie nasze sprowadził — powtórzył matce ich wczorajszą rozmowę i kończył: — Mamusiu, on pewno poszedł i uczynił to, czego ja dokonać nie mogłem; nie martwcie się... wolność nam przyniesie. O Mamusiu... nigdy nie myślałem, że nasz Stach zdobędzie się na taką odwagę;

pewno z wieczora z wozu się zsunął, do koni dopadł. Chryste Panie! jak się zejdziemy znowu, toż go za kark obłapię, a wycałuję jak nigdy. Wicie, giez jadowity... jaka to fantazja w nim siedziała rycerska; zdało mi się zawsze, żem dzielniejszy od niego, a on nic nie rzekł a uczynił.

Mogłożby to być? — szumiało w głowie pani Hanny — jej lękliwy, nieśmiały Stach. Boże, ez jakież piekło trwogi przejść musiało to dziecko, zanim zdołało uskutecznić swój zamiar.

Ale dziwne, myśl o tem chociaż stosunkowo najprawdopodobniejsza nie mogła jej jakoś uspokoić, serce jej kurczyło się w tępym bólu. A wokół świat zmieniał się w piekło, huczały wystrzały, jęczeli ranni, dygotała ziemia, a na błękitniejącym horyzoncie drżał blady róż pierwszego świtu.

Pani Hanna, przytuliwszy do piersi rozkrzyczaną Marysię, modliła się zbladłemi wargami o zwycięstwo dla polskiego oręża, a Jur stał na wozie, rozbłysłemi oczyma chłonąc kłębiące się wdali postacie, błysk stalowych misiurek, mieczy, koncerzy, światła wystrzałów, i nagle z jego chłopięcej piersi wydarł się radosny okrzyk:

— Jezus Marja... Tatarzy ustępują, nasi walą za nimi... Mamo! Mamo... będziemy wolni, wrócimy do Rymszówki! O Jezu!

— Juraś, zleź z wozu, połóż się na słomie, bezpieczniej... mój drogi, zleź z kozła.

— Nie mogę... gdzież jabym tak w słomie wylczał... o Matusiu, coraz lepiej widać, a cudnie jest! Słońce tysiące iskier pali w obnażonych mieczach, aż oczy bolą od blasku. O, teraz sczepił się rycerz polski z Tatarem. Który też zwycięży...: który?..

Obok wozu przeleciała jedna, druga kupa jezdnych w szalonym galopie, a Jur podskakiwał na koźle ze szczęścia:

— Ustępują! ustępują... na miły Bóg... ustępują. Oj, jak rycerz Tatara rozciągnął, spadł z kulbaki jak ulęgałka, a koń pędzi. Oj, gdybym to i ja broni jakiej dorwał...

— Jur, połóż się na wozie, w słomie, proszę cię na wszystko; cofają się... porwać cię mogą.

— E gdzieby zaś...

Chłopak nie mógł oczu oderwać od walki, toczącej się coraz bliżej a bliżej.

Wtem zamajaczyła obok wozu nowa grupa cwałujących Tatarów, przodem gnał Ali-aga, brocząc z rozciętego łba, dojrzał Jura, z kulbaki się wychylił, nie wstrzymując konia ani na mgnienie, chłopca za kark ucapił i rzucającego się, gryzącego uprowadził z sobą. W duszę pani Hanny wpadł jeno krzyk rozpaczny, dziki, ochrypły:

— Mamo!

I drugiego jej syna zasłoniła chmura kurzawy, wzbijająca się z pod kopyt końskich. Omdlała, i to ją może uratowało. Nie słyszała, jak wkoło rozszalała się bitwa, jak w pyle i kurzu ludzie

walczyli o każdą piędź ziemi. Tatarzy, nie mogąc zabrać jeńców, mordowali po drodze kogo mogli dopaść; stepowe trawy poczerwieniały żywą krwią ludzką, a nad tem wszystkiem wschodziło słońce, jak gdyby od grozy wybladłe.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— Jejmość pani, jesteście między swoimi, wolna... Bóg spuścił wiktorję polskiemu orężowi, rozgromiliśmy Tatarów.

Między swoimi... wolna...

Pani Hanna podniosła głowę; wokół wozu cisnęli się ludzie z Rymszówki, po Tatarach zostały jeno namioty barwne i ranni, których opatrywano; powietrze drżało okrzykami radości, tłum odbitych ściskał rycerzy, padał do nóg hetmanowi, śmiał się, szlochał i łkał. Odnajdywały się rodziny, wiedzione przez czambuły różne, cieszono się sobie wzajemnie, a potem płakano tych, którzy zginęli. Rycerze oglądali obóz, żołnierze znosili łupy na jedno miejsce, śmiech dźwięczał, a tam kopano groby, ówdzie znowu składano rannych, opatrywał ich cyrulik pana hetmana z pomocą kilku zdatnych do tego dworzan.

Szeroko rozwarte jej oczy przechodziły od twarzy do twarzy, współczujące były wszystkie i litosne. Wolna... nie mogła znaczenia tego słowa ogarnąć myślą; właściwie radowaćby się powinna, a ma w duszy jeno głuchy ból.

Jur... Stach...

Prawda Stach... zaczęła więc pytać młodego rycerza, który jej o wolności oznajmił, zali czego o młodszym jej synu nie wie.

A wtedy stojący wokół niej ludzie z Rymszówki załkali głucho, a Fyłypycha, kładąc swoją ciemną rękę na jej dłoniach, mówiła dusząc się od łez:

— Jejmość... ta Stasinka naszego... Stasinka naszego...

— Zamordowali Tatarzy? — zapytała pani Hanna bezdźwięcznie.

— Ta zamordowali, ciało my jego w namiocie odszukali, bo głowa była zatknięta przed namiotem na palu i przynieśli my go wam, detynę waszą biedneńką.

Porwała się pani Hanna:

— Gdzie on? mój synek, mój Staś, mój... bohater...

Rozstąpili się ludzie; na purpurowej zasłonie, zdartej w namiocie beja, leżał Staś, rączki miał złożone na piersi krwawej, ale na bledziuchnej twarzyczce nie dojrzały oczy matki bólu, ni męki ostatniej godziny, tylko jakiś wprost szarpiący sercem wyraz szczęścia i spokoju. Przywarły gorące usta pani Hanny do zimnych, rozchylonych warg syna w ostatnim pocałunku, i zdało się jej, że śmierć z nich spłynęła w jej duszę, tak w niej wszystko życie zamarło.

I była jak martwa, gdy to jej dziecko drogie, złotowłose złożono w trumienkę zbitą naprędce

i umieszczono na wozie; prześlizgiwały się po jej bolu bez wrażenia życzliwe słowa samego hetmana, współczujące rycerstwa, jedna w niej tylko była myśl, tęsknota, pragnienie... do Rymszówki wrócić, syna złożyć obok ojca.

Odetchnęła gdy wóz nareszcie ruszył w szeregu innych; przed nią wychylała się biała trumienka Stacha, zarzucona polnemi kwiatami, nakryta wschodnim wzorzystym kobiercem.

Nagle drgnęła; drobne, ciepłe, dziecięce rączki oplotły jej szyję, a szepleniący głosik dzwonił:

— Malysia taka głodna... a ty, ciociu, nie słuchasz, jak płosi... Malysia taka głodna... głodna... aż jej w brzuszku robi wyr... wyr...

Prawda, zostało jej jeszcze to pisklę biedne, bezradne, samotne jak ona... została jej jeszcze Marysia.

Przygarnęła do piersi złotą, kędzierzawą główkę dziewuszki, i z oczu jej puściły się łzy niewstrzymanym potokiem...

— Sława Bohu, płacze — odetchnęła Fyłypycha, jadąca obok pani Hanny na wozie, i fartuchem osuszyła załzawione powieki. — Sława Bohu, że łzami rozpacz spływa, a zostaje jego ból.

I rzeczywiście zmartwychpowstała w pani Hannie dawna energja i siła, nakarmiła dziewczynkę i kołysząc ją do snu w ramionach, wypytywała Fyłypychę o losy Rymszowieckiej gromadki; jednych brakowało, inni umarli, większość

żyła i odzyskawszy wolność, skupiła się koło jejmości.

— By do dawnego sioła wrócić i gospodarować znowu razem na kresach — kończyła Fyłypycha. — Wy będziecie gromadzie znowu jak matka, a gromada miłuje was, bo i w chłopskich piersiach biją serca wdzięczne i wierne.

— Dziękuję wam — szepnęła pani Hanna i ucałowała Fyłypychę jak siostrę. — A z Ostapkiem waszym co się stało?

— Jedzie tam na wozie za nami, jeno ze strachu to mu się rozum kiepski zrobił, ot dola.

Zamilkły, jedna matka odczuła ból drugiej.

I pani Hanna zaczęła rozmyślać o Rymszówce. Przy pomocy gromady dwór odbuduje, a może kiedyś, może kiedyś Jur wróci i ojcowską ziemię na własność obejmie...

— Czy wróci?..

XVI.

Jur Rymsza.

Minęło miesięcy kilka. W olbrzymiej sali zdobnej koronką rzeźb, bogatym, wzorzystym rozbłyskiem dywanów i makat, bej Białoskórski wpółleżąc na niskiej, wschodniej otomanie, wśród stosu jedwabnych poduszek, pił poobiednią kawę i słuchał opowiadania krępego Tatara, który zarządzał jego dobrami. Zakończenie komnaty tworzył taras kamienny, oddzielony trójłukiem filarów, a z niego wiodły szerokie, marmurowe schody do ogrodu. Z cichym, chichoczącym szelestem, jak rozswawolona driada, wyrzucała fontanna coraz to nową kaskadę wody ku słońcu, drzemały wśród białych ścieżyn cyprysy, opowite przepychem pnących, liljowych, w kwiecie stojących akacyj, a wdali błękitniał bezmiar morza. Miljony drobnych fal pełzało ku brzegowi i rozbijało się opałową pianą o skały białe. Czasem zalśnił w słońcu żagiel rybackiej łodzi, jak motyl nad topielą, to znów przesunęła się majestatycznie kupiecka galera, znacząc szeroki, srebrny pas na wodzie.

A w sali białej, w smukłych, bezcennych amforach konały w upale dnia róże śnieżne, złociste tulipany i rozsnuwały w przestrzeni kadzielnicową woń fiołki więdnące.

— A cóż Rymsza? — pytał bej, wyjąwszy ze stojącej obok amfory cudną, wpół rozwitą różę.

— Przywiozłem go z sobą, Effendi, umie już zupełnie dobrze po tatarsku.

— To dobrze, zdrów był i jest?

— Wygląda źle, bo krnąbrny był, uciekać chciał kilka razy, musiałem go bić, zamykać, a nawet wiązać. Zły duch siedzi w tym chłopaku, strasznie w nim dużo uporu i złości, a jak raz powie nie, to się prędzej zarąbać da, niżeli ustąpi. Iman mówił, iż nie miał jeszcze z nikim pracy tak trudnej.

— A wyniki?

— Żadne, Effendi.

— Przyprowadź go tutaj, Achmedzie, i zostaw nas samych.

— Effendi, nic z nim nie uczynisz, najlepiej do robót portowych go użyć; silny jest... a zresztą jak zdechnie, to szkody nie będzie.

— Zobaczymy, przyprowadź go.

Achmed w drzwiach przystanął raz jeszcze:

— Effendi, nie przypuszczałem, że przypuścić go raczysz przed swoje oblicze; jest obdarty i brudny, myślałem, że tem złamię jego upór, iż

go pozostawię jako robotnika w porcie. Doprawdy, nie jest on godny spojrzenia twego, Effendi.

— Przyprowadź go natychmiast, takim jakim jest.

Tatar zniknął za drzwiami, a w chwilę potem wepchnął do sali smukłego wyrostka i cofnął się natychmiast.

Jur wszedłszy o ścianę się oparł i patrzył szeroko rozwartemi, płonącemi dziko oczyma na nieznany, bajeczny wprost przepych, otaczający go dokoła, na cichy ogród drzemiący w słońcu, na pogrążonego w zadumie beja, czuł jeszcze na ramieniu żelazne palce Achmeda, i każdy nerw drgał w nim wściekłością i oburzeniem.

Jak długo też jeszcze znęcać się tak będą nade mną — myślał.

A bej Białoskórski spojrzał na chłopca, i pomiędzy jego ciemnemi brwiami zarysowała się głęboka brózda niezadowolenia. Od niepokalanej bieli ściany odcinała się ostro brudnemi łachmanami okryta, wychudła chłopięca postać. Spojrzenie beja ogarnęło nogi bose, poranione, zapadnięte policzki, wychudłe, sińcami pokryte ręce i oczy czarne, dumne, nieustraszone, wyzywające.

Duszę beja ogarnęła litość, Achmed przebrał miarę.

— Rozumiesz dobrze po tatarsku?

— Rozumiem.

— Chodź tu bliżej i... usiądź.

Jur spojrzał na blado-złotą, haftowaną poduszkę, którą mu wskazał bej, na swoje łachmany i rzucił krótko:

— Będę stał.

— Słyszałem, że byłeś krnąbrny i uparty.

— Chciano mi odebrać jedyne dobro, jakie mam, wiarę.

— A ty jej sobie odebrać nie dasz?

— Nie!

— Blady uśmiech drgnął na wąskich ustach beja Białoskórskiego, gdy pytał dalej:

— Bito cię często?

— Co dnia prawie.

— Byłeś głodny?

— Nie tylko byłem ale i jestem.

— Słuchaj, dziecko, jedno twoje słowo wystarczy, by cię nie bito nigdy więcej i byś zawsze był syty.

— Wiem, ale go nie wypowiem, chociażbym miał umrzeć!

— Pięknie, a jeżeli umrzesz naprawdę?

— To umrę.

— Iman cię zapoznał z treścią Koranu?

— Tak.

— I cóż?

— Nic.

W sali zaległo milczenie, jeno fontanna chichotała cicho, swawolnie i woń kwiatów oszołamiała.

Jur oczy przymknął, myślał o tem, że teraz to już pewno ostatnia godzina dla niego wybije. Ha no... trudno... przecież słabszym od Stacha nie będzie; coby to był za wstyd. Ali-aga opowiedział mu niegdyś o śmierci brata, a każdy szczegół wrył się w pamięć Jura. Ciekawy jednak jestem, czyby Stach wytrwał przez tyle miesięcy — myślał teraz, a dawna chełpliwość budziła mu się w duszy — bili, głodzili, a ja nic. Stach pewnoby nie przetrzymał.

Nagle wzdrygnął się, na ramieniu poczuł dłoń beja, w surowej, orlej twarzy Białoskórskiego było coś niewypowiedzianie łagodnego, gdy mówił:

— Od dziś zwać cię będę Selimem, i zostaniesz przy moim boku; nie dał mi Allah syna i... chciałbym go znaleźć w tobie.

— Ale ja wiary nie zmienię — szepnął Jur. A bej przyciągnął go do siebie i mówił cicho:

— Słuchaj, dziecko, urodziłem się niegdyś na polskiej ziemi i czasem, czasem czuję, iż mimo wszystko, mam polską krew w żyłach, i dlatego zostaniesz przy moim boku; nie zmuszę cię do zmiany wiary, może sam kiedyś nakłonisz się do Islamu, narazie jednak wierz sobie w co chcesz. Jednego chcę tylko od ciebie — bej zawahał się, spojrzał raz jeszcze bystro w chłopięce oczy i kończył — będziesz mnie uczył po polsku... o tem jednak nie śmie wiedzieć nikt prócz mnie i ciebie, rozumiesz?

— Rozumiem, Effendi.

— No, więc będziemy przyjaciółmi, mój synu, dobrze? — Bej wyciągnął rękę, spoczęła w niej szczupła, smagła, chłopięca dłoń trochę nieufnie i wahająco.

Białoskórski klasnął w dłonie, majestatycznie wszedł sługa w białych jedwabiach cały i skrzyżowawszy dłonie na piersiach, pytał:

— Co rozkażesz, Effendi?

— Rustemie, to chłopię zostanie od dziś przeznaczone do moich posług osobistych, weź go teraz z sobą, ukąp, ubierz odpowiednio a przedewszystkiem nakarm porządnie.

— Ty rozkazałeś, Effendi.

— Idź z nim, Selimie, a gdy się przebierzesz, wróć do mnie; będę w ogrodzie, Rustem cię tam zaprowadzi.

XVII.

Na rozdrożu.

Było to w dziesięć lat później, w roku 1617. Po białej, wąskiej drodze, wiodącej w cieniu cyprysów i oliwnych drzew wybrzeżem morza, dążyło dwóch jeźdźców. Krwawa zorza zachodzącego słońca padała na ciemną, orlą głowę emira Białoskórskiego, w jasnej brodzie zaczynała się już wić przędza srebrnych nici, a błękitne oczy miały swój dawny, zimny, nieugięty błysk; oderwał je teraz od fal rozigranych barwami opalu i spojrzał z pod oka na towarzyszącego mu młodzieńca. Z przyjemnością spoczęło jego spojrzenie na smukłej, giętkiej postaci młodego jeźdźca, na jego smagłej twarzy, wychylającej się z pod turbanu, pięknej dziką, stepową urodą i rzekł:

— Jesienią powiodę znowu wyprawę na Polskę.

— Ziemia polska co roku niemal ocieka krwią pod twoją ręką — z goryczą rzucił młodzieniec, a jego czarne, płomienne oczy zasnuła mgła smutku.

— Kismet... z początku było mi to naprawdę ciężkiem, teraz nawykłem. Chciałbym, byś mi towarzyszył tym razem, Selimie.

Ciemna, młodzieńcza twarz pobladła lekko, a przez krótkie jak myśl mgnienie, purpurowe, lekko wyrzucone usta drgnęły bólem, rzekł jednak spokojnie:

— Jeżeli każesz...

— Nie rozkazuję, synem mi jesteś, którego mi Allah odmówił, i dobra twego pragnę jedynie. Dziesięć lat przeszło spędziłeś w moim domu, chciałbym, byś i ty zrozumiał nareszcie, że ojczyzna człowieka nie jest tam, gdzie się urodzi, tylko gdzie ją sobie wybierze.

Młodzieniec spojrzał uważnie w błękitne oczy beja i zapytał:

— Czy wierzysz w to, co powiedziałeś teraz, Effendi?

— Krym stał się moją ojczyzną przybraną i milszym mi jest nad wszystko.

— Dowiodę ci, że tak nie jest.

— Dowiedź.

— Przygarnąłeś za syna nie jednego z Tatarów, jeno mnie, w niewolę zabranego Polaka, bo zapragnąłeś nauczyć się mowy, którą niegdyś przemawiała do ciebie matka. Miałeś więc, Effendi, ojczyznę chleba i ojczyznę tęsknoty.

— Selimie!

— Effendi! nawet to, iż co roku niema szedłeś z hordą do Polski, było pragnieniem spoj-

rzenia chociaż na tę ojczyznę nieznaną a bliską. Wyrosłem przy tobie, widziałem zawsze ów niepokój, ogarniający cię jesienią, i smutek po powrocie z wyprawy. Ciągnęło cię do Polski nie dla łupu, sławy, mordu i pożogi; chciałeś widzieć swój kraj.

— I zalałem go krwią i łzami... sympatyczny syn!

— Effendi, czyniąc to, cierpiałeś.

— Może.

— Jeno nie mogłeś się zdobyć na tę siłę, by ojczyznę chleba porzucić i iść na zawsze w ojczyznę tęsknoty.

— Synu mój, człowiek łatwo przyzwyczaja się do wygód, do zbytków i dostojeństw, i ciężko mu przychodzi rozłączać się z niemi, a przytem ja wierzę w Allaha, jak ty wierzysz w Chrystusa. Kismet... Wiara jest w życiu człowieka jeszcze silniejszym czynnikiem niżeli ojczyzna. Słuchaj, Selimie, czy przez te dziesięć lat nie nawyknąłeś do Krymu?

— Effendi, jest to kraj piękny, bogaty, podziwiam go, ale to nie jest mój kraj. Może być, że wróciwszy do Polski przymknąłbym czasem powieki i z rozkoszą wspominał ogrody Bakczyseraju, zachody słońca w Jałcie i śnieżny szczyt Czartomeliku, ale bez żalu i bez tęsknoty. Tu jednak, gdy wspomnę naszą Rymszówkę, nasz las dębowy... Boże! — urwał, młoda twarz pociemniała wzruszeniem i kończył dopiero po chwili —

albowiem człowiek może miłować tylko ziemię, na której wzrósł, gdzie było jego gniazdo rodzinne, Effendi.

— Są jednak ludzie bez gniazda, których ręka przeznaczenia wyrwała z rodzinnej gleby i przesadziła w obcą.

— Effendi, mimo wszystko zachowują oni piętno obce, i zawsze leży pewna nieufność pomiędzy nimi a ową glebą nową.

— Może...

Cisza, — wiatr tylko szumi, i szmaragdowa fala rozbija się z jękiem o skalne urwiska.

— Selimie!

— Effendi?

— Przez te dziesięć lat nie tylko przywyknąłem do ciebie, ale stałeś mi się jedyną duszą bliską i kochaną — mówił emir, patrząc w morze rozgorzałe w blaskach zachodu. — Jeżeli pragnę cię wziąć na wyprawę do Polski, to poto jedynie, byś się przekonał, że pomiędzy tobą a nimi niema już nic wspólnego, iż tę łączność uroiłeś sobie jedynie. Ci, których kochałeś, którzy bliskimi ci byli, wymarli; bez nich, czuć się będziesz w tym twoim wyśnionym kraju może jeszcze bardziej obcym niżeli tu, pomiędzy nami, na Krymie.

— Matka może żyje.

— Straciła męża i dzieci tak nagle. Jeżeli nie umarła, pomieszały się jej pewno zmysły z bólu.

Selim wstrząsnął głową:

— Effendi, matka moja posiadała wielką wiarę i siłę woli, takie kobiety hartują się w nieszczęściu jak stal w ogniu.

— Mogła jednak umrzeć; dziesięć, jedenaście lat niemal, to przeciąg czasu olbrzymi.

— Zapewne...

— Widzisz więc, z tego co kochałeś, odnalazłbyś jeno mogiły i gruzy.

— Z gruzów można budować gmach nowy.

— Ciężko...

— Ale można.

— Mogił jednak nie rozkopiesz i zmarłych do życia nie przywrócisz.

— Effendi, młody jestem i życie mam przed sobą.

— A więc słuchaj, Selimie, jedź ze mną do Polski, przekonasz się, iż to przeszłość martwa już, która jedynie żyje w twojej duszy.

— Pojadę z radością, Effendi, ale...

— Co?

— Dobrym byłeś dla mnie zawsze, okłamywać cię nie chcę i nie mogę — do ciemnej twarzy uderzyła purpura rumieńca. — Jeżeli zabierzesz mnie ze sobą, Effendi, i jeżeli... jeżeli ziemia polska temi gruzami i mogiłami przemówi do mnie silniej niżeli piękno Krymu, to skorzystam z pierwszej sposobności, by się wam wymknąć.

— Selimie, i cóż uczynisz sam, wśród obcych stosunków i ludzi? Pomyśl nad tem.

— Będę pracował, stworzę sobie byt.

— Słuchaj, dziecko. Teraz ja ci powiem, co cię czeka, jeżeli na Krymie pozostaniesz. Nie mam syna, wszystkie moje włości, cały majątek należeć będą do ciebie wraz z ręką córki mojej jedynej, — pomyśl o tem w chwili wyboru, Selimie. Tam mogiły i gruzy, niechęć a przynajmniej nieufność ze strony ludzi, tu miłość żywych, dobrobyt, imię znane i wsławione na Krymie. Tu należeć będziesz do możnych tego świata, tam do szarego tłumu ubogich.

— Effendi, dobry jesteś dla mnie bezmiernie, oceniam to i wdzięcznym ci będę póki żyję, ale...

— Dosyć, nie rozstrzygaj zbyt pośpiesznie. Pojedziesz ze mną do Polski, a jeżeli zapragniesz odejść, daję ci słowo, iż ja cię nie zatrzymam; ty natomiast nie odejdziesz potajemnie, jeno powiesz mi o tem otwarcie, jak syn ojcu. Dobrze?

— Dobrze, Effendi.

Czarne oczy rozbłysły i przygasły. Kochał tego człowieka, który ojcem mu był przez dziesięć lat życia, i jeżeli mogło co przeważyć szalę jego wahań na rzecz Krymu, to ta miłość tylko.

Pochylił się i smagłej ręki emira goreiącemi dotknął ustami, a wtedy wąskie wargi Białoskórskiego pod jasnym, siwizną przyprószonym wąsem drgnęły szeptem:

— Oby Allah raczył zachować cię dla mnie, synu mój.

Jechali teraz wśród winnic, łyskały w słońcu purpurowe grona... To wszystko mogłoby należeć do mnie — myślał Jur, ogarniając spojrzeniem przestrzeń uprawnych pól. W oddali wyłaniał się z ciemnego tła drzew wspaniały pałac emira. Błękit morza pieścił marmury schodów; na tle rozgorzałego purpurą zachodu nieba odcinały się delikatną, przejrzystą koronką rzeźbione łuki fasady; od ogrodów płynęła ciężka, cudna, wolę osłabiająca woń róż rozwitych i jaśminowych krzewów.

Wszystko to mogłoby być mojem — snuło się w myśli Jura, i uśmiech opowił mu wargi — cudną była ta letnia rezydencja emira w Jałcie.

Ale nagle wspomnienie nasunęło mu obraz inny, skromne wnętrze modrzewiowego dworu, senną ciszę sadu, sylwetki ludzi klęczących w poświacie, padającej od palącej się przed wizerunkiem Matki Bożej świecy, i zdało mu się, iż dobiega go głos matki spokojny a silny:

„Królowo anielska“ —

i cichy chór głosów odpowiadający szeptem:

„Módl się za nami“.

O Chryste! Taki rozfalowany w słońcu przeniczny łan złoty, własnym potem uprawny, taki dwór modrzewiowy, taką rodzinę. O Chryste! Chryste!

I krwawa tęsknota wpiła swoje szpony w młodzieńczą duszę Jura Rymszy.

I czemże były owe pałace z marmuru, włości rozległe, skarby, wobec jasnego wspomnienia życia rodzinnego, jakie wyniósł z Rymszówki.

O Chryste! taki w słońcu rozfalowany, pszeniczny łan złoty — łkało mu w duszy.

XVIII.

Ojczyzna tęsknoty.

Była noc. Horda rozłożyła się obozem nad brzegami Bugu, łuny barwiły niebo wkrąg, od stepu szła groza i lęk; parno było, duszno, na niebie kłębiły się chmury i drgały w ciemni widmowe, krótkie ognie błyskawic.

W namiocie emira Białoskórskiego płonęła lampa oliwna, a jej łagodny blask pełzał po skórach i kobiercach, wytwarzając nastrój przytulny i miły. Emir skończył jeść soczystą brzoskwinię i spojrzał na siedzącego obok Selima; w młodej, urodnej, w ostatnich dniach zeszczuplałej i ściemniałej twarzy była męka. Smutnemi oczyma zapatrzył się w błysk oliwnej lampy, wokół ust rysowały się dwie nieznane dotąd emirowi linje zmęczenia.

— Selimie, co ci jest?

— Nic, Effendi.

— A jednak...

— Nic, duszno jest, parno, głowa mnie boli, objadę obóz i czaty... dobrze?

— Burza nadciąga.

— To nic, walka z wichrem jest czasem rozkoszą.

— Każ osiodłać konia i dla mnie, Selimie, pojadę z tobą.

— Chciałem cię właśnie prosić o to, bo... — Urwał... jego czarne, bólem zmierzchłe oczy wypowiedziały resztę, emir zbladł i rzucił cicho, szorstko:

— Dobrze.

Gdy młodzieniec za purpurową przeponą zniknął, emir pochylił głowę, smutek ogarnął mu duszę i ból; przegrał... czuł to.

Raz jeszcze przegrał.

O Allah! Allah hu! siły, tak tego chłopca miłował.

Ciemna twarz Tatara mignęła w uchylonej zasłonie:

— Effendi, konie osiodłane.

Emir podniósł się ociężale, ręką po czole przeszedł, z okutej skrzynki stojącej w rogu namiotu woreczek klejnotów i pieniędzy rulon za kaftan wsunął i wyszedł.

W zapadającym mroku i błękitnawym ogniu błyskawic ściągła twarz Selima wydała mu się bezmiernie zmienioną, i serce ścisnęło mu współczucie; miłował go i rozumiał jego mękę.

Jechali w milczeniu przez obóz, minęli czaty pierwsze, drugie, ogarnął ich step, który zda się zamarł w bezruchu, w oczekiwaniu, w trwodze, i cisza, taka nużąca, straszna cisza.

— Selimie!

— Effendi!

— Słuchaj, dziecko, wiem, co mi powiedzieć chcesz, i wiem, że ci ciężko... odkąd jesteśmy w Polsce, przeczuwałem, że odejdziesz — urwał, dłonią po czole przeszedł i mówił głosem, który starał się być spokojnym a załamywał w cierpieniu. — Oto ostatnie czaty nasze zostały za nami i stąd... jeżeli chcesz wracać do Polski, Selimie... możesz...

— Effendi! — w głosie młodzieńca drgnął bezmiar uczucia, i oczy emira zwilgotniały nagle, gdy silna dłoń jego prawicę do ust przytuliła gorących — Effendi, nie... ojcze, drogi ojcze, ostatnie czaty zostały za nami, przed nami leży ziemia wieczystej tęsknoty twojej, moja Polska umiłowana, nas obydwóch rodzinny kraj... jedź ze mną.

— Ja?!

— Tak, ty. Z gruzów odbuduję dawne gniazdo; ty nie znałeś słowa rodzina, poznasz je i odczujesz, że jest ono piękniejszem od wszelkich skarbów, od dostojeństw i władzy. Mahometanin rodziny nie ma, nie ma ciszy domowego ogniska; u nas kobieta jest mężczyźnie towarzyszem i przyjacielem — tak było u moich rodziców — u was, zabawką i niewolnicą. Rozkosz mieć możecie, szczęście jednak prawdziwe, ciche szczęście nie jest waszym udziałem. Jedź ze mną, ojcze, poznasz je.

— Także mnie miłujesz? — pytał emir miękko, poddając się urokowi chwili.

— Miłuję.

W świetle błyskawicy dojrzał emir czarne, płomienne, łzami wilgotne źrenice, i ból szarpnął mu sercem, gdy rzekł:

— Dziecko, dla mnie powrotu niema. Kto burzę sieje, burzę zbiera... Kismet.

— Wróć ze mną, ojcze.

Smutny uśmiech drgnął na ustach Białoskórskiego:

— Synu mój, przecież ja i tu byłbym połową duszy jedynie; na Krymie mam córkę, mam żony, zresztą nawykłem, czterdzieści lat przeszło. Dla mnie powrotu niema.

— W takim razie... — Selim zawrócił koniem, na jego bladej twarzy była męka ale i spokój: — zostanę z tobą.

— I wrócisz na Krym?

— Wrócę.

— Dlaczego?

— Miłuję cię, winienem ci wdzięczność i nie chcę walczyć kiedyś w szeregach przeciwnych tobie.

— Ach...

Emir z konia zeskoczył, przywiązał go do pnia nadbrzeżnej olszyny i usiadł na murawie; Selim poszedł za jego przykładem. Niewyraźnie lśniły fale rzeki, pierwszy pęd wichury rozkoły-

sał drzewa, gdy emir, ująwszy w silne dłonie smukłą młodzieńczą rękę, mówił:

— Jest to moja ostatnia wyprawa na Polskę, przysięgam ci na... na miłość moją ku tobie, wierzysz?

— Dzięki ci!

— Jedź i bądź szczęśliwszym ode mnie, bo ja rzeczywiście prawdziwego szczęścia nie zaznałem nigdy, może raz pierwszy teraz, gdyś mi rzekł: ojcze... Miałeś słuszność wówczas, w Jałcie, pamiętasz? miałem zawsze dwie ojczyzny: chleba i tęsknoty, a byłem sierotą, zrabowanym w jednej i z wyrachowania przygarniętym w drugiej; chciałbym, by dusza twoja nie zaznała tej męki, i dlatego nie pragnę już, byś do Krymu powracał ze mną. — Emir rozpiął kaftan, wyjął woreczek z klejnotami i rulon z pieniędzmi. — To weź ode mnie, synu, przyda ci się, by z gruzów wznieść dom, który ci zburzyłem przed laty, a gdy kiedyś uklękniesz w nim z twoją rodziną do wieczornej modlitwy, to proś Boga, by mi przebaczył, iżem się nigdy na hart woli, na pełń czynu zdobyć nie mógł i byłem zawsze łodzią bez steru, którą kieruje przygodny wiatr. Zdaje mi się w tej chwili, że Bóg jest wszędzie ten sam, czy go zwiemy Jehową, Allahem czy Chrystusem; jest to jedna światowładna potęga, jeden majestat i jedna moc, wysłucha więc, gdy Go prosić będziesz za mną.

— Ojcze, gdybyś ty znał wiarę naszą!

— Cicho, niech przynajmniej to jedno mam w całości, wiarę. Jedź już, burza nadchodzi coraz bliżej, trzymaj się prawego brzegu Bugu, do Bracławia stąd niedaleko. Niech cię Allah ma w swojej opiece...

Przygarnął ciemną głowę młodzieńca do szalenie bijącego serca i drżącemi wargami powtarzał:

— Jedź już, jedź, trudno... Kismet.

Jur Rymsza do kolan mu się pochylił, nie mógł mówić, dławiły go łzy. Przez chwilę szepnęło w nim coś... zostań... ale się zmógł, na konia wskoczył, ostrogi w boki wpił i szalonym galopem w step runął. — Wicher obskakiwał go wokół jak głodny pies, lodowatem tchnieniem po twarzy lizał, wył, chichotał, skomlił.

A emir patrzył chwilę za swoim synem przybranym, potem konia dosiadł i zwolna wracał w stronę obozu; zdało mu się, że oto własną ręką serce sobie z piersi wyszarpnął i odrzucił daleko. Ale dla niego powrotu nie było. Pomiędzy emirem Białoskórskim a krajem jego tęsknoty szumiała rzeka krwi, nieprzebyte morze łez.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy emir do obozu dopadł, szalała wokół burza, biły pioruny, raz wraz rozdzierał niebo oślepiający, upiorny błysk. Tatar, odbierający konia, spojrzał w śmiertelnie bladą twarz emira.

— Effendi!

— Selim zginął... och Allah hu!

— Maszallah, od pioruna?!

— Tak...

Tyle męki było w twarzy emira, tyle bólu w głosie.

I nikt też tego, ni następnego dnia nie ośmielił się wejść do namiotu wodza, oprócz starego sługi Rustema, wszyscy bowiem wiedzieli, jako zmarłego miłował, i szanowali jego żałobę i ból.

XIX.

Znowu w Rymszówce.

Minęło dni kilka; wśród dniestrowych oczeretów przedzierał się z trudem kary, rasowy koń Jura Rymszy. Szło ku południowi, w przestrzeni kołysała się woń traw skoszonych, w słonecznym blasku migotała dniestrowa fala szeroka, rozlewna, srebrzysta.

Po rozstaniu się z emirem, Jur w burzy i deszczu do jakiejś rozwalonej osady dopadł i tam przeczekał ulewę; z pod siodła wyjął żupan i czapkę, które kupił zaraz w pierwszych dniach pobytu w Polsce od Tatarów i przebrał się. Trochę mu obco było w tym żupanie szarym i w czapce zachodzącej na uszy, i przez mgnienie zwilgotniały mu powieki, gdy kaftan barwny, na brylantowe guzy zapinany i cienki, biały jedwab z zawoju pod siodło wkładał... przeszłość, która minęła i nie wróci.

Ale wraz się otrząsnął, rozśmieszyło go, iż z pod samodziałowego żupana wyglądały szerokie spodnie z blado-złotego jedwabiu, a na szczerozłotym pasie opadała zakrzywiona szabla



Podjechał do płotu i zdarł czapkę. (Str. 244).

(Dwaj Rymszowie)

w kosztownej oprawie. Gotowi ludzie pomyśleć, żem zrabował kogo, a to jeno na Selimie zdobył Jur Rymsza.

O szarym świcie ruszył w drogę, do karczmy pod Bracławiem zajechał, kupił żywności i dwie torby płócienne na nią. Gniewała go ciekawość żydówki i jej wypytywania: skąd jedzie? dokąd? złościła własna nieśmiałość. Bracław wyminął polami i przejechawszy przez Bug, ruszył w stronę Kamieńca, do miasteczek nie zajeżdżał, wogóle unikał osad i spotkania z ludźmi. Było mu jakoś obco i dziwnie; czyżby emir miał słuszność?.. A oto teraz do Rymszówki z godzina drogi jeszcze, a może dwie, a serce bije coraz niespokojniej, coraz szaleniej.

A jeżeli jeno mogiły i gruzy znajdziesz...

Nie może być, przecież chorągwie koronne odbiły jeńców, wieśniacy pewno do Rymszówki powrócili, od nich dowie się, co się stało z matką.

Jedenaście lat... a jeżeli matka umarła, jeżeli pustkę znajdziesz, odłogiem leżące pola, albo innych ludzi, co wtedy?

Bronił się tej myśli, a ona wracała uporczywie i szarpała mu duszę coraz krwawszą męką.

A oto ujrzał nagle mogiły na podleśnej równinie, na jednej krzyż pochylony i wyniosłe dębów korony.

Jezus Marja, to przecież mogiły już, las dębowy, o Boże! Boże!

Olbrzymia fala szczęścia zalała mu duszę, każdy krzak, drzewo każde — przyjaciele to byli drodzy, dawno niewidziani. Zeskoczył z konia, ustami przylgnął do ziemi ojczystej. Była w nim modlitwa, dziękczynienie i radość bezmierna; w tej chwili odczuł dopiero w pełni czar rodzinnej ziemi, ogarnęły go wspomnienia dziecińśtwa.

A las szumiał, szumiał, jak gdyby wciąż pytał na świeżo: pamiętasz, Jur? pamiętasz?

A rozwirowane, złociste słońca promienie, przeciekając przez liście, tańczyły wśród traw, i chwytały go za żupan przydrożne maliny.

Szedł przez las, wiodąc karego za sobą, a w duszy radość miał i niepokój, szczęście i ból. Coś go parło naprzód i coś wstrzymywało, pragnął chwilami na skrzydłach do Rymszówki lecieć, to znowu chciałby był iść tak do niej przez życie całe, bo w cud szczęścia padała chmurą żałobną myśl... jeżeli cię tam nikt nie pozna... nikt nie powita.

Młody jestem, silny, zdrowy, wywalczę sobie byt, stworzę rodzinę. Choćbym miał własnemi rękami jeno wznieść z gruzów gniazdo ukochane, wzniosę!

A oto rozsunęła się zielona ściana drzew, i oczy Jura dojrzały ścierniska złote, zboża porządnie w kopy ułożone, a dalej w tem samem niemal miejscu co dawniej, dwór, jeno lip niebosięż-

nych nic było, i miast ostrokołu ciągnął się niski płot; na lewo od dworu widać było pracujących ludzi na łanie.

Jur Rymsza o drzewo się wsparł i patrzył; z komina snuł się ku niebu od słońca rozzłocony słup dymu. Boże miłosierny, jak niegdyś... jak niegdyś...

Kogo odnajdę w tym dworze, matkę, czy jakich obcych ludzi? O Chryste! Chryste!

Ech... co się tam będę namyślał i serce niepokojem psuł. Wprost do dworu pójdę, zapytam... zobaczę.

Wskoczył na grzbiet karego i w mgnieniu przesadził przestrzeń, dzielącą go od dworu. Tuż przy płocie wstrzymał konia, niepewny... do dworu zajechać czy wpierw ludzi rozpytać?

Ale gdzieś blisko, w ogrodzie dzwonił dziewczęcy jasny głos:

„Witaj Arko przymierza,
Tronie Salomona,
Tęczo, wszechmocną ręką
Z pięknych farb złożona...“

Jechał więc za głosem i zobaczył tuż przy płocie, w malinowych krzewach smukłą postać młodziuchnej dziewczyny. Od ciemnej zieleni liści odcinał się jej delikatny, przedziwnie piękny profil, otoczony aureolą złotych włosów, opadających w dwóch ciężkich warkoczach na ramiona; obrywając jagody do dzbanka, śpiewała:

„Tyś krzak Mojżeszów,
Boskim ogniem gorejąca;
Różdżko Aaronowa,
Cudny kwiat rodząca...“

A duszę Jura na jej widok szarpnął ból; znać obcy ludzie tu mieszkają. I tylko kroplą pociechy w tym kielichu goryczy było, iż po tej ziemi umiłowanej chodziła taka dzieweczka smukła, złotowłosa a piękna.

Podjechał do płotu i zdarł czapkę:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Dzieweczka drgnęła, wielkie ciemno bławatowe oczy spojrzały w smagłą, urodziwą twarz jeźdźca ciekawie a niespokojnie:

— Na wieki wieków. Amen — odparła cicho.

A on się zmieszał i mówił, mnąc czapkę i klepiąc szyję karego:

— Przepraszam, że waćpannie w modlitwie przeszkodziłem, chciałem jeno zapytać, jak się zwie ten dwór? — i jego czarne oczy odbiły mękę trwogi.

— Rymszówka.

Jurowi serce rozszalało się w piersiach, braknęło tchu, gdy chyląc się z kulbaki, pytał ochryple, śpiesznie:

— Na miłość Boga, jako rzekłaś waćpanna?

— Rymszówka — odparła głośniej, myśląc, iż nie dosłyszał.

— A do kogo należy?

W bławatowych oczach zamigotały swawolne chochliki śmiechu:

— A komużby? pani Rymszynie.

— Złoto ty moje!

— Nie jestem żadne waćpanowe złoto — ofuknęła dzieweczka i furknęła jak ptaszę spłoszone ku dworowi, a dwa złociste, ciężkie warkocze tańczyły jej po plecach w locie.

A jeździec, nie namyślając się, płot przesadził i gnał jej śladem ku dworowi.

— Jezus Marja... niespełna rozumu chyba jest biedaczysko — myślała Marysia i pędem wpadła do alkierza, gdzie pani Hanna, siedząc u okna, szyła.

— Ciotuś!

Spoczęły na jej zarumienionej twarzyczce dobre oczy pani Hanny.

— A tyś czego taka zgoniona, Marysiu?

— Ciotuś, przyjechał ktoś... — i nie wiedziała, jak rzec dalej, wyjrzała więc przez szybkę, a jeździec właśnie konia do słupa gankowego przywiązał i oparł się przez chwilę o pień rosnącej tuż młodej lipy, jak gdyby mu nagle sił braknęło. Dziewuszce serce roztrzęsło się w lęku i współczuciu, bo dojrzała, że po smagłej, młodzieńczej twarzy płynęły łzy.

— Któż to przyjechał, Marysiu? — pytała pani Hanna, odkładając robotę.

— Ktoś obcy, ciotuś, nie wiem, może chory jaki, bo o lipę się oparł i zdało mi się... spójrz, ciotuś, o! już się odwrócił i do domu wszedł.

— Ano, zobaczymy, co to za gościa Bóg zdarzył.

Pani Hanna wstała, ale zanim do drzwi doszła, rozwarły się one nagle silną, męską ręką szarpnięte a w progu stanęła wysoka, smukła, młodzieńcza postać i przed panią Hanną zapłonęły czarne, ukochane oczy i zmartwychpowstała twarz, którą dawno oddała mogile; wyciągnęła ramiona do tej zjawy.

— Matko! — młodzieńcza postać przytuliła ją w uścisk gorący, opadła do jej kolan, całowała stopy i te dobre, drogie, energiczne dłonie, które z gruzów wydarły Rymszówkę, a ona tuląc głowę syna do piersi, gładząc jego krótką, czarną czuprynę, szeptała wśród łez:

— Jur... Juraś... takiś do pana ojca podobny, takiś do pana ojca podobny.

Marysi też zwilgotniały bławatowe oczęta, wysunęła się cichutko z alkierza i przytuliwszy złotą główkę do ściany, łkała z radości:

— Boże miłosierny, Jur powrócił, powrócił... Jur.

A potem pomyślała sobie, iż głodny być musi, i poszła do podruny. W progu zatrzymała się i bródkę piąstką podparła, ogarnęła ją bowiem ciężka niepewność, co mu też lepiej smakować może, chleb z wędzonką i wina kubek, czy mleko kwaśne i placek ze serem...

XX.

Zakończenie.

Minął rok... złota polska jesień przybrała świat cudem barw, pogodne, bezchmurne niebo mierzchło zwolna, na ganku w Rymszówce pani Hanna modliła się cicho, a jej błękitne oczy spoglądały w tę stronę ogrodu, gdzie biały, wysoki krzyż rozpinał ramiona nad mogiłą pana Andrzeja i Stasia. W jej duszy był także taki cichy, pogodny wieczór, szczęście i spokój. Zaskrzypiał piasek na ścieżce i na tle drzew i złotej poświaty zachodu zarysowała się smukła, wysoka sylwetka Jura; wracał z lasu, gdzie koszono łąki i wiódł karego za sobą, w prawej zaś ręce niósł wiązankę leśnych kwiatów.

— Dla Marysi — pomyślała pani Hanna, i dobry uśmiech opowił jej więdnące usta. W Rymszówce zmartwychwstawało szczęście, widziała, jak nadchodziło i zwolna ogarniało te dwie dusze młode złotą przędzą marzeń, pragnień i snów.

I oto w drzwiach ganku błysnęła złota główka Marysi.

— Juraś już wrócił, ciotuś?

— Pójdźno tu, Maryś, a usiądź sobie obok mnie na ławie, tak się dobrze gawędzi o zmroku.

Dzieweczka spłonęła, bo właśnie wszedł Jur, a jego czarne, wymowne oczy ogarnęły ją rozmiłowanem spojrzeniem.

— Cóż, Juraś — uśmiechnęła się pani Hanna — głodnyś bardzo?

— Wraz będzie wieczerza — szepnęła Marysia i uciekła. Jur patrzył za nią chwilę, a potem odwracając się nagle, ręce matki do ust podniósł gwałtownie:

— Matuś, okrutnie mi się udała Marysia, toby była cudna pani Rymszyna, co?

W oczach pani Hanny wezbrały dwie łzy i spadły.

Słyszała jak cichą dłonią szczęście pukało do dworu w Rymszówce, dawne, cudne szczęście.

SPIS RZECZY.